

PIERRE
EMAITRE

Zbrodnia i kara.
Pokuta, która trwa
całe życie.

Trzy dni
i jedno życie



**PIERRE
LEMAITRE**

Trzy dni i jedno życie

przełożyła
Joanna Polachowska



MUZA

WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE

Tytuł oryginału: *Trois jours et une vie*

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redaktor prowadzący: *Ewa Orzeszek-Szmytko*

Redakcja: *Maria Braunstein*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *zespół*

Zdjęcie na okładce

© Lyn Randle/Trevillion Images

© Edition Albin Michel – Paris 2016, www.albin-michel.fr

© for the Polish translation by Joanna Polachowska

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2017

ISBN 978-83-287-0743-6

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2017

Dla Pascaline

Dla Camille Trumer, z serdeczną przyjaźnią

Spis treści

1999

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

2011

15

16

17

18

19

2015

20

1999

1

W ostatnich dniach grudnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku spadła na Beauval zaskakująca seria tragicznych wypadków, na czele oczywiście ze zniknięciem małego Rémięgo Desmedta. W tym pełnym lasów, żyjącym niespiesznym rytmem regionie nagłe zniknięcie dziecka wywołało szok i przez wielu mieszkańców zostało wręcz uznane za zapowiedź przyszłych katastrof.

Dla Antoine'a, który znalazł się w centrum tego dramatu, wszystko zaczęło się od śmierci psa. Ulissesa. Nie szukajcie powodu, dla którego jego właściciel, pan Desmedt nadał temu płowemu, chudemu jak patyk kundlowi o długich łapach imię greckiego herosa, bo to kolejna zagadka w całej tej historii.

Desmedtowie mieszkali po sąsiedzku i Antoine, który miał w owym czasie dwanaście lat, był do tego psa szczególnie przywiązany, jako że jego matka nigdy nie zgadzała się na zwierzęta w domu. Żadnych kotów, psów ani chomików, zwierzęta tylko brudzą.

Na wołanie Antoine'a Ulisses zawsze ochoczo podbiegał do bramy. Często towarzyszył chłopcom w wyprawach nad jezioro lub do pobliskich lasów, a Antoine, kiedy szedł gdzieś sam, zawsze go ze sobą zabierał. Nieraz przyłapywał się na tym, że zwraca się do Ulissesa jak do kolegi. Pies pochylał wtedy łeb z powagą i w skupieniu, a potem nagle uciekał, pokazując, że dość już tych zwierzeń.

Koniec lata był dla Antoine'a dość pracowity, gdyż wraz z kolegami z klasy budował szałas w lesie na wzgórzach Saint-Eustache. Pomysł był Antoine'a, ale Théo jak zwykle przedstawił go jako własny, tym samym przejmując dowodzenie operacją. Théo cieszył się w grupie szczególnym poważaniem, ponieważ był najwyższy, a do tego miał ojca mera. Te sprawy się liczą w miasteczku takim jak Beauval (gdzie mieszkańcy nie znoszą tych, których wciąż na nowo wybierają, lecz mera traktują jak świętego patrona, a jego syna jak księcia; hierarchia społeczna, która się ustala wśród sklepikarzy, rozciąga się na rozmaite stowarzyszenia i drogą naczyń włosowatych przenika na

dziedziniec szkolny). Ponadto Théo Weiser był najgorszym uczniem w klasie, co w oczach kolegów uchodziło za dowód silnego charakteru. Kiedy ojciec spuszczał mu lanie – co nie należało do rzadkości – Théo obnosił z dumą swoje siniaki, jakby były daniną płaconą przez istoty wyższego rzędu na rzecz powszechnego konformizmu. Robił też spore wrażenie na dziewczynach, wskutek czego chłopcy bali się go i podziwiali, ale go nie lubili. Antoine niczego nie oczekiwał ani nikomu niczego nie zazdrościł. Do szczęścia wystarczyło mu samo budowanie szałasu, niekoniecznie musiał być szefem.

Wszystko się zmieniło, kiedy Kevin dostał na urodziny PlayStation. Las w Saint-Eustache nagle opustoszał, teraz wszyscy spotykali się, żeby grać u Kevina, którego matka twierdziła, że woli to niż las i jezioro, bo zawsze uważała te miejsca za niebezpieczne. Matce Antoine'a odwrotnie, bardzo nie podobały się te wolne od zajęć szkolnych środy spędzane na kanapie – to tylko ogłupia – i w końcu zabroniła mu chodzić do Kevina. Antoine buntował się przeciwko jej decyzji, choć brakowało mu nie tyle gry na konsoli, ile raczej towarzystwa kolegów, którego został pozbawiony. W środy i soboty czuł się samotny.

Sporo czasu spędzał z Émilie, córką Mouchotte'ów, swoją rówieśnicą o jasnych, kręconych włosach i bystrym spojrzeniu, żywe srebro, z rodzaju tych, którym niczego się nie odmawia, nawet Théo Weiserowi się podobała, ale zabawa z dziewczyną to jednak nie to samo.

Wrócił więc do lasu w Saint-Eustache i rozpoczął budowę nowego szałasu, tym razem wysoko, w rozgałęzieniu konarów buku, trzy metry nad ziemią. Utrzymywał ten projekt w sekrecie, z góry smakując zwycięstwo, kiedy to koledzy, znudziwszy się PlayStation, wrócą do lasu i odkryją jego dzieło.

Było to bardzo czasochłonne zajęcie. Z tartaku przyniósł kawałki brezentu, żeby zabezpieczyć otwory przed deszczem, plandekę na dach, różne szmatki do ozdoby, urządził skrytki, żeby mieć gdzie schować swoje skarby, a końca wciąż nie było widać, zwłaszcza że z powodu braku całościowego planu wciąż musiał coś poprawiać. Przez wiele tygodni szałas absorbował cały jego czas i wszystkie myśli, przez co trudno mu było utrzymać rzecz w sekrecie. W szkole nieraz napomykał o niespodziance, na której widok niejednemu szczęka opadnie, jednak temat nie budził większego zainteresowania. W owym czasie koledzy byli dosłownie zelektryzowani zapowiedzią wypuszczenia na rynek nowej wersji Tomb Raidera, mówili tylko o tym.

Przez cały ten okres, kiedy Antoine realizował swoje dzieło, Ulisses dotrzymywał mu towarzystwa. Nie żeby do czegoś się przydawał, po prostu był. Jego obecność podsunęła Antoine'owi pomysł skonstruowania windy dla psa, dzięki której Ulisses mógłby dotrzymywać mu towarzystwa również na górze. Wrócił do tartaku, zwędził belkę, potem kilka metrów liny i już miał z czego zbudować platformę. Ta bagażowa winda, będąca ostatnim akcentem przedsięwzięcia i podkreślająca jego rozmach, wymagała wielu godzin pracy, z czego większość czasu zajęło bieganie za psem, który mając w perspektywie start w przestworza, już od pierwszej próby wpadał w panikę. Żeby utrzymać platformę w pozycji poziomej, trzeba było podtrzymywać ją drągiem z lewej strony. Nie było to rozwiązanie w pełni satysfakcjonujące, ale w końcu Ulisses wjeżdżał na górę. Przez całą podróż rozdzierająco skomlał, a kiedy Antoine docierał na miejsce, cały drżący przywierał do chłopca. Antoine wdychał jego zapach, głaskał go, aż pies przymykał oczy ze szczęścia. Zjazd był zawsze łatwiejszy, Ulisses zeskakiwał, nie czekając, aż platforma znajdzie się na ziemi.

Antoine przyniósł do szałasów różne rzeczy, które zabrał ze strychu. Kieszonkową latarkę, koc, coś do czytania i pisania, wszystko, co niezbędne do życia w całkowitej lub niemal całkowitej niezależności.

Nie należy jednak z tego wnioskować, że był typem samotnika. Był nim tylko teraz, z konieczności, z racji tego, że jego matka nie cierpiała gier komputerowych. Życie Antoine'a pełne było praw i reguł stanowionych przez panią Courtin z konsekwencją i pomysłowością. Obdarzona silnym charakterem, po rozwodzie stała się kobietą z zasadami, tak jak wiele innych samotnych matek.

Sześć lat wcześniej ojciec Antoine'a przy okazji zmiany swojej sytuacji zawodowej, zmienił też kobietę. Pisząc podanie o przeniesienie do Niemiec, wystąpił również o rozwód. Okazało się, że dla Blanche Courtin jest to tragedia, co było dość zaskakujące, zważywszy że nigdy się między nimi nie układało, a od narodzin Antoine'a ich intymne zbliżenia stały się dramatycznie rzadkie. Po wyjeździe pan Courtin nigdy się już w Beauval nie pokazał. Regularnie przysyłał prezenty, stale rozmijając się z pragnieniami syna: zabawki dla szesnastolatka, kiedy ten miał osiem lat, dla sześciolatka, kiedy miał jedenaście. Antoine pojechał raz do ojca do Stuttgartu, spędzili razem trzy długie drętwe dni i za obopólnym porozumieniem nigdy więcej nie powtórzyli tego doświadczenia. Pan Courtin tak samo nie był stworzony do posiadania syna, jak jego żona nie była stworzona do posiadania męża.

Ów zasmucający epizod zbliżył Antoine'a do matki. Po powrocie z Niemiec zrozumiał, że przygnębiający i powolny rytm jej życia wynika z samotności i ze smutku, i spojrział na to innym okiem, dostrzegając jej tragedię. I jak każdy chłopiec, który by się znalazł na jego miejscu, poczuł się za nią odpowiedzialny. Co z tego, że była irytująca (a czasem zwyczajnie nieznośna), on dostrzegał w niej coś, co nakazywało wybaczyć, coś wyższego ponad wszystko, ponad codzienność i wady, charakter, okoliczności... Dla niego rzeczą nie do pomyślenia było uczynienie matki jeszcze bardziej nieszczęśliwą, niż w jego wyobrażeniu była. Nigdy nie uwolnił się od tego przekonania.

Wszystko to, w połączeniu z niejaką skrytością, sprawiało, że był dzieckiem skłonny do depresji, a pojawienie się PlayStation u Kevina jeszcze tę skłonność pogłębiło. W układzie: nieobecny ojciec, surowa matka, brak towarzystwa kolegów, pies Ulisses zajmował miejsce centralne.

Śmierć psa i okoliczności, w jakich do niej doszło, Antoine przeżył wyjątkowo boleśnie.

Właściciel Ulissesa, pan Desmedt, był człowiekiem małomównym, porywczym, silnym jak dąb, o krzaczastych brwiach i facjacie gniewnego samuraja, niezmiennie pewnym swojej racji, takim, co to niełatwo zmienia zdanie. I pieniaczem. Od zawsze był tylko zwykłym robotnikiem w największej fabryce w Beauval – *Weiser, wyrób zabawek z drewna, rok założenia 1921* – gdzie raz po raz wszczywał awantury i kłótnie. Dwa lata wcześniej został nawet zwolniony za spoliczkowanie w obecności całego zespołu swojego majstra, pana Mouchotte'a.

Pan Desmedt miał córkę, piętnastoletnią Valentine, która uczyła się na fryzjerkę w Saint-Hilaire, oraz syna Rémię, sześciolatka, który darzył Antoine'a bezgranicznym podziwem i kiedy tylko mógł, nie odstępował go na krok.

Zresztą mały Rémi nie był dla Antoine'a ciężarem. Podobnej budowy co ojciec, już teraz posturą zapowiadający się na przyszłego drwala, bez problemu mógł chodzić z Antoine'em do lasu w Saint-Eustache, a nawet nad jezioro. Pani Desmedt uważała Antoine'a, i słusznie, za chłopca odpowiedzialnego, któremu w razie potrzeby mogła spokojnie powierzyć swojego synka. Zresztą malec i tak korzystał ze sporej swobody. Beauval jest niewielkim miastem, w okolicy wszyscy lub prawie wszyscy się znają. Dzieci, obojętnie czy bawią się przy tartaku, czy idą do lasu, czy dokazują w Marmont albo Fuzelières, zawsze ma na oku ktoś z dorosłych, któraś z osób tam pracujących lub przechodniów.

Pewnego dnia Antoine, nie mogąc już dłużej utrzymać sekretu, zabrał Rémię, żeby mu pokazać swój domek na drzewie. Malec nie krył entuzjazmu na widok tego cudu techniki i w stanie najwyższego zachwytu kilka razy odbył podróż windą. Po czym nastąpiła poważna rozmowa, posłuchaj, Rémi, i zapamiętaj, to tajemnica, nikt nie może się o tym domku dowiedzieć. Dopóki nie zostanie całkiem skończony, rozumiesz? Mogę na ciebie liczyć? Nikomu ani mru-mru, dobrze? Rémi przysiągł, splunął, przeżegnał się i, o ile Antoine mógł się zorientować, dotrzymał słowa. Posiadanie wspólnego sekretu z Antoine'em oznaczało dla Rémię przynależność do świata dorosłych, oznaczało bycie dorosłym. Dowiódł, że jest godny zaufania.

Dwudziestego drugiego grudnia było dość ciepło, kilka stopni cieplej niż zwykle o tej porze roku.

Antoine był oczywiście podekscytowany zbliżającymi się świętami (liczył, że tym razem ojciec uważnie przeczyta jego list i przyśle mu PlayStation), lecz czuł się jeszcze bardziej samotny niż zwykle.

W końcu, nie mogąc dłużej wytrzymać, zaryzykował i powiedział o wszystkim Émilie.

Rok temu odkrył masturbację, i od tej pory uprawiał ją wiele razy dziennie. Nieraz w lesie, jedną ręką oparty o drzewo, z dżinsami spuszczoneymi do kostek, robił sobie dobrze, myśląc o Émilie. Zrozumiał, że w gruncie rzeczy zbudował to wszystko dla niej, że było to gniazdko, do którego pragnął ją zaprowadzić.

Kilka dni wcześniej Émilie poszła z nim do lasu, popatrzyła sceptycznie na konstrukcję domku, to trzeba tam wjeżdżać? Niezbyt zainteresowana inżynierią budowlaną, przyszła tu z zamiarem poflirtowania z Antoine'em, ale nie bardzo wyobrażała sobie to flirtowanie trzy metry nad ziemią. Okręcając wokół palca kosmyk jasnych włosów, przez chwilę wdzięczyła się do chłopaka, a ponieważ on, rozeźlony jej reakcją, nie przejawiał chęci podjęcia gry, zebrała się i poszła.

Po jej wizycie zostało Antoine'owi uczucie goryczy, Émilie jak nic rozpowie o tym spotkaniu na prawo i lewo. Niejasno czuł, że się ośmieszył.

Wrócił z Saint-Eustache i mimo atmosfery świąt oraz widoków na prezent nie był w stanie zapomnieć o porażce z Émilie, porażce, która z czasem zaczęła w jego wyobraźni urastać do rangi upokorzenia.

Faktem jest, że świąteczny klimat w Beauval był w dużym stopniu przesiąknięty niepokojem. Ozdoby, choinka na placu, koncert chóru miejskiego i tym podobne. Miasto jak co roku hołdowało tradycji fetowania końca roku, acz z nieco mniejszym rozmachem, odkąd zagrożenie upadkiem fabryki Weisera stało się po trosze zagrożeniem dla wszystkich. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że ludzie stracili zainteresowanie zabawkami z drewna. Fabryka podierała się produkcją drewnianych pajacyków, bąków i małych pociągów z jesionu, ale pracownicy własnym dzieciom kupowali w prezencie konsole; ludzie wyraźnie czuli, że coś jest nie tak, że przyszłość staje się niepewna. Co jakiś czas krążyły pogłoski o zmniejszeniu produkcji Weisera. Z siedemdziesięciu zatrudnionych ostało się sześćdziesięciu pięciu, potem sześćdziesięciu, potem pięćdziesięciu dwóch. Majster, pan Mouchotte, dwa lata temu został zwolniony i jak dotąd nie znalazł innej pracy. Również pan Desmedt, choć był jednym z najstarszych stażem, żył w niepewności. Jak wielu innych bał się, że znajdzie swoje nazwisko na liście zwolnionych, która, jak utrzymywali niektórzy, zostanie ogłoszona zaraz po świętach...

Tego dnia Ulisses, przebiegając przez główną ulicę Beauval na wysokości apteki, został potrącony przez samochód. Kierowca się nie zatrzymał.

Zaniesiono Ulissesa do Desmedtów. Wieść o tym zdarzeniu szybko się rozniosła. Przybiegł Antoine. Ulisses leżał w ogrodzie, ciężko dyszał. Odwrócił łeb do Antoine'a, który stał przy furtce jak skamieniały. Łapa i żebra połamane, konieczna była pomoc weterynarza. Pan Desmedt z rękami w kieszeniach długo przyglądał się swojemu psu, a potem wszedł do domu, wyszedł ze strzelbą i strzelił mu z przyłożenia w brzuch. A następnie wrzucił jego zwłoki do plastikowego worka na gruz.

Wszystko stało się tak szybko, że Antoine rozdziawił tylko usta, niezdolny wykrztusić słowa. Nie miałby zresztą do kogo. Pan Desmedt wrócił do domu i zamknął za sobą drzwi. Szary worek ze szczątkami Ulissesa został złożony w narożniku ogrodu, obok innych z gipsem i cementem pochodzącym z królikarni, którą pan Desmedt w zeszłym tygodniu rozebrał, żeby zbudować nową.

Oszołomiony Antoine wrócił do domu.

Jego rozpacz była tak wielka, że wieczorem nie miał nawet siły, by opowiedzieć o wszystkim matce, która przecież o niczym nie wiedziała. Ze ściśniętym gardłem, z ciężkim sercem nieustannie wracał do tej sceny, fuzja, głowa Ulissesa, zwłaszcza jego oczy, potężna postać pana Desmedta...

Niezdolny, by się odezwać ani cokolwiek przełknąć, udał, że nie najlepiej się czuje, poszedł na górę do swojego pokoju i długo płakał. Z dołu dobiegło go pytanie matki: „Wszystko w porządku, Antoine?”. Sam tym zaskoczony, zdołał wykrztusić: „Tak, w porządku!” na tyle wyraźnie, że pani Courtin to wystarczyło. Zasnął dopiero późną nocą, śniły mu się martwe psy i fuzje, obudził się ledwie żywy ze zmęczenia.

W czwartek wczesnym rankiem pani Courtin wychodziła do pracy na targu. Ze wszystkich drobnych prac, które udawało się jej tu i tam w ciągu roku zdobyć, ta była jedyną, której szczerze nie znosiła. Z powodu pana Kowalskiego. Dusigrosz, mówiła, płaci swoim pracownikom najniższą stawkę, zawsze z opóźnieniem, i sprzedaje im za połowę ceny artykuły, które powinien wyrzucić. Wstawać bladym świtem dla trzech franków i sześciu sous! Ale mimo to od blisko piętnastu lat to robiła. Poczucie obowiązku. Mówiła o tym już poprzedniego dnia; na samą myśl, że znów tam pójdzie, robiło jej się niedobrze. Pan Kowalski, wysoki i chudy mężczyzna o kościstej twarzy, zapadniętych policzkach, wąskich ustach, gorejącym spojrzeniem, płochliwy jak kot, nie bardzo odpowiadał powszechnemu wyobrażeniu o handlarzu drobiem i garmażerią drobiową. Antoine, który go często spotykał, uważał, że swoim wyglądem wzbudza on strach. Pan Kowalski kupił masarnię w Marmont, którą od śmierci żony, zmarłej dwa lata po ich przyjeździe w te strony, prowadził razem z dwoma pomocnikami. „Nie chce nikogo więcej zatrudnić”, zrzędziła pani Courtin, „twierdzi, że i tak jest nas dość”. Miał stoisko na targu w Marmont i w każdy czwartek robił objazd po okolicznych miasteczkach, kończąc go w Beauval. Pociągła wychudzona twarz pana Kowalskiego była przedmiotem drwin dzieciaków, które nazywały go Frankensteinem.

Tego ranka pani Courtin jak co tydzień pojechała pierwszym autobusem do Marmont. Antoine, który już nie spał, usłyszawszy jak matka starannie zamyka drzwi, wstał, wyjrzał przez okno swojego pokoju, zobaczył ogród pana Desmedta. A w nim, w narożniku poza zasięgiem jego wzroku, leżał worek na gruz, w którym...

Znów łzy napłynęły mu do oczu. Był niepokieszony nie tylko z powodu śmierci psa, lecz także dlatego, że stanowiła ona bolesne odbicie jego samotności w tych ostatnich miesiącach, pełnych rozczarowań i przykrości.

Ponieważ matka wracała zwykle dopiero późnym popołudniem, przed wyjściem spisywała na tablicy w kuchni wszystkie pańszczyzny przewidziane dla Antoine'a na dany dzień. Było wśród nich zawsze sprzątanie, pójście po

coś, zakupy w minimarkecie oraz niekończąca się lista poleceń typu: posprzątaj swój pokój, w lodówce jest szynka, zjedz przynajmniej jogurt i owoce itp.

Choć pani Courtin przygotowywała wszystko z wyprzedzeniem, zawsze potrafiła znaleźć dla syna jakieś zajęcie; pomysłów nigdy jej nie brakowało. Od ponad tygodnia Antoine zerkał do szafy na paczkę, którą przysłał ojciec, wielkością odpowiadającą PlayStation w opakowaniu, lecz bez większego entuzjazmu. Nie dawała mu spokoju śmierć psa, to, że nastąpiła tak nagle i zadano ją tak brutalnie. Zabrał się do pracy. Zrobił zakupy, z nikim w sklepie nie zamienił słowa, piekarzowi skinął tylko głową. Nie był w nastroju do rozmowy.

Wczesnym popołudniem marzył już tylko o jednym: żeby jak najszybciej schronić się w Saint-Eustache.

Wszystko, czego nie zjadł, zabrał z sobą, żeby wyrzucić po drodze. Mijając obejście Desmedtów, z trudem powstrzymał się przed spojrzeniem w narożnik ogrodu na leżące tam worki na śmieci, przyspieszył kroku, serce waliło mu jak szalone, na nowo ożył w nim przejmujący ból. Zacisnął pięści, zaczął biec i zatrzymał się dopiero u stóp swojego domku na drzewie. Złapawszy oddech, spojrzał w górę. To schronienie, któremu poświęcił tyle serca i pracy, nagle wydało mu się niewiarygodnie brzydkie. Te kawałki plandeki, materiału, brezentu przydawały mu wyglądu jakiejś nędznej rudery. Przypomniał sobie rozczarowaną minę Émilie, kiedy ujrzała jego dzieło... Z wściekłością wspinał się na drzewo i odrzucając z rozmachem kawałki drewna i deski, wszystko zniszczył. Kiedy nic już nie zostało, zdyszany zszedł na dół. Oparł się plecami o drzewo, osunął na ziemię i przez długą chwilę zastanawiał się, co teraz robi. Życie straciło wszelki smak.

Tęsknił za Ulisesem.

I wtedy nadszedł Rémi.

Antoine już z daleka dostrzegł zbliżającą się małą postać. Rémi stąpił ostrożnie, jakby się bał, że podepcze grzyby. W końcu dotarł do Antoine'a, który szlochał z twarzą ukrytą w ramionach. Stanął przed nim z opuszczonymi rękami, spojrzał w górę, zobaczył, że z domku nic nie zostało, otworzył usta, ale przerwał mu krzyk Antoine'a.

– Czemu twój ojciec to zrobił? Co? Dlaczego to zrobił?

Gniew poderwał go na nogi. Rémi wpatrywał się w Antoine'a wytrzeszczonymi oczami, słuchając i nie bardzo rozumiejąc, o czym ten mówi,

bo w domu powiedziano mu tylko, że Ulisses uciekł, co zwykł od czasu do czasu robić.

W tym momencie, przepełniony poczuciem niesprawiedliwości, Antoine stracił panowanie nad sobą. Odrętwienie wywołane śmiercią Ulissesa przerodziło się w furię. Zaślepiiony gniewem, złapał kij, którego używał do manewrowania windą, i zamachnął się nim, jakby Rémi był psem, a on jego panem.

Chłopiec, który nigdy nie widział go w takim stanie, przeraził się.

Odwrócił się, zrobił krok.

A wtedy Antoine schwycił kij w obie ręce i nieprzytomny z wściekłości, walnął nim Rémię. Trafił go w prawą skroń. Rémi padł na ziemię, Antoine podszedł, wyciągnął rękę, potrząsnął nim za ramię.

– Rémi?

Malec pewnie stracił przytomność.

Chcąc poklepać go po policzkach, Antoine przewrócił go na plecy i wtedy zobaczył jego otwarte oczy.

Nieruchome i szkliste.

Przez głowę przemknęła mu myśl: Rémi nie żyje.

Kij wypadł mu z rąk. Patrzy na leżące przed nim ciało dziecka. W jego pozycji jest coś dziwnego, Antoine nie wie co, jakiś bezwład... Co ja zrobiłem? I co teraz robić? Biec po pomoc? Nie, nie może go tu tak zostawić, musi go zabrać, popędzić do Beauval, wtargnąć do doktora Dieulafoya.

– Nie bój się – szepce Antoine. – Zawieziemy cię do szpitala.

Powiedział to szeptem, jakby sam do siebie.

Nachyla się, wsuwa ramiona pod ciało dziecka i się prostuje. Nie miał pojęcia, że jest taki silny, tym lepiej, bo ma przed sobą szmat drogi...

Rusza biegiem, ale po kilku krokach ciało Rémięgo w jego ramionach staje się bardzo ciężkie. Antoine zatrzymuje się. Nie, nie w tym rzecz, że ciężkie, tylko że bezwładne. Głowa odchyłona do tyłu, zwisające ramiona, nogi majtające się jak u marionetki. Zupełnie jakby niosło się worek.

Nagle jego wola słabnie, Antoine ugina kolana, musi położyć Rémięgo na ziemi.

Czy on naprawdę... nie żyje?

W obliczu tego pytania jego umysł się blokuje, przestaje funkcjonować, myśleć.

Obchodzi Rémięgo, żeby spojrzeć na jego twarz. Przykucnięcie obok ciała dziecka wymaga wielkiego wysiłku. Wpatruje się w kolor jego skóry, w rozchylone usta... Wyciąga rękę, ale nie może się zmusić, by dotknąć tej twarzy, wyrósł między nimi niewidzialny mur, dłoń Antoine'a napotyka jakąś przeszkodę, która nie pozwala mu go dotknąć.

W jego umyśle zaczyna kiełkować myśl o konsekwencjach.

Wstaje, zaczyna chodzić tam i z powrotem, płacze, nie może się przemóc, by znów spojrzeć na ciało Rémięgo. Z zaciśniętymi pięściami, z umysłem pracującym na najwyższych obrotach, cały spięty, chodzi wte i wewte, co robić, z oczu płyną mu łzy tak rzęsiste, że nic prawie nie widzi, ociera je wierzchem rękawa.

Nagle zalewa go fala nadziei – poruszył się!

Antoine chciałby wziąć las na świadka: poruszył się, prawda? Wdzieliście? Nachyla się.

Ale nie, Rémi nawet nie drgnął, nic a nic.

I tylko miejsce, w które Antoine trafił go kijem, zmienia kolor i jest teraz ciemnoczerwone, szeroki ślad obejmujący całą kość policzkową, który zda się rozszerzać jak plama wina na obrusie.

Trzeba się upewnić, sprawdzić, czy oddycha. Antoine kiedyś już coś takiego widział, w telewizji – przykładano do czyichś ust lusterko i sprawdzano, czy zaparowało. Ale tutaj, lusterko, akurat...

Pozostało mu już tylko jedno: starając się skoncentrować, pochyła się nad ciałem Rémiego i przykładła ucho do jego ust, ale przez ten szum lasu i bicie własnego serca nic nie może usłyszeć.

Musi więc zrobić coś innego. Otwierając szeroko oczy, wyciąga dłoń z rozpostartymi palcami ku piersi Rémiego w podkoszulku Fruit of the Loom. Dotyka materiału i czuje wielką ulgę: ciepło! Rémi żyje! A wtedy zdecydowanym ruchem kładzie dłoń na jego torsie. Gdzie jest serce? Żeby je zlokalizować, sprawdza najpierw u siebie. Trochę wyżej, bardziej w lewo, nie przypuszczał, że akurat tutaj, wyobrażał sobie raczej, że... Jest! Pod lewą dłonią wyczuwa swoje serce, prawa leży w tym samym miejscu na torsie Rémiego. Pod jedną serce bije mocno, ale pod drugą wcale. Naciska bardziej, maca tu i tam, ale nie, przykładła płasko obie dłonie, nic nie bije. Serce Rémiego jest martwe.

Nie mogąc się powstrzymać, Antoine policzkuje go. Na odlew. Dlaczego umarłeś, co? Dlaczego umarłeś?

Pod jego ciosami głowa dziecka odskakuje z boku na bok. Antoine zastyga. Co on, na Boga, robi? Żeby bić Rémiego... który nie żyje!

Podnosi się z klęczek, kompletnie zdruzgotany.

Co robić? W kółko powtarza to pytanie, ale nie potrafi nic wymyślić.

Znów zaczyna chodzić tam i z powrotem nad ciałem, załamując ręce, ocierając łzy, niekończący się potok łez.

Musi oddać się w ręce policji. I co powie? Byłem z Rémim, walnąłem go kijem i zabiłem?

A poza tym komu to powie, posterunek żandarmerii znajduje się w Marmont, osiem kilometrów od Beauval... Matka dowie się o wszystkim od żandarmów.

To ją zabije, nie pogodzi się z tym, że jest matką mordercy. A ojciec, jak on zareaguje? Będzie przysyłał paczki...

Antoine siedzi w więzieniu. W ciasnej celi z trójką starszych od niego, znanych z brutalności wyrostków. Przypominają postaci z Oz, Antoine po kryjomu obejrzał kilka odcinków, jeden z facetów nazywa się Vernon Schillinger, potwór, który uwielbia małych chłopców. W więzieniu Antoine z kimś takim będzie miał do czynienia, to pewne.

I kto go tam odwiedzi? Defiluje przed nim cały orszak postaci, kumple, Émilie, Théo, Kevin, dyrektor szkoły... I pojawia się obraz pana Desmedta, jego ciężkie cielsko, jego niebieski strój roboczy, jego kwadratowa twarz i szare oczy!

Nie, Antoine nie pójdzie do więzienia, nie zdąży, bo kiedy pan Desmedt się o wszystkim dowie, na pewno go zabije, tak jak zabił swojego psa, strzałem w brzuch.

Patrzy na zegarek, czternasta trzydzieści, słoneczne popołudnie. Antoine jest spocony jak mysz.

Musi podjąć jakąś decyzję, ale coś mu podpowiada, że już to zrobił: wróci do domu, nic nie powie, pójdzie do swojego pokoju, jakby wcale z niego nie wychodził, kto odgadnie, że to on jest sprawcą? Nikt nie zauważy zniknięcia Rémiego wcześniej niż... W myślach kalkuluje, ale wszystko mu się myli, liczy na palcach, ale co ma liczyć? Ile czasu upłynie, zanim znajdą Rémię? Godziny? Dni? Poza tym Rémię tak często widywano w towarzystwie Antoine'a i jego kolegów, będą przesłuchiwani przez policję... Wszyscy oni są teraz zapewne u Kevina, grają na PlayStation, brakuje tylko jego, Antoine'a, spojrzenia od razu skierują się na niego.

Nie, musi zrobić tak, żeby Rémię nie znaleziono.

Przez myśl przemyka mu wizja worka na śmieci z martwym psem w środku.

Musi pozbyć się zwłok.

Rémi zniknął, nikt nie wie, co się z nim stało, o, to jest rozwiązanie, będą go szukać i nikomu do głowy nie przyjdzie...

Antoine wciąż chodzi tam i z powrotem obok ciała, na które nie chce już patrzeć, którego widok zatrważa go, nie pozwala myśleć.

A jeśli Rémi powiedział swojej matce, że idzie do Saint-Eustache, żeby spotkać się z Antoine'em?

Może już go szukają, niedługo usłyszy nawoływania: „Rémi! Antoine!”.

Czuje, że znalazł się w pułapce. Do oczu znów napływają mu łzy. Już po nim.

Powinien ukryć ciało, tylko gdzie? Jak? Gdyby nie zniszczył domku, wciągnąłby Rémię na górę, nikt by go tam nie szukał. Rozdziobałyby go kruki.

Jest zdruzgotany rozmiarem katastrofy. W kilka sekund jego życie zmieniło kierunek. Stał się mordercą.

Te dwa obrazy kłócą się ze sobą, nie można mieć dwunastu lat i być mordercą...

Zalewa go fala bezdennej rozpacz.

Czas płynie, a on wciąż nie wie, co robić, w Beauval pewnie zaczynają się już niepokoić.

Jeziro! Pomyśl, że się utopił!

Nie, ciało wypłynie na powierzchnię, a on nie ma nic, czym mógłby je obciążyć. Kiedy je wyłowią, zobaczą ślad po uderzeniu w głowę. Może pomyśl, że upadł, że sam się uderzył?

Antoine jest kompletnie zagubiony.

Wielki buk! Nagle Antoine widzi go tak wyraźnie, jakby miał go tu teraz przed oczami.

To olbrzymie drzewo, które przed laty się przewróciło. Któregoś dnia, tak po prostu, bez ostrzeżenia, niczym stary, zmarły nagłą śmiercią człowiek, padło, pociągając za sobą swój postument korzeni, olbrzymią bryłę ziemi wysokości dorosłego człowieka. Padając, przewróciło inne drzewa, ich konary tworzą płataninę gałęzi, wśród których przez jakiś czas, dawno temu, bawili się z kolegami, a potem, nie wiedzieć czemu, stracili zainteresowanie tym miejscem... Buk upadł na coś w rodzaju jamy, wielkiej dziury, do której nigdy nie odważyli się zejść, nie wiadomo było, dokąd prowadzi, ani nawet, czy jest głęboka, ale Antoine nie widzi innego rozwiązania.

Decyzja zapadła, odwraca się.

Twarz Rémię jeszcze bardziej się zmieniła, jest teraz szara, krwiałek jest coraz większy, coraz ciemniejszy. A jego usta jeszcze szerzej otwarte. Antoine czuje, że robi mu się słabo. Nigdy nie wystarczy mu siły, żeby tam dojść, na

drugi koniec lasu w Saint-Eustache, nawet w normalnych warunkach potrzebowalby na to co najmniej kwadrans.

Nie wiedział, że zostało w nim jeszcze tyle łoż. Spływają, ciekną mu z oczu, ociera je palcami, liśćmi, podchodzi do ciała dziecka, pochyla się, chwytając jego nadgarstki. Są drobne, ciepłe, giętkie, jak małe uśpione żyjątka.

Odwracając głowę, Antoine zaczyna ciągnąć ciało...

Nie przeszedł jeszcze nawet sześciu metrów, a już napotyka przeszkody, korzenie, gałęzie. Las w Saint-Eustache od niepamiętnych czasów jest bezpieczny, to niesamowity gęszcz zwartych zarośli, drzewa rosną ciasno obok siebie, czasem leżą poprzewracane jedne na drugich, pełno krzaków i chaszczki, nie da rady ciągnąć ciała, będzie je musiał nieść.

Antoine nie może się zdecydować.

Wokół niego las trzeszczy jak stara łajba. Antoine przestępuje z nogi na nogę. Jak znaleźć w sobie odwagę?

Nie wie, skąd bierze się w nim ta siła, ale nagle nachyla się, chwytając Rémię i jednym ruchem przerzuca go sobie przez ramię. I rusza szybkim marszem, obchodząc w koło korzenie, kiedy nie może po nich przejść.

Przy pierwszym nieopatrzonym kroku zahacza stopą o korzeń i pada, a na niego ciało Rémię, ciężkie jak ośmiornica, miękkie i bezwładne, Antoine z krzykiem spycha je z siebie, wstaje i opiera się o drzewo, łapiąc oddech... Myślał, że trup to coś sztywnego, widział takie obrazy, ludzi martwych i sztywnych jak deska. A ten jest zwiotczały, jakby pozbawiony kości.

Próbuje się zmobilizować. No dalej, trzeba ukryć to ciało, musi zniknąć, potem już będzie dobrze. Podchodzi, zamyka oczy, chwytając Rémię za rękę, nachyla się, znów przerzuca go sobie przez ramię i ostrożnie rusza dalej. Z tym ciałem na plecach czuje się jak strażak ratujący kogoś z pożaru. Jak Peter Parker, kiedy podnosi Mary Jane.

Jest chłodno, ale on jest zlany potem. I wykończony, jego nogi wazą chyba z tonę, ramiona mu omdlewają. Ale musi przyspieszyć kroku, w Beauval już się pewnie niepokoją.

I tylko patrzeć, jak matka wróci do domu.

I pani Desmedt do niej przyjdzie, żeby zapytać, gdzie jest Rémi.

A kiedy on sam wróci do domu, jemu też zadadzą to pytanie, na co odpowie: Rémi? Nie, nie widziałem go, byłem...

No właśnie, gdzie był?

Przestępując korzenie, obchodząc zarośla nie do przebycia, potykając się o pędy i biegnące po ziemi korzenie przybyszowe, uginając się pod ciężarem ciała martwego dziecka, Antoine głowi się, gdzie mógłby być, skoro nie tutaj, ale nie potrafi nic wymyślić. „Ten chłopiec nie grzeszy nadmiarem wyobraźni...” – stwierdził nauczyciel w zeszłym roku przed przejściem Antoine’a do szóstej klasy. Pan Sanchez nigdy za nim nie przepadał, dla niego istniał tylko Adrien, od zawsze był jego ulubieńcem, mówiło się nawet, że pan Sanchez i matka Adriena... Kobieta, która używa perfum, całkowite zaprzeczenie matki Antoine’a, pod szkołą wszyscy na nią patrzą, pali na ulicy i nosi...

Musiało to nastąpić, Antoine po raz drugi się przewraca, uderza głową o pień, upuszcza swój ciężar i krzyczy, widząc przelatującego nad sobą Rémię, który pada ciężko na ziemię. Antoine odruchowo wyciągnął rękę... Przez moment wyobraził sobie, że Rémi mógł zrobić sobie krzywdę, pomyślał o nim jak o żywym.

Patrzy na jego plecy, na jego drobne nóżki i rączki; przejmująco smutny widok.

Dłużej już nie może. Leży nieruchomo pośród liści i zapachu ziemi, który wdycha tak, jak wdychał kiedyś zapach sierści Ulissesa. Jest tak zmęczony, że najchętniej by tu zasnął, zagrzebał się w ziemi, zniknął.

Zrezygnuje, nie wystarczy mu siły.

Jego spojrzenie pada na zegarek. Matka już wróciła. Trudno to wytłumaczyć, ale jeśli udaje mu się z powrotem stanąć na nogi, to tylko ze względu na nią. Nie zasłużyła na coś takiego. Nie przeżyje tego. Ją także zabije, jeśli okaże się, że...

Z wielkim wysiłkiem wstaje. Rémi otarł ramię i nogę, Antoine wyobraża sobie, że mimo wszystko Rémię to boli, istny obłąd, jego umysł nie jest w stanie przyswoić faktu, że Rémi nie żyje, nie, tego nie potrafi przyjąć do wiadomości. To nie trup, tylko dziecko, które Antoine zna, które niesie teraz na plecach przez las w Saint-Eustache, które na platformie wciągał na górę razem z Ulissesem, które krzyczało uauu! Które uwielbiało tę zabawę.

Czuje, że zaczyna majaczyć.

Posuwając się wielkimi krokami naprzód, widzi przed sobą szeroko uśmiechniętego Rémię, który macha do niego, woła: siema!, który zawsze

przepadał za Antoine'em. Och, czy to domek? Unosi oczy, spogląda w górę. Mały chłopczyk o pyzatej twarzy i żywych oczach, wyrażający się nad podziw składnie jak na swój wiek, no tak, to dzieciak, i myśli jak dzieciak, ale dzieciak ciekawy, zadający zaskakująco trafne pytania...

Antoine nawet nie zauważył, kiedy przebył całą drogę.

To tutaj. Wielki zwalony buk.

Żeby dotrzeć do pnia i do jamy pod nim, trzeba się przedzierać przez gęste zarośla, w dodatku ta część lasu jest bardziej mroczna.

Antoine już nie myśli, tylko idzie naprzód. Co chwila traci równowagę, po drodze przytrzymuje się czego tylko może, o mało nie upuszcza swojego ciężaru, rozrywa mankiet koszuli, ale prze do przodu. Głowa Rémiego z głośnym stukotem uderza o pień... Jego ramiona dwukrotnie zahaczają o kolce, Antoine musi szarpać, żeby je uwolnić.

Wreszcie, po długich zmaganiach, dociera do celu.

Dwa metry dalej, tuż pod potężnym pniem buka, wielka ciemna jama... Jaskinia. By się do niej dostać, musi się wspiąć na mały pagórek.

Ostrożnie składa ciało u swoich stóp, pochyla się i zaczyna je turlać. Jakby zwijał dywan.

W trakcie turlania głowa dziecka się obija. Antoine, zamykając oczy, wciąż pcha. Kiedy je otwiera, jest już w połowie pagórka. Ta wielka ciemna szczelina, do której się zbliża, budzi w nim lęk, jest jak czeluść pieca. Jak paszcza smoka. Nikt nie wie, co jest w środku. Ani nawet czy jest głęboko. A przede wszystkim, co to w ogóle jest? Antoine zawsze myślał, że to dziura po korzeniach innego drzewa, wyrwanego z ziemi, kiedy zwalił się na nie buk.

To już tu.

Antoine nie jest w stanie odczuć ulgi. U jego stóp na krawędzi jamy leży ciało malca, a nad nimi góruje potężny pień zwalonego buka.

Teraz trzeba zepchnąć Rémiego. Antoine nie może się na to zdobyć.

Przyciskając dłonie do skroni, krzyczy z bólu. Nieprzytomny z rozpacz, opiera się o drzewo, wysuwa prawą nogę, wciska stopę pod biodro dziecka, lekko ją unosi.

Spogląda w niebo i gwałtownym ruchem podrywa nogę.

Ciało powoli się toczy, na skraju jamy jakby się waha, lekko balansuje, a potem spada w dół.

Ostatnim obrazem zachowanym w pamięci Antoine'a jest ramię Rémiego, jego dłoń, jakby próbująca wczepić się w ziemię, powstrzymać przed upadkiem.

Antoine stoi jak skamieniały.

Ciało zniknęło. Tknięty nagłą obawą klęka, wyciąga nieśmiało ramię, szuka, maca ręką w otworze.

Jego dłoń napotyka próżnię.

Wstaje, kompletnie oszołomiony. Nie ma już nic. Nie ma już Rémiego, nie ma nic, wszystko zniknęło.

Wszystko z wyjątkiem obrazu tej małej dłoni o przykurczonych palcach, powoli znikającej pod ziemią...

Antoine odwraca się i wielkimi krokami, jak automat, rusza z powrotem przez chaszczę.

Dotarłszy na skraj zagajnika, puszcza się biegiem ze wzgórza i biegnie, biegnie bez końca.

Powrót najkrótszą drogą zmusza go do dwukrotnego przejścia przez szosę. Skulony w zaroślach tuż przy wyjeździe z zakrętu, w miejscu, z którego nie widać, czy coś nadjeżdża, wytycza słuch, ale wciąż to przekłete łomotanie serca...

Wstaje, szybko rzuca okiem w lewo, w prawo i decyduje się. Przebiega przez szosę i w chwili, gdy pojawia się furgonetka pana Kowalskiego, znika w lesie po drugiej stronie.

Rzuca się do rowu i nieruchomieje. Furgonetka przejeżdża.

Nie czekając, Antoine rusza dalej biegiem przez zarośla. Trzysta metrów przed wjazdem do miasteczka na moment przystaje, lecz czuje, że nie czas się zastanawiać, trzeba zdecydować, i to szybko. Wychodzi z lasu i starając się wyrównać oddech, rusza pewnym, jak mu się zdaje, krokiem.

Czy wygląda normalnie? Przygląda włosy. Ma kilka zadrapań na rękach, nic specjalnie widocznego, pospiesznie otrzepuje ziemię, źdźbła trawy i gałązki uczepione koszuli i spodni...

Myślał, że będzie się bał wrócić do domu, tymczasem wprost przeciwnie, piekarnia, sklep spożywczy, brama merostwa, wszystkie te znajome miejsca przywracają go do normalnego życia, oddalają koszmar.

Żeby ukryć rozdarty rękaw koszuli, ściąga mankiet i zaciska go w dłoni.

Spogląda na nadgarstek.

Zgubił zegarek.

Był to zegarek do nurkowania z czarną tarczą, jaskrawozielonym paskiem i imponującą liczbą funkcji: z tachometrem, z obrotową strzałką wskazującą godzinę na całym świecie, ze stoperem, z kalkulatorem. Zegarek był bardzo duży, za duży jak na przegub Antoine'a, ale właśnie dlatego mu się podobał. Zgoda na jego kupno wymagała długich tygodni nękania matki, a uzyskał ją dopiero w zamian za liczne obietnice i zobowiązania, a także po wysłuchaniu jej wykładu na temat oszczędzania, rozróżniania tego, co konieczne, a co zbędne, panowania nad zachciankami oraz kilku innych, dość niejasnych dla niego pojęć, i dopiero wtedy matka znalazła zegarek w sklepie, w dziale artykułów dziecięcych i edukacyjnych.

Jak Antoine wytłumaczy jego nagłe zniknięcie? Bo matkę na pewno to zaniepokoi, w takich sprawach ma niezawodne oko.

Czy powinien wrócić po własnych śladach? Gdzie mógł go zgubić? Może wpadł do jamy pod wielkim bukiem... A jeśli zgubił go w drodze powrotnej? Może nawet na samej szosie? Jeśli ktoś go znajdzie, czy nie będzie to dowód przeciwko niemu? Gorzej, czy nie będzie to trop, którym pójdą poszukiwania, trop prowadzący prosto do niego?

Głowiąc się nad tymi pytaniami, nie od razu zauważył, że w ogrodzie Desmedtów panuje niezwykle ożywienie.

W grupie sześciu czy ośmiu osób, głównie kobiet – sklepikarka, której nigdy nie widywano u niej w sklepie, pani Kernevel, Claudine, a nawet stara pani Antonetti, tak chuda, że aż przezroczysta, mówiąca drżącym głosem i świdrująca człowieka niebieskimi oczami czarownicy, a poza tym złośliwa jak małpa – dało się zauważyć spore poruszenie.

Ta chmara ludzi zasłaniała postać pani Desmedt, słyhać było tylko, i to słabo, jej lekko nosowy głos. Pani Desmedt przez cały rok chodziła zakatarzona. „Uczulenie na trociny” – zwykła wyjaśniać mentorskim tonem. – „Co się dziwić, w takiej okolicy...” Mówiąc to, uderzała dłońmi o uda z plaśnięciem przypominającym policzkowanie, by podkreślić, jaki to los przypadł jej w udziale.

Ujrawszy to poruszenie w ogrodzie, Antoine zwolnił. Usłyszał za sobą szybkie kroki, to była Émilie. Zdyszana, już go doganiała, kiedy ktoś zawołał:

– No i jest! Jest Antoine!

Pani Desmedt, z chusteczką w dłoni, torując sobie drogę łokciami, wybiegła z ogrodu prosto do niego. Reszta kobiet podążyła za nią.

– Wiesz, gdzie jest Rémi? – zapytała jednym tchem.

W tym momencie Antoine zrozumiał, że nigdy nie zdobędzie się na kłamstwo. Ze ściśniętym gardłem pokręcił głową. Nie...

– Czyli... – rzuciła pani Desmedt.

W tym jednym, wypowiedzianym zdławionym głosem, słowie było tyle lęku, że Antoine o mało się nie rozplakał. Dopiero interwencja sklepikarki sprawiła, że się opanował.

– Czyli, że nie był z tobą...

Przełknął ślinę, rozejrzał się wkoło. Jego spojrzenie padło na Émilie, która wyhamowana w swoim pościgu za nim, śledziła całą scenę z zachłanną ciekawością. Antoine cichym głosem wykrztusił:

– Nie...

Był bliski załamania, kiedy sklepikarka podjęła:

– Gdzie go ostatni raz widziałeś?

Już miał powiedzieć, że tego dnia w ogóle go nie widział. Z twarzą bladą jak ściana wskazał ręką ogród. Znow posypały się komentarze.

– Ależ na Boga! – wykrzyknęła sklepikarka. – Przecież to dziecko nie rozpląnęło się w powietrzu!

– Gdyby poszedł zwykłą drogą, ktoś by go zobaczył...

– Czy to wiadomo...!

Pani Desmedt nadal wpatrywała się w Antoine'a, lecz wydawało się, że patrzy raczej gdzieś ponad nim i dopiero teraz do niej dociera, co się naprawdę dzieje. Dolna warga jej obwisła, wzrok miała nieruchomy. Jej przygnębienie wstrząsnęło Antoine'em.

Powoli się odwrócił i nie patrząc nawet na Émilie, ruszył do domu.

Zanim otworzył drzwi, obejrzał się. Uderzyło go dziwne podobieństwo pani Desmedt do żony pana Prévillle'a, której czasami udawało się zmylić czujność opiekunki i wtedy znajdowano ją na ulicy, gdzie z błędnym spojrzeniem

nawoływała swoją córkę jedynaczkę, która od ponad piętnastu lat nie żyła. Jasne włosy i świeżość Émilie tworzyły bolesny kontrast z tym spektaklem nieszczęścia, tej rozpacz.

Wchodząc do domu, Antoine poczuł ulgę. W salonie przystrojona łańcuchami choinka jaśniała niczym sklepowy neon.

Skłamał i uwierzyli mu. Ale czy nic mu już nie grozi?

I ten zegarek...

Matki jeszcze nie było, ale tylko patrzeć, jak wróci. Pobiegł na piętro, ściągnął koszulę, zwinął ją i wepchnął pod materac. Włożył czysty T-shirt, podszedł do okna, lekko odchylił zasłonę i dojrzał na ulicy zwalistą postać wracającego z fabryki pana Desmedta, który zmierzał prosto do ogrodu, dokąd wróciła grupka zaaferowanych kobiet. Emanowała od niego taka siła, taka brutalność, że Antoine aż się cofnął... Na samą myśl, że miałby znaleźć się twarzą w twarz z tym człowiekiem, zrobiło mu się słabo. Dostał mdłości, zakrył ręką usta, ledwie zdążył dobiec do toalety i nachylić się...

W końcu znajdą ciało Rémiego, przyjdą i będą mu zadawali pytania.

Wrócił do swojego pokoju na ugiętych nogach i padł na kolana.

Może już za niecałą godzinę, kiedy znajdą na szosie jego zegarek, kiedy zorientują się, że kłamał...

Dom otoczy oddział żandarmów, żeby nie mógł się wymknąć. Będzie ich trzech, może czterech. Z bronią w rękach wejdą powoli po schodach, plecami przywierając do ściany, a z zewnątrz przez megafon padnie rozkaz, żeby się poddał, żeby zszedł na dół z uniesionymi rękami... Nie będzie mógł się bronić. Od razu zakują go w kajdanki. „To ty zabiłeś Rémiego! Gdzie ukryłeś ciało?”

Możliwe, że nakryją mu głowę, by mu oszczędzić upokorzenia. Na parterze minie zdruzgotaną matkę, powtarzającą: Antoine, Antoine, Antoine... Na ulicy zbierze się całe miasto, słyhać będzie krzyki, wrzaski: łajdak, morderca, dzieciobójca! Żandarmi popychać go będą w stronę furgonetki, ale w tym momencie zjawi się pan Desmedt, jednym ruchem zerwie mu kurtkę z głowy, żeby Antoine mógł zobaczyć, jak przykłada fuzję do biodra i strzela.

Poczuł przeszywający ból w brzuchu, najchętniej wróciłby do toalety, ale nie ruszył się, zrozpaczony tkwił dalej na klęczkach na podłodze w swoim pokoju. Z dołu usłyszał głos matki:

– Antoine, jesteś tam?

Szybko, zmylić przeciwnika.

Zerwał się, usiadł za biurkiem.

Matka już była, już stała w drzwiach jego pokoju.

– Co się dzieje? – zapytała z niepokojem. – U Bernadette straszne zamieszanie!

Z udawaną bezsilnością wzruszył ramionami, nie wiem.

Ale pani Desmedt już go przecież pytała, nie mógł nie wiedzieć, co się dzieje.

– Chodzi o Rémięgo... Szukają go.

– Ooo? To nie wiedzą, gdzie jest?

To była cała jego matka.

– Skoro go szukają, mam, to dlatego, że nie wiedzą, gdzie jest, w przeciwnym razie by go nie szukali.

Ale pani Courtin nie słuchała, podeszła do okna. Antoine stanął za jej plecami.

Od przyjścia pana Desmedta w ogrodzie zebrali się więcej ludzi, pojawili się jego kumple z knajpy, koledzy od Weisera. Po pociemniałym niebie przetaczały się stalowoszare chmury. W zapadającym zmierzchu wszyscy ci ludzie wokół pana Desmedta wydali się nagle Antoine'owi myśliwską sforą. Zadrżał.

– Zimno ci? – zapytała matka.

Antoine tylko niecierpliwie machnął ręką.

Na dole wszystkie spojrzenia skierowały się na wchodzącego do ogrodu mera. Pani Courtin otworzyła okno.

– Chwileczkę, chwileczkę – mówił pan Weiser, który często się powtarzał.

Trzymał teraz otwartą dłoń przed piersią pana Desmedta.

– Nie można zawracać głowy żandarmom ot tak, bez powodu!

– Co? Bez powodu? – wrzasnął pan Desmedt. – Mój syn zniknął, a pan mówi bez powodu...

– Zniknął, od razu zniknął...

– To może pan wie, gdzie jest? Sześcioletnie dziecko, którego nikt nie widział od – spojrzał na zegarek i marszcząc brwi, obliczył – ...od prawie

trzech godzin, a pan uważa, że nie zniknął!

– No dobrze, gdzie po raz ostatni widziano to dziecko? – zapytał pan Weiser, najwyraźniej starając się być rzeczowy.

– Kawalek drogi przeszedł ze swoim ojcem, dobrze mówię, Roger? – drżącym głosem odpowiedziała pani Desmedt.

Pan Desmedt potwierdził. W południe zawsze przychodził do domu, a kiedy wracał do fabryki, nieraz się zdarzało, że Rémi kawalek go odprowadzał, a potem wracał spokojnie do domu.

– A dokąd pan doszedł, kiedy syn zawrócił? – zapytał mer.

Czuło się wyraźnie, że panu Desmedtowi nie bardzo się podoba, że dyrektor fabryki, jego pracodawca, odstawia śledczego. Jeszcze trochę, a zacznie go pouczać, jak ma się zajmować własną rodziną. W jego odpowiedzi słychać było z trudem powstrzymany gniew:

– Może to nie pan, tylko żandarmi powinni wziąć się do roboty?

O głowę wyższy od mera, podszedł do niego blisko, by jeszcze bardziej podkreślić tę przewagę. Mówił stentorowym głosem i pan Weiser z wyraźnym wysiłkiem starał się nie ustąpić mu pola. Postawił na swój autorytet, na swoją godność mera. Kobiety się cofnęły, mężczyźni podeszli bliżej, został w pewnym sensie osaczony: wszyscy byli robotnikami, ojcami lub braćmi robotników z jego fabryki. Ta nieoczekiwana konfrontacja przypominała niektórym o wiszącej nad nimi groźbie bezrobocia. Nie bardzo już było wiadomo, czy pan Desmedt jest rozsierdzony bardziej jako ojciec Rémiego, czy jako robotnik.

Pani Kernevel, niezbyt przejęta starciem między panem Desmedtem a merem Beauval, postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce, wróciła do domu i podeszła do telefonu.

Dla pani Courtin przybycie żandarmów to było już zbyt wiele. Wybiegła na dwór.

Wylegli również inni sąsiedzi, przechodnie przystawali, przywoływano nieobecnych, a ci, którzy nie mogli się już zmieścić w ogrodzie Desmedtów, koczowali na ulicy; cały ten tłumek kłębił się, rozprawiał i wzajemnie wypytywał, lecz rozmowy prowadzono ściszym głosem, szeptem, ich szmer zabarwiony był powagą i z troskaniem.

Antoine był zafascynowany furgonetką żandarmów.

Często przejeżdżała przez miasteczko, twarze żandarmów znali wszyscy. Nieraz zatrzymywali się w kafejce, a wtedy ostentacyjnie zamawiali tylko napoje bezalkoholowe i koniecznie chcieli za nie zapłacić. Czasem interweniowali, gdy dochodziło do kłótni czy przy okazji wręczania urzędowych dokumentów: ich przyjazd był zawsze wydarzeniem, ludzie zastanawiali się, z czyjego powodu przyjechali, i jeśli furgonetka nie zatrzymała się zbyt daleko, chętnie podchodzili.

Antoine, który nie znał się na stopniach, stwierdził, że ich dowódca jest bardzo młody. To go dziwnie podniosło na duchu.

Trzej żandarmi, torując sobie drogę przez tłum, weszli do ogrodu.

Dowódca zadał pani Desmedt kilka krótkich pytań. Z uwagą słuchając jej odpowiedzi, jednocześnie ujął ją za ramię i zmusił do wejścia do domu. Pan Desmedt ruszył za nimi, pokazując plecy merowi, który z kolei starał się podążyć za grupą.

Potem wszyscy zniknęli. Drzwi się zamknęły.

Tłumek podzielił się na małe podgrupy: robotnicy od Weisera, znajomi z dzielnicy, rodzice uczniów. Nikt ani myślał się stąd ruszyć.

Antoine zauważył, że atmosfera się zmieniła. Przybycie sił porządkowych wyniosło drobne zajście do rangi prawdziwego wydarzenia. To już nie był odosobniony incydent, lecz coś, co dotyczyło całej społeczności. Antoine to wyczuwał. Głosy bardziej opanowane, pytania bardziej niespokojne – wszystko to, ponieważ go dotyczyło, przybierało w jego oczach coraz groźniejszy obrót.

Pospiesznie zamknął okno, znów musiał biec do łazienki. Zgięty wpół usiadł na sedesie, ale efektu nie było. Miał rozstrój żołądka, wstrząsały nim bolesne skurcze. Oparł zaciśnięte ręce o...

Usłyszał jakiś hałas... Ból nagle ustąpił, Antoine uniósł głowę. Przypomniał mu się jeleni, którego kiedyś zaskoczył w lesie: wyprężony, powoli obracał uniesionym w górę łbem, próbując usłyszeć to, czego nie mógł zobaczyć, a kiedy wyczuł obecność Antoine'a, momentalnie przeobraził się w zaszczute zwierzę, płochliwe i spięte...

Antoine od razu zorientował się, że matka nie jest sama, bo słyhać było jakieś głosy, męskie głosy. Poderwał się i nie zapiąwszy nawet paska dzinsów, wrócił pędem do swojego pokoju.

– Zaraz go do panów przyprowadzę – powiedziała matka, wchodząc już na pierwsze stopnie schodów.

Antoine cofnął się jak najdalej od drzwi, powinien przybrać pewną siebie minę, ale nie zdążył.

– To żandarmi – powiedziała matka, wchodząc do pokoju. – Chcą z tobą porozmawiać.

W jej tonie nie było słychać cienia niepokoju. Antoine wychwycił w nim wręcz niejaką zachłanność: jej syn, więc i ona, byli przedmiotem zainteresowania władz, konsultowano się z nimi, mieli coś do powiedzenia. Byli ważni.

– Ze mną rozmawiać... o czym? – zapytał.

– Jak to... o Rézim, oczywiście!

Pytanie syna niemal ją zaszokowało. Ale oboje jeszcze bardziej wytrąciło z równowagi przybycie żandarma.

– Czy mogę...?

Powolnym acz władczym krokiem mężczyzna wszedł do pokoju.

Antoine nie potrafiłby określić jego wieku, w każdym razie nie był tak młody, jak mu się wydawało, gdy spojrzał przez okno. Żandarm popatrzył na chłopca z ufnym uśmiechem, szybkim spojrzeniem zlustrował pokój, podszedł do Antoine'a i przyklęknął. Miał gładko wygolone policzki, żywe przenikliwe spojrzenie oraz dość duże uszy.

– Posłuchaj, Antoine, znasz Rémiego Desmedta, prawda...?

Antoine przełknął ślinę i kiwnął głową, że tak. Żandarm wyciągnął rękę do jego ramienia, lecz wstrzymał się w pół gestu.

– Nie bój się, Antoine... Chcę się tylko dowiedzieć, kiedy po raz ostatni go widziałeś.

Antoine uniósł wzrok i zobaczył stojącą w drzwiach pokoju matkę, która obserwowała tę scenę z miną wyrażającą satysfakcję, niemal dumę...

– Patrz na mnie, Antoine. Odpowiedz.

Jego głos brzmiał już inaczej, był bardziej stanowczy, domagał się odpowiedzi... nad którą Antoine dotąd się nie zastanawiał. Z panią Desmedt poszło łatwiej. By zyskać na czasie, odwrócił się do okna.

– W ogrodzie – wykrztusił. – Tam, w ogrodzie...

– Która była godzina?

Antoine'owi otuchy dodał fakt, że głos mu przesadnie nie drżał, nie bardziej, niż mógłby drzeć każdemu innemu dwunastolatkowi przesłuchiwanemu przez żandarma.

Zastanowił się: co powiedziała przed chwilą pani Desmedt?

– Chyba wpół do drugiej...

– Dobrze. A co Rémi robił w ogrodzie...?

Odpowiedź padła natychmiast.

– Patrzył na worek z psem.

Żandarm zmarszczył brwi. Antoine zorientował się, że bez dodatkowych wyjaśnień jego odpowiedź brzmi niejasno.

– To jego ojciec, Rémięgo. Wczoraj zabił swojego psa. Wsadził go do worka na śmieci.

Żandarm się uśmiechnął.

– No, no, dzieją się tu rzeczy, w tym Beauval...

Ale Antoine nie był w nastroju do żartów.

– No, dobrze – podjął żandarm. – A gdzie jest ten worek na śmieci?

– Tam – odpowiedział Antoine, pokazując na okno – w ogrodzie. Z gruzem. Zastrzelił go z fuzji i wsadził do worka na śmieci.

– A więc Rémi był w ogrodzie i patrzył na ten worek na śmieci, tak?

– Tak. I płakał...

Żandarm przygryzł wargę, no tak, rozumiem.

– I potem go już więcej nie widziałeś...

Antoine pokręcił głową, że nie. Żandarm wpatrywał się w niego, zaciskając usta, skupiony na tym, co przed chwilą usłyszał.

– I nie widziałeś, żeby jakiś samochód się zatrzymał czy czegoś podobnego...?

– Nie.

– To znaczy, nic niezwykłego?

– Nie.

– No dobrze!

Żandarm uderzył dłońmi o kolana, no cóż, to chyba tyle...

– Dziękuję, Antoine, bardzo nam pomogłeś.

Wstał. Wychodząc, lekko skinął dłonią do pani Courtin, gotowej zejść za nim na dół.

– A, prawda, powiedz mi, Antoine...

W progu pokoju żandarm przystanął, odwrócił się.

– Kiedy go zobaczyłeś wtedy, tam w ogrodzie... to dokąd szedłeś?

Odpowiedź odruchowa:

– Nad jezioro.

Antoine poczuł, jak szybko padła. Za szybko.

Powtórzył więc, już spokojniej:

– Byłem nad jeziorem.

Żandarm skinął głową. OK, w porządku. Nad jeziorem.

Żandarm stał na chodniku z niepewną miną.

Patrzył na skupisko ludzi na ulicy, coraz liczniejsze i coraz bardziej pobudzone.

Słyszał niecierpliwe donośne głosy komentujące domniemany przebieg wydarzeń. Zapadający zmierzch czynił powrót Rémiego raczej wątpliwym. Kto co robił? Kto się czym zajmował? Mer krążył tam i z powrotem między grupką robotników i furgonetką żandarmerii, próbując jednych uspokajać, drugich wypytywać... Nie można było wykluczyć, że dojdzie do wybuchu zbiorowego gniewu, ponieważ każdy, z innych zapewne powodów, czuł się ofiarą niesprawiedliwości i w zaistniałych okolicznościach upatrywał sposobność, by to głośno wyrazić.

Młody żandarm otrząsnął się. Lekko klasnął, przywołując kolegów.

W kilka minut została rozłożona mapa sztabowa, żandarm zaapelował do ochotników, którzy, niczym w szkole, zgłosili się, unosząc w górę palec. Policzone ich. A ponieważ pani Desmedt, kiedy zorientowała się, że Rémi zniknął, zdążyła już obejść całe śródmieście, każdy dostał polecenie patrolowania strefy zewnętrznej, szos i dróg prowadzących do Beauval.

Zawarczały silniki. Siadając za kierownicą, mężczyźni prężyli ramiona; zdawać by się mogło, że ruszają na polowanie. Również mer wsiadł do samochodu służbowego, by wziąć udział w poszukiwaniach. Nawet jeśli wszyscy działali w słusznej sprawie, w powietrzu wyczuwało się jakąś energię, tę determinację, która często leży u podstaw linczów i pogromów.

Stojąc w oknie, Antoine czuł paradoksalną pewność, że wszyscy ci oddalający się ludzie tak naprawdę udają się na spotkanie właśnie z nim.

Młody żandarm nie od razu wsiadł do samochodu. Zamyślony obserwował tę zbiorową determinację. To, co raz wystartuje, być może nieprędko się zatrzyma.

W całym departamencie ogłoszono stan pogotowia.

We wszystkich miejscach publicznych zostały rozklejone zdjęcia małego Rémiego wraz z jego rysopisem.

U Desmedtów pojawiały się kolejne kobiety, by dotrzymać towarzystwa Bernadette. Nawet pani Courtin, po rozpakowaniu zakupów i zrobieniu kolacji, zawołała z dołu:

– Idę do Bernadette, Antoine!

Nie czekała na odpowiedź. Antoine zobaczył, jak szybkim krokiem przemierza ogród.

Wizyta żandarma okropnie go rozstroiła. Ten człowiek sprawiał wrażenie podejrzliwego i wścibskiego...

Nie uwierzył mu.

Antoine był tego absolutnie pewny. Zwłaszcza po tym, jak żandarm przez dłuższą chwilę stał na chodniku, myśląc, co Antoine mu powiedział, zastanawiając się, czy nie wrócić do niego na górę i nie zażądać wyjaśnień.

Antoine patrzył na opustoszały teraz ogród i nie śmiał się poruszyć. Bo jeśli się odwróci, zobaczy w pokoju żandarma, który zamknąwszy drzwi, usiądzie na łóżku i bacznie mu się będzie przyglądał. Na zewnątrz miasto będzie dziwnie spokojne, jakby pozbawione sił witalnych.

Przez dłuższą chwilę żandarm nic nie powie i wtedy Antoine zrozumie, że jego własne milczenie jest przyznaniem się do winy.

– Więc byłeś na jeziorem...

Antoine pokiwa głową, że tak.

Żandarm robi zasmuconą minę, ściągnie usta i cichym cmokaniem wyrazi swoje rozczarowanie.

– Czy wiesz, co teraz nastąpi? – zapyta i wskaże na okno. – Niedługo wszyscy wrócą. Większość nic oczywiście nie znajdzie, ale pan Desmedt, który zatrzyma się przy wąskiej drodze, tej która prowadzi do lasu w Saint-Eustache...

Antoine przełyka ślinę. Nie chce słuchać dalszego ciągu, ale żandarm jest zdecydowany niczego mu nie oszczędzić.

– Znajdzie na niej twój zegarek i wtedy pomaszeruje prosto do wielkiego buka. Nachyli się, wyciągnie rękę, coś schwyci, zacznie ciągnąć, i co się wtedy pojawi, Antoine? Co? Co się wtedy pojawi? Mały Rémi... Martwy jak ptak

dodo. Ze zwiotczalymi rękami i nogami, z główką bezwładnie kiwającą się na boki, jak wtedy, kiedy go niosłeś, pamiętasz?

Antoine nie jest w stanie się poruszyć, otwiera usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

Wtedy pan Desmedt weźmie Rémię na ręce i przyniesie do domu. Wyobrazasz sobie tę scenę – pan Desmedt kroczy przez Beauval ze swoim martwym synkiem w ramionach, a za nim orszak wszystkich mieszkańców dzielnicy... I jak myślisz, co potem zrobi? Spokojnym krokiem wejdzie do domu,łoży Rémię w ramionach jego matki, wyjmie strzelbę, przejdzie przez ogród, wejdzie po schodach i znajdzie się tutaj...

W tym momencie pan Desmedt wchodzi do pokoju ze strzelbą. Jest tak wielki, że musi schylić głowę, żeby przejść przez drzwi. Żandarm nie rusza się, wpatruje się w Antoine'a, uprzedzałem cię, co niby mam teraz zrobić?

Pan Desmedt zbliża się ze strzelbą przy biodrze, jego wielki cień pada na Antoine'a i na okno za nim, i na całe miasto...

Huk wystrzału.

Antoine krzyczy.

Kłęczał na podłodze, trzymając się za brzuch, zwymiotował trochę żółci.

Oddałby wszystko, byle już tu nie być... Na tę myśl raptem znieruchomiał.

Już tu nie być...

To właśnie powinien zrobić. Uciec.

Zafrapowany tą oczywistością, uniósł głowę. Czemu wcześniej o tym nie pomyślał? Ten genialny pomysł wyrwał go z odrętwienia. Jego umysł, dotąd działający na zwolnionych obrotach, znowu zaczął pracować z normalną szybkością. Ogarnęło go wielkie podniecenie.

Otarł mankietem usta i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju. By niczego nie zapomnieć, złapał zeszyt do prac domowych, długopis i zaczął pospiesznie notować, co tylko przychodziło mu do głowy: ubrania, pieniądze, pociąg, samolot (?), Spider-Man, paszport! Niemiecki dokument, jedzenie, namiot (?), torba podróżna...

Musi działać szybko. Wyjechać dzisiaj wieczorem, dziś w nocy.

Jeśli się uwinie, jutro rano będzie już daleko.

Odpędził od siebie myśl, żeby potajemnie pożegnać się z Émilie, nie ma mowy, Émilie wszystko rozpowie. A tak jutro dowie się, że Antoine wyruszył

samotnie na spotkanie z przygodą, nigdy więcej już o nim nie usłyszy, albo nie, będzie jej przysyłał widokówki z całego świata, ona będzie je pokazywała koleżankom z klasy, a wieczorem, patrząc na nie, będzie płakała, schowa je do pudełka...

Dokąd jechać? Będą sobie wyobrażać, że pojechał do Saint-Hilaire, on tymczasem wyruszy w odwrotnym kierunku, wprawdzie nie wiedział, dokąd ten kierunek prowadzi, bo wyjeżdżając z Beauval, zawsze jechało się drogą przez Saint-Hilaire. Sprawdzi to na mapie.

Jego umysł osiągnął stan wrzenia. W obliczu każdej przeszkody natychmiast znajdował rozwiązanie. Do dworca w Marmont jest osiem kilometrów, wyruszy nocą, na wszelki wypadek trzymając się z dala od szosy. Po przybyciu na miejsce będzie musiał kupić bilet, lecz by uniknąć rozpoznania, poprosi kogoś, żeby go w tym wyreczył – był bardzo zadowolony z tego podstępu. Najlepiej kobietę, z kobietą pójdzie mu łatwiej. Powie, że matka przywiozła go na dworzec i odjechała, ale zapomniała dać mu bilet, pokaże pieniądze... Pieniądze? Ile ma na swojej książeczce oszczędnościowej?

Popędził na dół, po drodze mało się nie przewracając, otworzył szufladę komody obok drzwi, jest książeczka! Na każde jego urodziny ojciec skrupulatnie ją zasilał. 1565 franków! Dotąd ta suma była abstrakcją, matka zawsze powtarzała, że będzie mógł nią dysponować, ale „dopiero jak będziesz pełnoletni, żeby kupić coś praktycznego”. Tylko raz zrobiła wyjątek, w zeszłym roku (i to z jakimi oporami!), w kwestii zegarka do nurkowania.

Zegarek...

Antoine wzdrygnął się.

Ma na książeczce ponad 1500 franków! Z takimi pieniędzmi będzie mógł bardzo daleko zajechać, utrzymać się przez kawał czasu!

Jeszcze bardziej rozemocjonowany zabrał książeczkę do swojego pokoju. Do dzieła, potrzebna jest kolejność, metoda. Spieszno mu było wybrać miejsce, dokąd się uda. Najpierw pociąg – do Paryża? Czy do Marsylii? Australia i Ameryka Południowa wydawały mu się najpewniejsze, ale pomyślał, że może z Marsylii... Zdecyduje na miejscu. Najlepiej byłoby wsiąść na statek, mógłby zaproponować, że cenę biletu odpracuje, dzięki czemu zachowałby pieniądze na pobyt. Machnięciem ręki ogarnął całą kulę ziemską... Nie, później... Dziś w nocy...

Walizka, nie, torba podróżna, brązowa, ta, którą matka trzyma w piwnicy. Pobiegł i dopiero kiedy ją wniósł do pokoju, zauważył, jaka jest wielka, niósł ją, prawie ciągnąc po ziemi. Jak będzie wyglądał na dworcu z takim ogromnym bagażem? Czy nie byłoby rozsowniej spakować się w coś innego, na przykład plecak? Położył torbę i plecak na łóżku. Jedno było za duże, drugie za małe... Szybka decyzja. Wybrał plecak, do którego od razu zaczął wkładać skarpetki i T-shirty. Do zewnętrznej kieszeni wsunął Spider-Mana, potem zszedł na dół, żeby odłożyć torbę na miejsce oraz zabrać paszport i dokument, który matka mu wyrobiła, kiedy pojechał do ojca do Niemiec. Nigdy nie pamiętał, jak to się nazywa, a tak, zezwolenie na wyjazd z kraju. Tylko czy jest nadal ważne?

W trakcie tych rozważań usłyszał, że na dole otwierają się drzwi.

Rozpoznał głos matki, ale także głosy Claudine i pani Kernevel.

Ostrożnie podkradł się korytarzem bliżej schodów.

Pani Courtin zabrała się do parzenia herbaty i wszystkie trzy kontynuowały rozmowę zaczęłą na ulicy.

– Gdzie tego dzieciaka poniosło?

– Nad jezioro – odparła Claudine – bo niby gdzie indziej miałby tak zniknąć! Jak nic, wpadł do wody...

– To już nieaktualne, moja biedna Claudine – przerwała jej pani Kernevel. – Odkąd znowu widziano tego patałacha kierowcę...

– Co... Jakiego kierowcę?

– No co ty, Claudine! Tego, który przejechał psa Desmedtów!

W głosie pani Kernevel brzmiało rozdrażnienie. Na jej obronę trzeba powiedzieć, że Claudine była miłą dziewczyną, ale kompletną kretynką, żeby cokolwiek do niej dotarło... Pani Courtin włączyła się do rozmowy i mentorskim tonem, którego używała do pouczania Antoine'a, wyjaśniła:

– Tego kierowcę, który wczoraj potracił psa Desmedtów... No więc dziś rano ktoś widział jego samochód zaparkowany niedaleko jeziora... Czyli to ktoś, kto kręci się w pobliżu...

– A ja myślałam, że ten mały się zgubił...

Claudine była przygnębiona tym odkryciem.

– Zastanów się, Claudine: od pierwszej po południu nikt go nie widział, a jest już prawie szósta. Wszędzie go szukali, nie mógł zajść zbyt daleko, ma dopiero sześć lat!

– Może go... A jeśli to porwanie, mój Boże, tylko w jakim celu?

Tym razem nie doczekała się odpowiedzi.

Antoine nie umiałby tego wytłumaczyć, ale to, że brano pod uwagę kidnapping, podniosło go trochę na duchu. Pomyślał, że taka hipoteza oddala podejrzenia od niego.

Na tyłach domu usłyszał nadjeżdżające samochody. Podbiegł do okna.

Przyjechały trzy. Nadejście nocy przerwało poszukiwania. Przyjechał czwarty. Potem na ulicy zaparkował samochód służbowy z merem za kierownicą. Na chodniku mężczyźni rozmawiali półgłosem. Ich energiczna i zdecydowana postawa zniknęła, wyglądali teraz na zakłopotanych i w pewien sposób winnych.

Pani Desmedt nie czekała, aż któryś z nich zbierze się na odwagę i przyjdzie, by dostarczyć jej wiadomości, które nie były nowinami; ze zmienioną twarzą wybiegła z domu, wysłuchiwała relacji tego i tamtego, a wraz z każdą informacją zdawała się coraz bardziej w sobie zapadać. Ci mężczyźni, którzy wrócili z niczym, ta ciemna już teraz noc, mijające godziny... W końcu nadjechał pan Desmedt. Wysiadł z samochodu ze spuszczoną głową. Ujrzawszy męża, Bernadette zachwiała się, pan Weiser ledwie zdążył ją podtrzymać.

Pan Desmedt podbiegł, objął żonę i smutny orszak ruszył w stronę domu.

To wszystko – kredowobiała twarz Bernadette, jej podkrążone oczy, sposób, w jaki przygryzała zaciśniętą pięść, i to, jak nagle zasłabła – Antoine'em ogromnie wstrząsnęło.

Tak bardzo chciałby jej zwrócić Rémięgo.

Rozpłakał się, powoli, w milczeniu, w głębokiej rozpacz, bo wiedział, że Bernadette już nigdy nie zobaczy swojego synka żywego.

Niedługo zobaczy go martwego.

Leżącego na aluminiowym stole, okrytego prześcieradłem. Przytuli się do męża, który obejmie ją ramieniem. Pracownik kostnicy powoli odchyli prześcieradło. Ujrzy posiniąłą twarz Rémięgo, bez wyrazu, z ogromnym krwiakiem po prawej stronie głowy. Wybuchnie płaczem, pan Desmedt ją podtrzyma. Wychodząc, da znak stojącemu obok nich żandarmowi, tak, to on, to nasz mały Rémi...

Kilka minut później nadjechała z kolei furgonetka żandarmerii.

Antoine zobaczył dowódcę, który w towarzystwie dwóch kolegów przeszedł przez ogród i zadzwonił do drzwi. Następnie odbyli tę trasę w odwrotnym kierunku, ale tym razem z panem Desmedtem, który maszerował między nimi wielkimi krokami, gotując się ze złości. Szli w stronę furgonetki, przy której pośpiesznie zebrali się wszyscy obecni jeszcze mężczyźni.

Słyszając krzyki, Antoine otworzył okno.

– Dokąd go zabieracie?

– Jakim prawem...?

– Przepuście ich – wołał mer, robiąc wszystko, by nie dopuścić do ataku na żandarmów.

– To mer jest teraz po stronie żandarmów? Przeciwno ludziom?

Żandarmi cierpliwie i w skupieniu szli dalej, a potem kazali panu Desmedtowi wsiąść do ich wozu i natychmiast odjechali.

Większość mężczyzn wskoczyła do samochodów i ruszyła w ślad za furgonetką...

Antoine nie wiedział, co o tym myśleć.

Dlaczego zabrano ojca Rémięgo? O coś go podejrzewano?

Ach, gdyby tak można było aresztować kogo innego niż jego, Antoine'a, a najlepiej pana Desmedta, którego tak okropnie się bał... Pomyślał o Bernadette, która przed chwilą zobaczyła, że jej mąż odjeżdża... Targany sprzecznymi emocjami Antoine nie wiedział już, co robić.

Claudine i pani Kernevel wyszły i pani Courtin zaczęła podgrzewać kolację.

Antoine w milczeniu podjął dalsze przygotowania. Jego plecak był za mały, nie mógł w nim upchnąć wszystkiego, co zamierzał zabrać, ale trudno, za pieniądze, które ma, kupi po drodze wszystko, co mu będzie potrzebne.

Koło wpół do ósmej matka zawołała go na kolację.

– Masz pojęcie, co za historia...

W równym stopniu co do syna, mówiła to sama do siebie.

Dotąd traktowała całe zdarzenie jako drobną sensację dnia, jedną z tych sąsiedzkich historii, które ludzie opowiadają sobie jeszcze przez długie lata, ponieważ była przekonana, że Rémi się odnajdzie i ponieważ nie mieściło jej się w głowie, że mógł rzeczywiście zniknąć. Pamiętała wiele przypadków, kiedy trzeba było szukać małych dzieci...

Nakrywając do stołu, opowiadała:

Taki na przykład syn sąsiadki twojej ciotki... Miał cztery lata. Zasnął w skrzyni na bieliznę, masz pojęcie? Całymi godzinami go szukali, wezwali już nawet żandarmów, i dopiero pasierbica go znalazła!

W tym momencie w ich oknach zajaśniały światła policyjnych wozów. Pani Courtin podniosła się pierwsza. Otworzyła drzwi.

Furgonetka żandarmów zatrzymała się nie przed domem Desmedtów, tylko Courtinów.

Pani Courtin zwawym ruchem ściągnęła fartuch. Antoine stanął za matką.

W ich stronę zmierzał młody żandarm.

Antoine myślał, że padnie trupem.

– Pani Courtin, przepraszam, że przeszkadzam. Ale chcielibyśmy porozmawiać z pani synem.

Mówiąc to, nachylił się, szukając spojrzeniem Antoine'a. Pani Courtin zmarszczyła brwi.

– Ale dlaczego...

– Zwykła formalność, nic więcej. Antoine?

Tym razem żandarm nie próbował już przyklękać, żeby znaleźć się na równi z nim.

– Zechcesz pójść ze mną, chłopcze?

Antoine udał się z nim do ogrodu sąsiadów, gdzie stało dwóch żandarmów. Czekał też z nieprzeniknioną miną pan Desmedt, który wlepił w Antoine'a wściekłe spojrzenie.

Żandarm odwrócił się do Antoine'a.

– Pokaż mi, w którym dokładnie miejscu widziałeś Rémię po raz ostatni?

Spojrzenia wszystkich były skierowane na Antoine'a. Matka stała za nim.

Co odpowiedział wtedy Bernadette? Co powiedział żandarmowi? Dokładnie już nie pamiętał, bał się, że się popłacze. Mówił coś o psie. Ponieważ Antoine ani drgnął, żandarm powtórzył pytanie:

– Antoine, pokaż mi, proszę, gdzie dokładnie znajdował się Rémi?

Antoine zrozumiał, że żandarm specjalnie stanął w tym miejscu, żeby zasłonić przed nim stos worków na śmieci. Nagle wszystko wydało mu się dużo prostsze. Zrobił krok do przodu, wyciągnął ramię.

– Tam.

– Stań w tym miejscu, gdzie go zobaczyłeś.

Antoine podszedł do worków. Wyobraził sobie tę scenę. Zobaczył siebie, jak idzie, jak widzi obok worków zapłakanego Rémięgo...

Podszedł bliżej. Tam.

Żandarm stanął koło niego, sięgnął po pierwszy z brzegu worek, przyciągnął do siebie, otworzył, zajrzał do środka. Pan Desmedt z założonymi rękami obserwował scenę.

W drzwiach domu rysowała się pod światło postać Bernadette. Zaciskała pod brodą kołnierz płaszcza.

– I co Rémi robił...? – zapytał żandarm.

Trwało to za długo. Kilka minut Antoine byłby w stanie wytrzymać, ale w tym ogrodzie oświetlonym jedynie lampą spod daszka markizy i światłami ulicznych latarni, czując na sobie spojrzenia Bernadette, pana Desmedta, żandarma, swojej matki, która próbowała zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi... Spojrzenia ludzi, którzy przystawali teraz na ulicy, przyglądając się tej scenie.

Rozpłakał się.

– Już dobrze, chłopcze – powiedział żandarm, ujmując go za ramię.

W tym momencie usłyszeli głucho dudnienie, jakby łopot skrzydeł jakiegoś dalekiego ptaka. Nad lasem od strony Saint-Eustache przelatywał helikopter, kierując chwiejne światła reflektora w dół.

Serce Antoine'a łomotało w tym samym rytmie, co niewidoczne łopaty śmigła helikoptera kołującego na nocnym niebie.

Żandarm odwrócił się do pana Desmedta, przyłożył palec do kepi.

– Dziękuję za współpracę... Alarm został ogłoszony, będziemy pana na bieżąco informowali, o ile pojawi się coś nowego, rzecz jasna.

W asyście obu kolegów wsiadł do furgonetki i odjechał.

Wszyscy wrócili do swoich domów.

– Próbują zrozumieć, jak się to wszystko odbyło... – podsumowała pani Courtin.

Zamknęła drzwi, przekręciła klucz w zamku i wróciła do salonu.

Antoine zatrzymał się w progu, wpatrując się w ekran telewizora, na którym widać było twarz Rémiego, uśmiechniętego, z przylizanym kosmykiem włosów nad czołem; było to klasowe zdjęcie z zeszłego roku. Antoine znał ten żółty T-shirt z nadrukowanym niebieskim słonikiem.

Prowadzący przedstawiał rysopis chłopca: w co był ubrany, kiedy zaginął, hipotezy, co mogło zdarzyć się na drodze, którą poszedł. Miał metr piętnaście wzrostu.

Nie wiedzieć czemu, słysząc tę liczbę Antoine mało się nie rozplakał.

Apelowano do świadków zajścia, w dole ekranu przesuwał się pasek z numerem interwencyjnym. Mowa była o wysłaniu nad jezioro ekipy nurków. Antoine wyobraził sobie strażaków i migające światła ich wozów zaparkowanych na drodze prowadzącej do jeziora, płetwonurków siedzących na burcie łodzi pneumatycznej, szybkim precyzyjnym ruchem wykonujących przewrót w tył...

Prezenterka była czterdziestoletnią kobietą, którą Antoine często widywał na ekranie, ale dzisiaj patrzył na nią innym okiem, ponieważ poważnym, bez mała uroczystym głosem mówiła: „Wstępne poszukiwania zakończyły się fiaskiem...”.

Ukazało się kilka zdjęć z Beauval, nie najświeższej daty, zapewne pochodzących z archiwów. I kilka ujęć ukazujących wozy żandarmerii mające patrolować okolice miasta.

„...zmrok zmusił śledczych do odłożenia dalszych poszukiwań na jutro”.

Antoine nie był w stanie oderwać oczu od ekranu. Miał dziwne wrażenie déjà vu: wiadomość o tragicznym wydarzeniu, jakich wiele, lecz tym razem dotycząca bezpośrednio jego, gdyż to on był zabójcą.

„...wszczęcie przez prokuraturę w Villeneuve dochodzenia sądowego celem ustalenia przyczyn zaginięcia”.

– Usiądziesz wreszcie do stołu, Antoine? – zapytała matka.

Odwróciła się, wydał jej się zdumiewająco blady.

– Nie zdziwiłabym się, gdybyś szykował nam jakiś numer...

Antoine zjadł lekką kolację, czyli nie zjadł nic. Brak apetytu.

– Ba, co się dziwić – powiedziała matka. – Przy tym wszystkim, co się tu dzieje...

Antoine pomógł jej sprzątnąć ze stołu, a potem jak co wieczór podszedł do niej, podsunął policzek do pocałunku i wrócił do swojego pokoju.

Musiał się przygotować, dokończyć pakowanie plecaka. O której godzinie będzie mógł wyruszyć tak, żeby go nikt nie zobaczył? W nocy...

Wyciągnął swoje rzeczy spod łóżka i nagle ogarnęły go wątpliwości: jak weźmie pieniądze z książeczki?

W tych wyjątkowych przypadkach, kiedy matka zgadzała się na ich podjęcie – na przykład na kupno zegarka – zawsze to ona szła na pocztę, sam nie możesz tego zrobić, nie jesteś pełnoletni... Antoine podejździe do okienka, poproszą go o dowód tożsamości, nie, nawet nie, wystarczy na niego spojrzeć, nie, chłopcze, to niemożliwe, musisz przyjść z matką lub z ojcem...

Bez pieniędzy ucieczka była niemożliwa.

Cały jego plan stanął pod znakiem zapytania. Nie pozostawało mu nic innego, jak zostać i czekać, aż go aresztują.

Był załamany, ale nie aż tak, jak by przypuszczał. Spojrzał na wystrój swojego pokoju nowym okiem. Ten plecak wypchany skarpetkami i T-shirtami z wystającą z bocznej kieszeni figurką Spider-Mana wydał mu się nagle żałosny.

Upajał się myślą o wyjeździe, o ucieczce, ale czy naprawdę w to wierzył?

Raptem poczuł obezwładniające zmęczenie. Zabrakło mu łez, żeby płakać. Teraz był już tylko wykończony.

Wsunął plecak pod łóżko, schował książeczkę oszczędnościową i dokumenty do szuflady biurka i wyciągnął się na łóżku.

We śnie wędrował do zwałonego drzewa z Réميم na plecach. Przez cały czas widział przed oczami kołyszące się, bezwładne ręce dziecka.

Szedł, ale nie posuwał się naprzód. Mimo usilnych starań odległość wciąż pozostawała taka sama. Wtedy spojrzał w dół, a tam u jego stóp leżał jego zegarek. Wyglądał tak samo jak prawdziwy, miał taki sam jaskrawozielony pasek, ale był jeszcze większy, trudno go było przeoczyć.

Rémi zniknął, a Antoine dźwigał teraz na plecach ten ogromny zegarek, jeszcze cięższy niż ciało dziecka. Szedł przez las, oddalał się od Saint-Eustache. Słyszając jakiś hałas za plecami, zatrzymał się, odwrócił.

To był Rémi. Leżał na brzuchu w ciemnej rozpadlinie. Nie był martwy, tylko ranny, miał połamane żebra i nogi, i straszliwie cierpiał. Wyciągał ręce ku krawędzi jamy, do światła. Do Antoine'a. Wzywał pomocy, chciał, żeby Antoine pomógł mu wydostać się z tej dziury. Nie chciał umierać.

Antoine!

Nie przestawał krzyczeć.

Antoine próbował przyjść mu z pomocą, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa, widział, jak Rémi wyciąga do niego ramiona, słyszał jego błagania przechodzące w zawođenje...

Antoine!

Antoine!

– Antoine!

Gwałtownie się ocknął. Na brzegu łóżka siedziała matka, zaciskając dłonie i wpatrując się w niego z niepokojem.

– Antoine...

Momentalnie oprzytomniał, usiadł. Wszystko do niego wróciło.

Która była godzina?

Pokój oświetlało jedynie słabe żółte światło docierające na piętro z parteru.

– Ale mnie wystraszyłeś tym krzykiem... Antoine, czy coś się stało...?

Antoine przełknął ślinę. Pokręcił głową, że nie.

– Powiedz. Stało się coś?

Czy to była ta chwila, żeby wszystko wyznać? Gdyby w pełni oprzytomniał, zapewne uległby pokusie, by zrzucić z siebie ten zbyt wielki jak na niego ciężar, powiedziałby matce wszystko, wszystko. Ale z trudem docierało do niego, co się naprawdę dzieje.

– Śpisz w ubraniu, nawet butów nie zdjąłeś... To do ciebie niepodobne...
Jeśli jesteś chory, czemu mi nie powiesz?

Położyła mu dłoń na ramieniu; szybko się cofnął, nie przepadał za fizycznym kontaktem z matką. Nie poczuła się dotknięta, nastolatki tak już mają, czytała o tym w różnych artykułach, nie należało brać tych rzeczy do siebie, to sprawa wieku, minie mu.

– Coś ci dolega?

– Nie, wszystko w porządku – odparł Antoine.

Tym samym co zawsze gestem matka przyłożyła mu dłoń do czoła.

– Pewnie cała ta historia ciebie też rozstraja. I jeszcze ci żandarmi, którzy wypytyują o różne rzeczy, nic dziwnego, człowiek nieprzyzwyczajony...

Przyglądała mu się z czułym uśmiechem. Zwykle takie zachowanie matki drażniło go, nie patrz tak na mnie, nie jestem już dzidziusiem, ale tym razem potrzeba pocieszenia okazała się silniejsza. Zamknął oczy.

– No, a teraz rozbierz się i idź spać – powiedziała wreszcie.

Zgasiła światło i wyszła, zostawiając otwarte drzwi.

Antoine zasnął dopiero nad ranem.

6

Nazajutrz skoro świt helikopter Straży Cywilnej na nowo podjął kołowanie po niebie. W regularnych odstępach czasu przelatywał nad ludźmi, którzy unosili głowy, odprowadzali go spojrzeniem. Żandarmów z Beauval wsparli inni koledzy z departamentu. Przez centrum miasteczka przejeżdżały wte i wewte furgonetki i niebieskie radiowozy, udające się na patrolowanie okolicznych dróg.

Niedługo upłyną dwadzieścia cztery godziny od zaginięcia Rémiego.

Wśród sklepikarzy, u których wymieniano najnowsze wiadomości, przeważał pesymizm. Narastał w nich także gniew, skierowany pod adresem a to żandarmów, a to merostwa. Bo trochę to jednak trwało, nim żandarmi zainteresowali się tym zniknięciem, nie? Powinni byli od razu zacząć szukać tego małego. Co do chwili podjęcia przez nich interwencji zdania były podzielone, jedni mówili trzy godziny (kawał czasu, kiedy znika sześćioletni maluch!), inni że ponad pięć, nikomu właściwie nie wychodził ten sam rachunek, bo nikt nie liczył od tego samego momentu. O której zorientowano się, że małego nie ma, koło południa? Nie, dochodziła prawie czternasta, ktoś widział, jak pani Desmedt wypytuje w okolicznych sklepach. A skąd, przecież Rémi odprowadził ojca, a ten wraca do fabryki o trzynastej czterdzieści pięć. Trudno, co do godziny nie ma pewności, podsumowała pani Kernevel, ale w końcu to przecież merostwo powinno pierwsze ruszyć do działania. Co do tego prawie wszyscy byli zgodni, tymczasem pan Weiser nie chciał nawet zawiadamiać żandarmów! Mówił, że mały wróci, a oni wyjdą na głupków, bo ich niepotrzebnie wzywali!

Antoine nie opuszczał pokoju. Próbując skupić się na swoich transformersach, miał jednocześnie oko na ogród sąsiadów, w którym nic specjalnego się nie działo. Pan Desmedt wyruszył o świcie szukać Rémiego i jak dotąd jeszcze się nie pojawił.

Z kolei matka Antoine'a raz po raz wracała do domu z nowymi, sprzecznymi ze sobą informacjami.

Późnym rankiem do miasta zawitał wóz lokalnej telewizji; dziennikarka wypytywała przechodniów. Ekipa sfilmowała dom Desmedtów i odjechała.

Koło południa wróciła pani Courtin z wiadomością, że żandarmi od rana przesłuchują nauczyciela z gimnazjum, ale nie potrafiła podać jego nazwiska.

A potem rozeszła się wieść, że koło czternastej nad jezioro przyjadą nurkowie ze Straży Cywilnej.

Pani Courtin popędziła do Bernadette, by jej doradzić (nie ona jedna), żeby tam nie szła, ale na próżno. Koło trzynastej trzydzieści w ogrodzie zebrał się tuzin osób chętnych jej towarzyszyć, jedni żeby pomóc w poszukiwaniach, inni, by ją wesprzeć na duchu. Wyruszając, wyglądali, jakby szli na pogrzeb, widok niezbyt krzepiący.

Antoine patrzył na oddalającą się grupę. Czy on też powinien do nich dołączyć? O jego decyzji przesądziła pewność, że niczego nie znajda.

Na drodze był tłum. Z dala trudno było stwierdzić, czy to jakaś procesja, czy impreza turystyczna.

Pani Antonetti, siedząca na swoim wyplatany krześle na chodniku, obserwowała defiladę mieszkańców Beauval ze ślełą pogardą, na którą nikt od dawna nie zwracał już uwagi.

Żandarmi rozstawili barierki ochronne, żeby ludzie nie zbliżali się do jeziora; nie wolno było nurkom przeszkadzać w pracy. Kiedy, podtrzymywana przez panią Courtin i Claudine, nadeszła Bernadette, dyżurny funkcjonariusz nie wiedział, co robić. Trudno chyba zabronić obecności matce, podniosły się wokół niego głosy oburzenia. Funkcjonariusz zachowywał rezerwę, ale barierki zaczynały się chwiać, tu i ówdzie rozległy się okrzyki, śmignęła obelga, ludzi znów ogarniał gorączkowy stan towarzyszący całemu temu wydarzeniu od samego początku. Funkcjonariusz postanowił ustąpić, a wtedy powstało pytanie: kogo wpuścić na zastrzeżony teren, żeby dotrzymał towarzystwa Bernadette?

Na szczęście przyjechał kapitan żandarmów. Władczym gestem ująwszy Bernadette za ramię, zaprowadził ją do furgonetki i poczęstował herbatą z własnego termosu. Z miejsca, w którym się znalazła, nie widziała nic z tego, co się działo na jeziorze, ale przynajmniej tu była.

Antoine został daleko w tyle. Podeszła do niego Émilie. Chciała nawiązać rozmowę, ale nie zdążyła, bo nadchodzili już Théo, potem Kevin, a potem cała reszta, chłopcy i dziewczęta. Wszyscy mieli podobne miny jak ich rodzice,

mówili to, co ich rodzice. Niektórzy znali Rémię tylko z widzenia, lecz czuli się tak, jakby był młodszym bratem wszystkich dzieci, tak jakby był już synem wszystkich dorosłych.

– Ten, którego aresztowali, to pan Guénot – poinformował Théo.

Ta rewelacja wywołała szok. Pan Guénot był nauczycielem biologii, opasłym facetem, o którym krążyły różne plotki. Niektórzy widzieli go w Saint-Hilaire wychodzącego z różnych dziwnych miejsc...

Zaskoczona Émilie odwróciła się do Théo.

– Pana Guénota nie ma u żandarmów, dziś rano go widzieliśmy!

Théo wiedział swoje.

– Widziałas go dziś rano, bo jeszcze go nie aresztowali. Ale zapewniam cię, że jest teraz na komisariacie i że... A zresztą nic więcej powiedzieć nie mogę.

To było już nudne, takie dawkanie informacji tylko po to, żeby go prosili, ale zawsze taki był, lubił odstawiać waźniaka. Wszyscy chcieli dowiedzieć się więcej, nalegali. Théo wpatrywał się w swoje buty, sznurował usta, jakby wahając się, powiedzieć czy nie.

– No dobrze... – w końcu ustąpił. – Ale zachowajcie to dla siebie, zgoda?

Rozległ się szmer gorących zapewnień. Théo ściszył głos, ledwie go było słychać, trzeba się było nachylić, żeby zrozumieć, co mówi.

– Guénot... to pedał. Mówią, że robił już różne rzeczy z uczniami... Były jakieś skargi, ale zostały zatuszowane. Przez dyrektora gimnazjum, oczywiście! Podobno gustuje w najmłodszych, jeśli wiecie, co mam na myśli. Nieraz już widywano go w pobliżu Desmedtów. Powstaje pytanie, czy nawet sam dyrektor, czy on też...

Na te nowiny grupa oniemiała z wrażenia.

Antoine natomiast nie bardzo już rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi. Wczoraj wydawało się, że żandarmi mają coś do pana Desmedta, ale potem dali mu spokój. Z kolei dziś rano pan Guénot. I być może dyrektor gimnazjum. Szukali nad jeziorem, gdzie, jak Antoine wiedział, niczego nie znajdą. Po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin poczuł, że ucisk w jego piersi nieco zelżał. Czyżby ryzyko malało? Nie mógł uciec, ale wciąż powracało do niego pytanie: a jeśli Rémię nigdy nie znajdą?

Przez cały dzień to miejsce nad jeziorem, które pozostawało poza zasięgiem ich wzroku i donikąd nie prowadziło, było jak przybudówka Beauval;

informacje docierały tu drogą, której nikt nie byłby w stanie odtworzyć, a opuszczały je wzbogacone o komentarze, czyli prawie jak nowe.

Późnym popołudniem zaistniał ścisły związek między poszukiwaniami płetwonurków w jeziorze a aresztowaniem mężczyzny, co do którego tożsamości, mimo zapewnień Théo, zdania były podzielone. W tym wyścigu potencjalnie winnych prym wiódł pan Guénot, ale wysokie notowania miał też kierowca, ten, który przedwczoraj potracił psa Desmedtów. Zabił go na miejscu, mówiono. Biednemu Rogerowi nie pozostało nic innego, jak tylko wrzucić swojego psa do worka na śmieci, a myślicie, że facet się zatrzymał, żeby przeprosić, akurat! No i właśnie ten samochód, fiata, ktoś zauważył przy wyjeździe z Beauval. Fiata albo citroëna. Niebieski metalik. Z rejestracją departamentu 69, tamtejsi kierowcy to same patałachy. Tylko czy to było tego samego dnia? Czy pies nie został zabity dzień wcześniej, przed zniknięciem małego? Ale tak czy siak, ten fiat wrócił!

Na listę kandydatów na winnych zaryzykowano wciągnięcie jeszcze dwóch innych nazwisk: pana Danesiego, szefa tartaku, jakkolwiek informacja ta nie była zbyt miarodajna, pochodziła bowiem od Rolanda, pracownika, który kilka tygodni temu się z nim pobił z powodu jakiejś, dotąd niewyjaśnionej, historii z kradzieżą. Plotka jest jak delikatna flanca, przyjmie się albo nie. Ta się nie przyjęła.

Natomiast pan Desmedt figurował na liście w roli mało wiarygodnego outsidera. Mrukliwy, często brutalny, skory do rękoczynów, niezbyt lubiany, miał jednak tę niekwestionowaną przewagę, że był człowiekiem z Beauval, więc z definicji kimś mniej podejrzanym niż taki pan Guénot, pochodzący z Lyonu, a tym bardziej kierowca, który pochodził nie wiadomo skąd. Nikt poważnie nie myślał, że mógłby on porwać czy zabić swojego syna. Czemu miałyby zrobić coś takiego? Zresztą żandarmi przeczesali już cały ten odcinek drogi, który odbył w towarzystwie Rémiego, wracając do fabryki, i niczego nie znaleźli. W gruncie rzeczy nawet tym, którzy nie lubili Rogera Desmedta, trudno byłoby uznać go za podejrzanego.

Już sama myśl, że ktoś mógł zabić Rémiego, znanego wszystkim z pyzatej buzi i żywego spojrzenia słodkiego dzieciaka, powodowała, że rozmowy na chwilę zastygały, zapadały długie chwile milczenia w obliczu tej hipotezy, której grozy nikt nie potrafił sobie wyobrazić. Nie potrafił nawet Antoine, ponieważ w ciągu popołudnia jego świadomość tego zdarzenia uległa przeobrażeniu. Był przedostatnią osobą, która widziała Rémiego żywego, a fakt

ów działał pobudzająco na umysły. Czy Antoine widział Rémiego przed czy po tym, jak mały przeszedł kawałek drogi razem z ojcem? Istotne pytanie. Była to kwestia minut, bardzo trudna do rozstrzygnięcia. Dlatego też Antoine zmuszony był wielokrotnie relacjonować tę scenę. Zgromadzeni wokół niego ludzie po raz enty słuchali jego relacji o tym, jak wychodził z domu, wraz z nim widzieli Rémiego, jak stoi przy zburzonych przez ojca kłatkach na króliki, wyobrażali sobie worki na śmieci, a w jednym z nich zwłoki psa. W końcu sam Antoine uwierzył w tę fikcję: widział to, co opowiadał, był tam, w jego oczach, podobnie jak w oczach słuchaczy, opowieść nabierała ciężaru gatunkowego, stopniowo coraz bliższego prawdy.

Théo Weiser, utraciwszy rolę głównej gwiazdy, trzymał się na uboczu. Antoine ukradkiem go obserwował. Jak zwykle otoczony grupą kolegów ze szkoły, zerkając spod oka na Antoine'a, coś szeptał...

Nie wiadomo dlaczego, ale nigdy się z Théo nie lubili. Obaj wraz z Émilie tworzyli rodzaj nieformalnej, osobliwej trójcy; Antoine był dobrym uczniem, który zakończył właśnie pierwszy semestr szóstej klasy ze znakomitymi ocenami z prawie wszystkich przedmiotów. Émilie była uczennicą średnią, z tych, które w trzeciej klasie nauczyciele kierują na modny w danym roku kierunek. Z kolei Théo był leserem, na tyle jednak sprytnym, by jak dotąd tylko raz repetować. Był o rok od nich starszy, nie uczył się z nimi w tej samej klasie. Chodził razem z Kevinem i Paulem.

Ta okoliczność, to, że Antoine i Émilie w szóstej klasie jako jedyni pochodzili z Beauval, że znali się od zawsze, że codziennie się widywali, powinna była ich do siebie zbliżyć, ale Antoine na próżno się starał... Jego ostatnia próba, by Émilie została jego dziewczyną, zakończyła się pod domkiem w Saint-Eustache dotkliwą porażką. Ogólnie mówiąc, nie bardzo umiał postępować z dziewczynami. Z Émilie szło mu jeszcze gorzej. A przecież przed całą tą historią Émilie zaprzętała wszystkie jego marzenia i fantazje...

Płetwonurkowie zakończyli pracę tuż przed siedemnastą i ludzie z Beauval, którzy do tej pory dotrwali, postanowili wrócić do domu.

Antoine przyspieszył kroku, żeby dogonić Émilie, która szła na przedzie w towarzystwie kilku koleżanek. Od razu wyczuł rezerwę, z jaką go przyjęły. Omijały go spojrzeniem, nie odzywały się do niego. Czyżby przesadził, zgadzając się na powtarzanie tyle razy swojej historyjki? Miały mu za złe, że zmonopolizował aż tyle uwagi? Nie mogąc dłużej wytrzymać, złapał Émilie za ramię i zmusił, żeby odeszła z nim kilka kroków na bok.

– To przez Théo – wyznała wreszcie.

Ani trochę go to nie zdziwiło.

– Zazdrosny jest, i tyle.

– O, nie! – zawołała Émilie. – To nie to...

Spuściła oczy, ale w rzeczywistości aż się paliła, żeby wyjawić mu prawdę, więc nie musiał jej długo namawiać.

– Théo mówi, że to ty ostatni widziałeś Rémię i...

– I co?

Głos Émilie zabrzmiał poważną, gorączkową nutą:

– I że Rémi często przychodził do ciebie do lasu...

Antoine'em wstrząsnął dreszcz, jakby przeszło go nagle lodowate zimno.

– I mówi, że zamiast przeszukiwać jezioro, powinno się raczej przeszukać okolice Saint-Eustache...

To była katastrofa.

Émilie, przechylając głowę, długo mu się przyglądała, próbując odróżnić, co jest prawdą, a co nie. Antoine przez chwilę stał bez ruchu, porażony jej rewelacją. Z tego Théo był naprawdę wredny typ, ponury zazdrośnik; nawet mu do głowy nie przyszło, że chłopak zupełnie nieświadomie powiedział prawdę.

O jego decyzji przesądziło spojrzenie Émilie. Pytające.

Nie dając sobie czasu na zastanowienie się nad tą sytuacją ani nad jej konsekwencjami, popędził za grupą chłopców. Wyciągając w biegu ramiona walnął nimi w plecy Théo, który, pchnięty zniecacka, poleciał dwa metry do przodu. Dziewczęta podniosły krzyk. Antoine rzucił się na Théo, usiadł mu okrakiem na piersi i obiema pięściami zaczął okładać go po twarzy z głuchym, organicznym, nieznanym im dotąd pogłosem. Théo był wyższy i silniejszy od Antoine'a, ale ta napaść go kompletnie zaskoczyła. Kiedy w końcu udało mu się zepchnąć z siebie przeciwnika, miał już twarz całą we krwi. Antoine, który upadł na bok, zobaczył, że Théo zamierza wstać, i był szybszy. Poderwał się, rozejrzał w koło, szukając jakiegoś kamienia, dostrzegł gruby kij, zrobił krok, schwycił go i kiedy Théo chwiejnym krokiem już do niego podchodził, oburącz uniósł kij i uderzył go nim w twarz z prawej strony.

Kij, który miał ze czterdzieści centymetrów długości i był dość gruby, ale doszczętnie zbutwiały, z gąbczastym plaśnięciem rozleciał się na czaszce Théo.

Antoine został z kawałkiem pękniętego drewna, kolorem przypominającego grzyb.

Mała grupka była tak zdumiona tym incydem, że nikt nawet nie pomyślał, jak śmieszna jest ta sytuacja. Nawet jeśli atak Antoine'a zakończył się pożałowania godnym akcentem, to targnął się on na autorytet, przez nikogo dotąd niekwestionowany.

Zjawili się dorośli, by rozdzielić walczących. Krzyki, pośpiech, chusteczki do nosa, otarto krew, na szczęście nie było to nic groźnego, rozcięta warga.

Wkrótce ruszyli dalej w drogę powrotną do Beauval.

Dzieci spontanicznie rozdzieliły się na dwie grupy. Po stronie Antoine'a było ich więcej niż po stronie Théo.

Antoine nerwowo przyglądał ręką włosy, zmieszany, zbity z tropu tą niepokojącą zbieżnością... W ciągu dwóch dni dwa razy uderzył kijem w głowę innego chłopca. Pierwszego, tego, który na to nie zasługiwał, zabił.

Czyżby miał się stać jednym z tych tępych, zaślepionych łobuzów, grasujących na dziedzińcu szkolnym?

Zobaczył, że obok niego idzie Émilie. Jakoś dziwnie nie podniosło go to na duchu. Ta dziewczynska słabość do zabijaków...

Tuż przed siedemnastą furgonetka żandarmów odwiozła Bernadette do domu. Na widok tej przeżywającej katusze kobiety ścisnęło się człowiekowi serce.

Czekając na powrót matki, Antoine włączył telewizor i obejrzał w dzienniku reportaż o niepokojącym zaginięciu małego Rémiego Desmedta. Pokazano kilka ujęć miasteczka, kościół, merostwo. A potem główną ulicę. Próbując udramatyzować wydarzenie (próba dość patetyczna, jako że dziennikarz nie miał nic ani do pokazania, ani do powiedzenia), ekipa podążyła trasą prowadzącą z centrum do domu zaginionego chłopczyka.

Antoine z zapartym tchem patrzył, jak przed jego oczami przesuwa się główna ulica, plac, sklep spożywczy, potem szkoła...

Kamera zbliżała się nie do domu Desmedtów, lecz do domu Courtinów.

Nie Rémiego szukała, tylko jego, Antoine'a.

Wreszcie na ekranie ukazała się ich ulica, dom Mouchotte'ów z ciemnozielonymi okiennicami, potem ogród Desmedtów. By dodatkowo unaocznić i podkreślić pustkę spowodowaną zniknięciem dziecka, kamera,

filmując jego otoczenie, zatrzymała się na dłużej na pustej huśtawce, na ogrodowej furtce, którą mały Rémi musiał otworzyć, żeby wyjść...

Od chwili gdy szeroki kadr objął część ogrodu Courtinów, Antoine tylko czekał, kiedy oko kamery skoncentruje się na jego domu, omiecie fasadę. Że będzie go szukało, że wypatrzy w oknie i zakończy filmowanie zbliżeniem jego twarzy: „A oto chłopiec, który zamordował Rémiego Desmedta i zakopał jego ciało w lesie w Saint-Eustache, gdzie jutro wczesnym rankiem znajdą je żandarmi”.

Odruchowo cofnął się i uciekł do swojego pokoju.

Pani Courtin wróciła wreszcie z zakupów w mieście, trwających trzy razy dłużej niż zwykle. Antoine słyszał, jak buszuje w kuchni. Potem przyszła do niego na górę. Jej twarz wyrażała napięcie.

– To nie nauczyciela z gimnazjum aresztowali...

Antoine oderwał się od swoich transformersów i spojrzał na matkę.

– ...tylko pana Kowalskiego.

Aresztowanie pana Kowalskiego wstrząsnęło panią Courtin i jej synem. Antoine miał sobie za złe to, że uznanie pana Kowalskiego za winnego – nie zadawał sobie pytania, jak to w ogóle możliwe – mniej mu przeszkadzało niż obwinienie kogoś innego. To było jednak silniejsze od niego. Matkę zawsze okropnie unieszczęśliwiało, że musi dla niego pracować, miał złą opinię i wyglądał na wrednego. Poszukiwania nie dały rezultatu, w jeziorze nic nie znaleziono, a teraz aresztowanie tego Frankensteina... Antoine już zaczął sobie wyobrazać, że może jego koszmar tak się właśnie skończy, że on sam pozostanie poza podejrzeniem, ale był Théo, którego jadowite sugestie mogły doprowadzić prosto do niego. Jak daleko się posunie? A jeśli powie ojcu o swoich przypuszczeniach? Albo żandarmom?

Żałował, że dał się ponieść złości, że go pobił, powinien był odpuścić, był głupi.

– No, tego bym się nie spodziewała... – mamrotała pani Courtin. – Pan Kowalski...

Była najwyraźniej wstrząśnięta tą nowiną.

– Nigdy go nie lubiłaś – przypomniał Antoine. – Co cię to może obchodzić?

– Tak, oczywiście! Ale w końcu... To jednak nie to samo, kiedy zna się człowieka.

Przez chwilę matka milczała. Antoine pomyślał, że pewnie wyobraza sobie konsekwencje, jakie będzie miało to aresztowanie dla niej, dla jej pracy, że się martwi.

– Pójdiesz pracować gdzie indziej. Zawsze narzekałaś, nigdy nie chciałaś do niego chodzić.

– Co ty powiesz? Myślisz, że tak łatwo znaleźć tu pracę!

Była zła.

– Idź i powiedz to robotnikom, których zaraz po nowym roku zwolnią u Weisera!

Sprawa tych zwolnień ciągnęła się w Beauval od tygodni. Pan Weiser, kiedy go o to pytano, udzielał wymijających odpowiedzi. Jeszcze nie wie, to zależy od wielu rzeczy, trzeba poczekać na bilans kwartału... Robotnicy wiedzieli, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy napływało znacznie więcej zamówień, ale zawsze tak było przed Gwiazdką. Pan Weiser musiał ponownie zatrudnić na kilka godzin tygodniowo robotników zwolnionych trzy miesiące wcześniej, nawet pan Mouchotte wrócił na kilka tygodni do pracy, ale czy to skompensuje kryzys z jesieni, kiedy księga zamówień była prawie pusta? Ludzie się w tym wszystkim gubili.

Antoine często się zastanawiał, czy jego matka rzeczywiście musi pracować. Od piętnastu lat przeklinała pana Kowalskiego, zarabiając ile? Nie wiedział, ale pewnie niewiele, czyżby byli aż tak biedni? Pani Courtin nigdy nie skarżyła się na wysokość alimentów płaconych przez byłego męża. „Przynajmniej pod tym względem jest w porządku...” – mawiała czasami, choć Antoine nie bardzo rozumiał, co miała do zarzucenia jego ojcu pod innym względem.

– No, ale to nie wszystko – powiedziała wreszcie. – Teraz szykuj się do kościoła.

Lecz mówiąc to, myślami była gdzie indziej.

W ramach rotacji pasterka w Beauval miała w tym roku zacząć się o dziewiętnastej trzydzieści, gdyż ksiądz musiał ich odprawić w okolicznych parafiach aż sześć.

Pani Courtin podchodziła do religii w sposób przezorny i praktyczny. Na wszelki wypadek wysłała syna na lekcje religii, ale nie nalegała, kiedy nie chciał już na nie chodzić. Do kościoła uczęszczała wtedy, gdy potrzebowała pomocy. Bóg był dalekim sąsiadem, którego miło było spotkać i którego od czasu do czasu nie wahano się poprosić o drobną przysługę. Chodziła na mszę, tak jak chodzi się z wizytą do starej ciotki. W tym rzeczowym podejściu do religii było też sporo konformizmu. Pani Courtin tu się urodziła, dorastała i mieszkała w tym małym miasteczku, gdzie wszyscy się nawzajem obserwują, gdzie opinia bliźniego ma ogromną wagę. We wszystkim postępowała tak, jak powinno się postępować, po prostu dlatego, że wszyscy wokół niej tak postępowali. Zależało jej na własnej reputacji tak samo jak na własnym domu, może nawet jak na własnym życiu, gdyż bankructwo jej dobrego imienia z pewnością by ją zabiło. Dla Antoine'a pasterka była tylko jedną z wielu powinności, z których wywiązywał się przez cały rok po to, by jego matka mogła pozostać we własnych oczach osobą godną szacunku.

W Beauval, tak jak wszędzie, nie było już tylu wiernych co kiedyś. Msze niedzielne gromadziły sporo parafian, ale głównie dlatego, że ściągali na nie wierni nie tylko z Beauval, lecz także z Marmont, z Montjoue, z Fuzelières, z Varennes...

Aktywność religijna w dużym stopniu zależała od pory roku. Większość parafian pojawiała się na mszy, kiedy rolnictwo dotykał kryzys, kiedy ceny żywca zaczynały spadać lub kiedy w okolicznych fabrykach szykowały się zwolnienia. Kościół proponował usługę, ludzie zachowywali się jak konsumenci. Nawet wielkie cykliczne wydarzenia, takie jak Boże Narodzenie, Wielkanoc lub Wniebowzięcie, nie stanowiły wyjątku od tej reguły użyteczności. Dla wiernych udział w liturgii był sposobem uzyskania abonamentu, który pozwalał im w ciągu roku ubiegać się o usługę na życzenie. Z tego tytułu pasterka cieszyła się zawsze wielkim powodzeniem.

Od godziny dziewiętnastej mieszkańcy Beauval zaczęli gromadnie ściągać do centrum. Mogliby czuć dumę, że ich kościół jest tak pełny, ale satysfakcję psuł im fakt, że wielu obecnych było nietutejszych.

Kobiety od razu wchodziły do środka; mężczyźni zwykle mitrężyli przez chwilę na dziedzińcu, palili papierosy, ściskali sobie ręce, pytali, co nowego, spotykali swoich byłych klientów, kobiety, z którymi kiedyś sypiali, dawnych kumpli – mimo że z czasem więzy między nimi się rozluźniły.

Zniknięcie Rémiego Desmedta wzbudziło także ciekawość, która tłumaczyła dzisiejszą liczebność wiernych. Wszyscy widzieli w telewizji reportaż z Beauval, a ci, którzy tu nie mieszkali, przychodząc, próbowali połączyć dwa rozbieżne obrazy: to, co wiedzieli o miasteczku, w którym nie działo się nic specjalnie emocjonującego, z echem nieszczęścia, które z upływem godzin nabierało wymiaru tragedii.

Trzydzieści godzin później zniknięcie Rémiego zostało uznane za wysoce niepokojące.

Każdy przewidywał, jaki będzie koniec.

Kiedy go znajdą? I co znajdą?

Na kościelnym dziedzińcu mówiono tylko o tym, wszystkie rozmowy obracały się wokół aresztowania pana Kowalskiego. Pani Mouchotte, szeroko otwierając swoje niebieskie oczy, słuchała Claudine, która cudownym trafem była akurat u niego w sklepie, kiedy nadjechali zandarmi.

– Nie trwało to nawet pięciu minut, przysięgam. Rzeźnik...

– Ale... – chciała wiedzieć pani Mouchotte – o co go właściwie oskarżają?

Chodziło o alibi. Ktoś słyszał, że niedaleko Beauval widziano jego furgonetkę, stała na skraju lasu.

– Pytanie, gdzie wtedy był ten potwór? – rzucił ktoś.

– To jeszcze o niczym nie świadczy! – odezwała się pani Courtin. – Nie chcę go bronić, co to, to nie, ale mimo wszystko! Skoro strach już jeździć samochodem, nie ryzykując oskarżenia o porwanie dziecka, to ja...

– Nie w tym rzecz! – odezwała się pani Antonetti.

Mówiła wysokim głosem, artykułując każdą sylabę tak, jakby miała być ostatnia, co nadawało jej wypowiedziom urywany proroczy ton, który na niejednym robił wrażenie. Jej wystąpienie wzbudziło zainteresowanie, wszyscy odwrócili się w jej stronę:

– Chodzi przede wszystkim o to, że ten Kowalski, do którego nigdy nie chodzę, jeszcze by tego brakowało..., nie potrafi powiedzieć, co robił w tym czasie, kiedy mały zniknął! Jest jego samochód, ale on nie pamięta, co wtedy robił...

Cieszyła się takim autorytetem, że nikomu nie przyszłoby do głowy zapytać, skąd wzięła tę informację. Tym bardziej że była zawsze jedną z pierwszych i najlepiej poinformowanych osób w Beauval, dzięki czemu z miną osoby spełniającej swój święty obowiązek, mogła rzucić na koniec:

– To jednak dość dziwne, prawda?

Pani Courtin kiwała głową, tak, tak, to dziwne, a nawet podejrzone... Ale nie wyglądała na całkiem przekonaną.

Antoine zostawił matkę i pobiegł do odświętnie wystrojonych kolegów służących do mszy. Émilie miała na sobie sukienkę w kwiatki, która wyglądała jak uszyta z materiału na zasłony, jej włosy wydawały się jeszcze jaśniejsze i bardziej kręcone niż zawsze, była niezwykle ożywiona i śliczna aż strach, co tylko potwierdzała ostentacyjna obojętność ze strony wszystkich obecnych chłopców. Jej rodzice, najwierniejsi z wiernych, nigdy nie opuszczali mszy, a sama Émilie karmiona była katechizmem od najmłodszych lat. Pani Mouchotte mogła chodzić do kościoła trzy razy dziennie, jej mąż jako jedyny mężczyzna śpiewał w chórze, miał potężny i tubalny głos, którym, z mocą wyrażającą całą żarliwość jego wiary, bezwstydnie zagłuszał głosy innych. Sama Émilie nie wierzyła w Boga, ale darzyła matkę takim przywiązaniem, że zostałaby mniszka, gdyby matka tego od niej zażądała.

Kiedy Antoine dołączył do grupy, zapadła głęboka cisza. Théo, który cuchnął papierosami, ostentacyjnie wpatrywał się w swoje stopy. Miał ciemnoczerwoną opuchniętą wargę z małym strupkiem na wierzchu. Nie mógł się powstrzymać, by nie posłać Antoine'owi ponurego, pełnego urazy spojrzenia. Był jednak na tyle sprytny, by rozumieć, że nagłe aresztowanie Frankensteina zaprzętało umysły znacznie bardziej niż jego zatargi z Antoine'em. Zresztą Kevin natychmiast mu wytknął:

– I co? Bzdury gadasz, aresztowali wcale nie pana Guénota!

Pośród innych swoich wad, Théo miał również i tę, że nigdy się nie mylił. Pod tym względem był taki jak ojciec – znak fabryczny Weiserów: zawsze mieli rację. W tej sytuacji, bardziej niż kiedykolwiek, najważniejsze było postawienie na swoim.

– Właśnie, że nie! – odpalił. – Najpierw aresztowali pana Guénota, potem go wypuścili, ale mają go na oku, tyle ci powiem. To pedał, na mur beton. Podejrzany typ...

– Co nie zmienia faktu! – ciągnął Kevin zadowolony, że choć raz ma przewagę nad synalkiem mera.

– Jakiego faktu nie zmienia? Jakiego? – zaperzył się Théo.

– Takiego, że aresztowali Frankensteina!

W grupie dał się słyszeć pomruk aprobaty. To aresztowanie idealnie pokrywało się z opinią ogółu, którą Kevin celnie ujął w jednym zdaniu:

– Jak ktoś ma taką twarz...

Utraciwszy swoją zwykłą przewagę, Théo nie zamierzał jednak odpuścić i wypróbując błyskotliwy manewr okrążający, oświadczył:

– Wiem o tej sprawie więcej niż wy! Dzieciak... nie żyje!

Nie żyje!

Te słowa wzbudziły niesłychane emocje.

– Jak to, nie żyje? – zapytała Émilie.

Ale w tym momencie rozmowa się urwała. Przybył właśnie mecenas Vallèneres pchający wózek inwalidzki ze swoją córką. Widok tych dwojga wymusił ciszę. Piętnaście lat, chuda jak patyk, o nadgarstkach, które zmieściłyby się w kólkach do serwetek. Jej głównym zajęciem było dekorowanie własnego fotela. Nikt jej wprawdzie przy tym zajęciu nie widział, ale mówiło się, że zamówiła specjalną maskę, żeby móc go przemalować farbą

w spreju. Fotel był kuriozum nieustannie odnawianym, niedawno kazała na nim zamontować długie giętkie anteny radiowe używane w samochodach, przez co wyglądał teraz jak ogromny wielobarwny owad. Niektóre dzieci nazywały ją Mad Max. Wesoły wygląd jej dzieła kontrastował z jej twarzą, zawsze skupioną, obojętną na wszystko, mówiono, że jest diabelnie inteligentna, ale młodo umrze, i fakt, trudno było sobie wyobrazić, by niedługo nie porwał jej jakiś silny podmuch wiatru. Była rówieśnicą wielu dzieci z Beauval, ale z nikim się nie zadawała. Czy też nikt nie zadawał się z nią. Odkąd zaczęła chorować, miała prywatną nauczycielkę.

Wjeżdżający do kościoła ekstrawagancki fotel sprawiał wrażenie celowej prowokacji. Ludzie nie byli pewni, czy aby Bóg nie będzie miał jej za złe takiego braku taktu. W ślad za nią i jej ojcem sunęła pani Antonetti, ta żmija, która za nic w świecie nie straciłaby okazji pogapienia się na ich mały świeatek, którego od niepamiętnych czasów całym swoim jestestwem nienawidziła.

– To pewne, że nie żyje? – podjął Kevin ściszym głosem, kiedy tamci już przeszli.

Pytanie było głupie, bo nie znaleziono ciała, ale dobrze wyrażało poruszenie, jakie wzbudziła w ich grupie myśl o morderstwie. Słowo to zapierało dech w piersiach. Antoine zastanawiał się, czy Théo powiedział to, żeby znowu błysnąć, czy rzeczywiście posiadał jakieś wiadomości.

– Przede wszystkim, skąd wiesz? – nie ustępował Kevin.

– Mój ojciec... – zaczął Théo.

I zawiesił głos, po czym z powagą spuścił wzrok, kręcąc głową jak człowiek, który wie, lecz nie wolno mu powiedzieć. Antoine nie wytrzymał:

– Co twój ojciec?

Od popołudniowego starcia wystąpienie Antoine'a miało już inną wagę. Zmusiło Théo do podbicia stawki. Ten zerknął przez ramię, żeby sprawdzić, czy nikt z dorosłych go nie słyszy.

– Rozmawiał z kapitanem żandarmów... Wiadomo już, jak to się stało.

– Co wiadomo?

– Powiedzmy, że... – z zagadkową miną zaczerpnął głęboko powietrza – ... są dowody. Wiadomo już, gdzie szukać ciała. To kwestia godzin... Ale nic więcej powiedzieć nie mogę.

Spojrzał na Antoine'a, Émilie oraz pozostałych kolegów, i dodał:

– Przykro mi, ale nie...

A potem powoli się odwrócił, ruszył przez dziedziniec i wszedł do kościoła.

Był to oczywiście bluff, ale dlaczego w pierwszej kolejności popatrzył na Antoine'a? Émilie, ująwszy w dwa palce kosmyk włosów, z zamyśloną miną zaczęła go skrecać. Skoro spotykała się z Théo (co dla Antoine'a pozostawało zagadką), to czy ona też była wtajemniczona? Nie brała udziału w rozmowie, nie odezwała się ani słowem... Antoine nie śmiał na nią spojrzeć.

– Idę już... – powiedziała w końcu i teraz ona weszła do kościoła.

Antoine najchętniej by uciekł. I z pewnością by to zrobił, gdyby w tym momencie nie pojawiła się jego matka.

– Chodź, Antoine...!

Wokół niego mężczyźni gasili papierosy, zdejmowali kapelusze i czapki, a potem drzwi kościoła się zamknęły.

Czy chciałabyś, Mario, czy chciałabyś nosić w swoim łonie to dziecko, na które twój lud od tak dawna czeka...?

Antoine, który obok matki zajmował miejsce blisko środkowej nawy, miał niemal tuż przed sobą kark Émilie, który to widok zwykle tak bardzo na niego działał, lecz nie tego wieczoru. W jego głowie wciąż rozbrzmiewały słowa Théo. Znalezione dowody... Odruchowo pomacał nadgarstek. Jeśli to prawda, to na co czekają? Dlaczego od razu po niego nie przyszli?

Może ta msza...

Witajcie wszyscy w tę wigilijną noc, w którą szczęśliwi celebруем narodziny Jezusa.

Ksiądz był młodym, bezwąsą i tęgim mężczyzną o mięsistych wargach i gorączkowym spojrzeniu. Poruszał się trochę chyłkiem, jakby był nieśmiały, jakby nie chciał zawadzać, ale ludzie wiedzieli, że ożywia go fanatyczna wiara, surowa i wymagająca, osobliwie kontrastującą z jego powierzchownością. Bez trudu można sobie było wyobrazić, jak goły, pulchny i brzuchaty biczuje się w klasztornej celi.

...tego, który nas przyzywa, który przynosi nam Radość, Pokój i Nadzieję.

Po lewej stronie ołtarza, przed małymi organami, z których pani Kernevel od ponad trzydziestu lat dobywała tony, kilka kobiet otaczało pana Mouchotte'a, wyższego od nich o głowę i ramiona.

Niektórzy wierni co chwilę odwracali się w stronę drzwi kościoła. Ludzie byli bardzo zawiedzeni, że nie widzą państwa Desmedtów. Rozumieli, oczywiście, ale mimo wszystko, pasterka... Odwracali się w stronę drzwi, szeptali.

A potem wreszcie tamci się zjawili.

Trzymali się pod rękę, jak para starych nowożeńców. Bernadette sprawiała wrażenie, jakby się o kilka centymetrów skurczyła. Twarz miała trupio bladą, wielkie sińce pod oczami. Z kolei pan Desmedt zaciskał usta jak człowiek, który z wielkim trudem stara się opanować. Za nimi szła ich córka Valentine w czerwonych spodniach, które w tym kościele i w tych okolicznościach wyglądały dość ekscentrycznie. Émilie, wyrażając opinię ogółu, nazywała ją „panną puszczalską”, co Antoine’a szokowało, a zarazem silnie działało na jego wyobraźnię.

Kiedy przechodzili, poczuł ciężki zapach pana Desmedta, cierpki i zwierzęcy.

Za nimi ujrzał krągły i czerwony, niezwykle sugestywnie kołyszący się tyłeczek Valentine i w ustach poczuł dziwny smak śliny.

Pan Jezus, którego przysłał Ojciec, by uleczył i uratował ludzi...

Rodzina Desmedtów powoli kroczyła długą nawą środkową.

Ich pojawienie się wprawdzie nie przerwało mszy, ale kiedy przechodzili, zapadał inny rodzaj ciszy, szmer pełen poważania i podziwu, bolesciwy i uroczysty.

Panie Boże, roztoczyłeś tej świętej nocy blask prawdziwej światłości; okazałaskę i spraw, byśmy tu, na tym ziemskim padole, olśnieni objawieniem tej tajemnicy, mogli zasmakować w niebie pełni jej radości. Przez Jezusa Chrystusa, twojego syna, Pana naszego.

Przybycie Desmedtów przypominało wejście pokutników. Bernadette ledwie się trzymała na nogach. Natomiast pan Desmedt kroczył powoli, acz ze zwierzęcą determinacją, ze spuszczoną głową, ciężkim krokiem, sprawiając wrażenie, jakby zdązał na spotkanie z księdzem, gotów bić się z samym Bogiem.

Kiedy dotarli do nawy bocznej, zatrzymali się. W pierwszym rzędzie ławek nie było już miejsca. Wtedy się odwrócili, gotowi, zda się, ruszyć tą samą drogą z powrotem i wyjść. Valentine podeszła do matki i stali tak we trójkę rzędem naprzeciwko zgromadzonych wiernych. W widoku tego drągala

hamującego wściekłość, tej załamanej kobiety i ich infantylnej, tchnącej seksem i porażką córki było coś przejmującego. Tak jakby ta rodzina, w której tak wyraźnie brakowało małego Rémię, ofiarowała Bogu obraz swojej rozpacz.

Nikt nie wiedział, co będzie dalej. Antoine, mimo że dzieliła go od nich spora odległość, niemal fizycznie poczuł zwierzęcą siłę emanującą z pana Desmedta, kiedy ten uniósł głowę i popatrzył na zgromadzonych. Nie mógł się powstrzymać, by nie spojrzeć na pana Mouchotte'a, który od tego incydentu w fabryce, kiedy pan Desmedt dał mu w zęby, ział do niego ślepią nienawiścią. Faktem jest, że tymi awanturami pan Desmedt narobił sobie w Beauval sporo wrogów. Niemniej jego widok spowodował w pierwszej ławce nagłe poruszenie, kilka osób pospiesznie się podniosło, ustępując miejsca i wycofało do bocznej nawy, w głąb kościoła. Desmedtowie usiedli. Naprzeciwko księdza, który dalej odprawiał nabożeństwo.

Tak, narodziło nam się Dziecię, Syn został nam dany...

Kiedy Desmedtowie zniknęli Antoine'owi z pola widzenia, Émilie odwróciła się i popatrzyła na niego dziwnie wymownie.

Czy to było pytanie? Co wiedziała?

Gorączkowo zastanawiał się nad wymową tego spojrzenia, lecz ona już z powrotem odwróciła głowę. Czy to był jakiś przekaz? Co chciała mu powiedzieć?

Dziwne, że nie zareagowała, kiedy Théo rzucił: „Już wiadomo, gdzie szukać ciała”. Antoine odruchowo spojrział w stronę drzwi kościoła.

„Mają dowody...”

A wtedy doznał olśnienia i zrozumiał, że Émilie spojrzeniem radziła mu tu dłużej nie zostawać.

Uciec! O to chodziło! Tamci czekali, aż skończy się pasterka, żeby go aresztować. Wpadł w pułapkę. Na zewnątrz będzie stał kordon żandarmów...

Nazajutrz grzech zostanie wymieciony z powierzchni ziemi, a nad nami królować będzie Zbawca świata.

Antoine utknie w tłumie wiernych posuwających się krok za krokiem w stronę wyjścia. Ludzie powoli zaczną się odwracać, rozglądać się, szukając spojrzeniem czegoś, co spowodowało przyjazd sił porządkowych nocą, przed kościół, w wigilijny wieczór. I wkrótce jedynie Antoine będzie kroczył nawą, a wszyscy pozostali będą się przed nim rozstępować...

Podniosą się krzyki...

Nie pozostanie mu nic innego, jak oddać się w ręce żandarmów albo czekać, kiedy ciężkim krokiem dotrze do niego pan Desmedt. Antoine odwróci się, a wtedy ojciec Rémiego złoży się do strzału, celując z fuzji prosto w jego czoło.

Antoine krzyknął, ale jego krzyk zagłuszył inny.

Rémi!

W pierwszym rzędzie wstała Bernadette, wołając swojego synka. Pociągnięta za rękaw przez Valentine, powoli z powrotem usiadła.

Zaskoczona tym krzykiem pani Kernevel przestała grać, głosy chóru stopniowo ucichły.

Wtedy rozległ się gromki głos pana Mouchotte'a, któremu natychmiast zawtórowały organy, i chór, z determinacją zachęcającą wiernych do zwania szeregów w obliczu tego zamieszania, podjął przerwana pieśń.

Panie Boże, Zbawicielu nasz, okaż nam swą dobroć i czułość. To On, który nas uratował! On, który...

Ksiądz dalej odprawiał nabożeństwo, kwitując każdy z incydentów – wkroczenie Desmedtów, wyskoki organistki i chóru i tak dalej – nieznacznym uśmiechem wyrażającym radość, że Bóg powierzył mu rolę przedstawiciela moralnego porządku w obliczu zgromadzenia, które najwyraźniej zaczynało błędzić. Chaotyczny przebieg mszy potwierdzał, że jego owieczki powinny znaleźć w nim brata, ojca, który wskaże im drogę. Wierni, których te niezwykle okoliczności przerosły, uczestniczyli w nabożeństwie z rezygnacją skazańców.

Antoine uspokoił się, nie, aresztowania zabójcy dziecka nie odkłada się na później, to niemożliwe, mając stuprocentową pewność wysłała się żandarmów i aresztuje mordercę. A pomówienia Théo miały na celu tylko i wyłącznie ratowanie własnej twarzy. W świetle informacji zasadniczej – aresztowania Frankensteina – nawet te insynuacje, które wczoraj rozpuścił, straciły aktualność. Antoine wiedział, że masarz z Marmont nie miał się do czego przyznać, że nie trzymaliby go długo w areszcie. Co stanie się potem?

...przybył anioł i oznajmił pasterzom: „Przynoszę wam dobrą nowinę, wielką radość dla całego ludu: narodził wam się Zbawiciel. On jest Mesjaszem, Panem”.

Młody kapłan, przekonany, że zapanował nad swoimi parafianami, świadom spoczywającej na nim odpowiedzialności, ożywiony bożą wolą, którą miał im

przekazać, poważnym głosem rozpoczął kazanie.

Wiedział, oczywiście, co stało się wczoraj w Beauval (uchodził za najlepiej zorientowanego człowieka w całym okręgu), znał Rémię, który uczęszczał z matką na niedzielą mszę (jej męża widywano rzadziej). I w ten wigilijny wieczór uważał go zapewne za małego aniołka. Patrzył na jego siedzących w pierwszym rzędzie rodziców, na otaczające ich twarze, poważne i zbolące, jakby smutek państwa Desmedtów drogą naczyń włosowatych udzielił się wszystkim zgromadzonym. I wstrząsnęło nim odkrycie, że nie znać na nich ani śladu tej radości, jaką powinno wzbudzić nadejście Jezusa.

Było oczywiste, że zaślepieni bolesną terażniejszością wierni nie rozumieli znaczenia tego, co w tym momencie przeżywają. Na chwilę umilkł, po czym podjął:

– Życie nieustannie poddaje nas próbie...

Jego głos nagle nabrał siły i klarowności, niosąc się w kościele echem, które jeszcze bardziej podkreślał lekkim przeciąganiem ostatnich sylab.

– Ale pamiętajcie: *Owocami Ducha są miłość, radość, spokój, cierpliwość...* Cierpliwość! Czekajcie, a przekonacie się!

Wnioskując z min jego owieczek, przekaz jeszcze do nich nie dotarł. Potrzebne było wyjaśnienie. Więc młody kapłan głosem wibrującym determinacją ruszył do dzieła: w tym wiejskim księżulu żył misjonarz, który tylko czekał, by się ujawnić.

– Drodzy bracia, znam wasz ból. Podzielał go. I cierpię razem z wami.

To było już bardziej zrozumiałe, że spojrzeń było widać, że taki język spotkał się z odzewem. To mu dodało odwagi.

– Ale cierpienie nie jest przypadkowe. Czym jest cierpienie? To najwspanialsze narzędzie Boga, gdyż służy ono do tego, by nas przybliżyć do Niego i Jego doskonałości.

Zręczną modulacją głosu podkreślił to „najwspanialsze”. Wystartował, odpuścił sobie długo przygotowywane kazanie, które zamierzał powtórzyć we wszystkich kościołach diecezji. Teraz przemawiała przez niego jego wiara. Prowadził go Bóg. Nigdy jeszcze nie czuł się powołany do równie szczytnej misji.

– Tak! Bowiem cierpienie, ból i smutek są naszą pokutą...

Odczekał chwilę, oparł łokcie o pulpit, wychylił się ku zgromadzonym i łagodnym głosem podjął:

– A czemu służy pokuta?

Po tym pytaniu nastąpiła długa chwila ciszy. Nikogo nie zdziwiłby widok ręki unoszącej się jak w szkole. Ksiądz wyprostował się, uniósł palec wskazujący w górę i imperatywnym tonem oznajmił:

– Służy zatriumfowaniu nad złem, które jest w każdym z nas! Bóg zsyła na nas próby, byśmy mogli dowieść mu żarliwości naszej wiary!

Odwrócił się i rzucił kilka cichych słów do pani Kernevel, która odpowiedziała mocnym skinieniem głowy.

Zabrzmiały organy, a w ślad za nimi gromki głos pana Mouchotte'a. Chór podjął pieśń o dokonujących się aktach łaski:

Nasz Bóg działa zawsze dla naszego dobra,

Błogosławmy go, alleluja!

Napełnia ciała dzieci swoją łaską.

Błogosławmy go, alleluja!

By odpłacić mu tą samą miłością, jaką darzy nasz ziemski padół...

Jeden po drugim głosy wiernych dołączały do chóru. Trudno było stwierdzić, czy pieśń działa na nich pocieszająco, kojąco, czy jest tylko ostentacyjnym przejawem ich posłuszeństwa, ale ksiądz był szczęśliwy, zrobił, co do niego należało.

Po błogosławieństwie i ostatniej modlitwie rozłożył kartkę jak zawsze, kiedy miał odczytać ogłoszenia parafialne.

– W ramach próby odnalezienia naszego kochanego Rémiego Desmedta jutro rano odbędą się wspólne poszukiwania. Policja wzywa wszystkich chętnych do zgłaszania się. Spotkanie wyznaczone jest na godzinę dziewiątą przed merostwem.

Antoine był załamany.

Przeczesał las, znajdą Rémiego. Tym razem już im się nie wymknie.

Informacja zrobiła wrażenie również na wiernych, podniósł się głośny szmer, który młody kapłan uciszył władczym gestem.

Po czym, udzieliwszy im końcowego błogosławieństwa, musiał pędzić do Montjoue, nie miał czasu do stracenia.

Wychodząc z kościoła, mężczyźni kładli panu Desmedtowi dłoń na ramieniu i mamrotali kilka wymuszonych słów. Bernadette, nie patrząc na nikogo, ruszyła w drogę do domu. Z kolei Valentine stała na chodniku naprzeciwko kościoła, czekając nie wiadomo na co. Z rękami w kieszeniach bluzy, z wystudiowaną obojętnością obserwowała wylewający się tłum.

Antoine'a rozboleł brzuch, bał się, nie miał z kim porozmawiać, czuł się przeraźliwie samotny. Nie zwlekając, prześlizgując się przez grupki zgromadzonych, ruszył szybkim krokiem do domu.

Z kolei Théo, otoczony swoim zwykłym dworem, ujawnił jeszcze kilka sekretów, powodując, że słuchaczom oczy wychodziły na wierzch ze zdumienia. Niechęć między nim i Antoine'em była wręcz namacalna. Kiedy Antoine zostanie w końcu zdemaskowany, Théo będzie królem szkoły, miasta, nikt już nie zdoła zakwestionować jego autorytetu.

Antoine czuł się pokonany, zdruzgotany, unicestwiony.

Przed furką do ogrodu odwrócił się i dostrzegł daleko w tyle matkę, która szła powolnym krokiem z Bernadette, trzymając ją pod ramię.

Widok tych dwóch zbolełych postaci do reszty go załamał: oplakująca zamordowanego syna pani Desmedt idąca ramię w ramię z panią Courtin, matką mordercy...

Otworzył drzwi.

W całym domu pachniało kurczakiem, którego matka przed wyjściem wsunęła do piekarnika. Pod choinką leżało kilka paczuszek, które zawsze starała się położyć tak, żeby Antoine nie zauważył. Pokój oświetlała jedynie girlanda migoczących elektrycznych światełek. Było mu ciężko na sercu.

Po udręce mszy perspektywa wieczery wigilijnej z matką napełniała go rozpaczą.

Niewiele rzeczy oparło się manii jego matki, by z każdego zdarzenia dnia codziennego robić rytuał, więc dotyczyło to także wieczoru wigilijnego, który co roku przebiegał identycznie. To, co przez długi czas napełniało Antoine'a

szczerą, naiwną radością, z biegiem lat zamieniło się w formalność, a potem w nudny obowiązek. Bo też i trwało to okropnie długo. Najpierw oglądali pierwszy program telewizji, kwadrans po dwudziestej drugiej siadali do kolacji, o północy prezenty... Pani Courtin nie robiło różnicy, czy to kolacja wigilijna, czy sylwestrowa, przygotowywała je zawsze według tego samego scenariusza, z prezentami włącznie.

Antoine poszedł na górę do swojego pokoju po prezent, który kupił dla matki. To też była męka, żeby co roku znaleźć dla niej coś innego. Wyjął z szafy paczuszkę, nie pamiętał już, co w niej jest. Żłocista nalepka w rogu głosiła: *Papierosy, Totolotek, Prezenty – 11, rue Joseph-Martin*, był to sklepik pani Lemercier, w witrynie na lewo od wejścia wystawione były noże, budziki, serwetki, notesy... Ale nie mógł sobie przypomnieć, co kupił w tym roku.

Słyszając, że matka otwiera drzwi od strony ogrodu, zbiegł na dół i położył swoją paczuszkę obok pozostałych.

Pani Courtin zdejmowała płaszcz.

– Dobry Boże, co za historia...

Powrót pod rękę z Bernadette poruszył ją do żywego. Ta druga noc zapadła nad nieobecnością Rémiego, ta msza, ten ksiądz, który mówił, że trzeba się przygotować na najgorsze, zgoda, nie tak to ujął, ale przecież to miał na myśli, to aresztowanie człowieka, którego znała – wszystko sprawiło, że Blanche Courtin stanęła przed czymś przerastającym jej zdolność pojmwania.

Zdjęła kapelusz, odwiesiła płaszcz, kręcąc głową, założyła kaptcie.

– Tak się zastanawiam...

– Co?

Zawiazywała kuchenny fartuch.

– Żeby tak ni stąd, ni zowąd porwać dzieciaka...

– Och, mamó, przestań...!

Ale pani Courtin już wystartowała. Chcąc coś zrozumieć, potrzebowała wizualizacji:

– A ty, wyobrazasz to sobie, żeby porwać sześćoletnie dziecko...? I niby w jakim celu?

Ten obraz nią wstrząsnął. Przygryzła pięść. Rozpłakała się.

Po raz pierwszy od lat Antoine miał ochotę podejść, objąć ją, pocieszyć, poprosić, żeby mu wybaczyła, ale jej zrozpaczona twarz tak nim wstrząsnęła, że

nie śmiał się poruszyć.

– W końcu jak nic znajdą go martwego, pytanie tylko, w jakim stanie...

Otarła oczy połą fartucha. Załamany Antoine wyszedł z pokoju, pobiegł na górę, rzucił się na łóżko. I z kolei on się rozplakał.

Nie słyszał, kiedy matka weszła. Poczł tylko jej dłoń na swojej szyi. Nie odsunął się. Czy to była ta chwila, żeby wszystko wyznać? Z twarzą wciśniętą w poduszkę pragnął tego bardziej niż kiedykolwiek, w myślach dobierał już słowa. Ale chwila wyzwolenia nie nadeszła.

Pani Courtin powiedziała:

– Biedaku, tobie też ciężko z powodu tej historii... Bo też strasznie miły był ten mały...

Mówiła już o Rémin w czasie przeszłym. Przez dłuższą chwilę medytowała nad tak wielkim okrucieństwem losu, a Antoine słuchał pulsowania krwi w skroniach, tak intensywnego, że rozsadzało mu czaszkę.

Po raz pierwszy ich rytuał wigilijny został zakłócony.

Pani Courtin włączyła telewizję, ale jej nie oglądała. Kapłon był równie okazały jak w ubiegłych latach (obowiązkowo musiał przypominać amerykańskiego indyka, był ogromny jak w kreskówkach, potem jadło się go przez cały tydzień), usiedli do stołu, nie przejmując się godziną.

Antoine nie przełknął ani kęsa. Matka żuła kawałek piersi, spoglądając na ekran. Jadalnię wypełniła muzyka rozrywkowa, śmiechy i okrzyki: promieniejący szczęściem prezenterzy trzymali w rękach mikrofony niczym różki lodów i wykrzykiwali okolicznościowe slogany.

Matka, wciąż nieobecna myślami, sprzątnęła swój talerz bez słowa, co było do niej niepodobne. Przyniosła świąteczną roladę, ciasto, którego Antoine nie znosił, a potem dobrodusznym, mającym brzmieć kusicielsko tonem zapytała:

– A może byśmy wreszcie obejrzelili prezenty?

Przynajmniej raz jego ojciec się wywiązał. W paczce znajdowało się rzeczywiście PlayStation, o które poprosił, ale radość Antoine'a była niepełna, bo czuł się samotny. Z kim będzie w to grał? Nie potrafił sobie wyobrazić, czy będzie jakieś jutro. Czy kiedy go aresztują, wolno mu będzie zabrać ze sobą konsolę?

– Pamiętaj, żeby zadzwonić do ojca – przypomniała pani Courtin, otwierając swój prezent.

Udawiała przesadną niecierpliwość, czyżby to miało być... Nareszcie Antoine przypomniał sobie, co kupił: małą drewnianą chatkę, która, kiedy otwierało się dach, wygrywała melodyjkę.

– Cudo! – zachwycała się matka. – Gdzie znalazłeś coś tak wspaniałego!

Uruchomiła mechanizm i z uśmiechem zaczęła słuchać, szukając w pamięci, co to za melodia. Wszyscy setki razy ją słyszeli, ale nikt nie zastanawiał się nad tytułem.

– Ach, znam to – mruzczała pani Courtin, zaglądając do instrukcji obsługi.

Przeczytała:

– *Edelweiss*, R. Rodgers. A tak, może rzeczywiście...

Wstała, pocałowała Antoine'a, który zaczął już podłączać PlayStation. A że dostał je od ojca, do przewidzenia było, że coś będzie nie tak: chciał *Crash Team Racing*, a dostał zeszłoroczną wersję *Gran Turismo*.

Matka skończyła sprzątać ze stołu, pozmywała, a potem wróciła do salonu z kieliszkiem wina, które nalała sobie do kolacji i w którym dotąd nie umoczyła ust. Zobaczyła, jak syn z kontrolerem w ręku nieobecny wzrokiem wpatruje się w jakiś nieokreślony punkt na ścianie. Otwierała już usta, żeby zapytać, o co chodzi, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

Antoine natychmiast podskoczył, przerażony.

Kto to może być, w taki wieczór, o takiej porze?

Nawet jego matka, choć nie była strachliwa, z wahaniem podeszła do drzwi. Odsłoniła wizjer, przytknęła czoło do drzwi i szybko je otworzyła.

– Valentine...!

– Chodzi o moją matkę – tłumaczyła się dziewczyna. – Zamknęła się w sypialni, nikomu nie otwiera, nie odpowiada... Tato pyta, czy...

– Już idę!

Obróciła kilka razy między drzwiami wejściowymi a kuchnią, rozpinając fartuch, szukając płaszcza...

– Ależ wejdź, Valentine!

Z bliska dziewczyna nie miała już tej wyniosłej miny, z jaką wcześniej tego wieczoru widział ją Antoine, tego wzgardliwego spojrzenia. Intensywna czerwień szminki na ustach uwypuklała bladość jej twarzy. Oczy, podkreślone grubą ciemnoniebieską kreską, były wilgotne. Zrobiła krok w stronę salonu,

spojrzała na Antoine'a, który szybko wstał. Zdawkowo skinęła mu głową, na co odpowiedział krótkim uniesieniem ręki. Zauważył, że sprawia teraz wrażenie bardziej wyluzowanej, jakby była sama, jakby nikt na nią nie patrzył...

Miała na sobie ten sam strój co wcześniej w kościele, czerwone džinsy i kurtkę z białego skaju, którą, jakby nagle uświadomiwszy sobie, jak gorąco jest w pokoju, z westchnieniem rozpięła, ukazując różowy moherowy sweter ściśle opinający jej niewiarygodnie krągłe, zdaniem Antoine'a, piersi. Zastanawiał się, jak piersi mogą takie być, takich krągłych nigdy jeszcze nie widział. Przez sweter widać było nawet brodawki. Jej perfumy pachniały jak jakiś znany kwiat, tylko jaki...

– Jak to – zdziwiła się pani Courtin już w płaszczu – jeszcze nie gotowy?

– Ja też idę? – zapytał Antoine.

– No chyba, że tak! W takiej sytuacji...

Speszona spojrzała na Valentine.

Antoine nie rozumiał, niby dlaczego „taka sytuacja” wymaga jego obecności. Może matka tak powiedziała z uwagi na Valentine?

– To ja już biegnę, zaraz przyjdiesz, prawda?

Perspektywa udania się do sąsiadów, znalezienia się twarzą w twarz z panem Desmedtem, przyprawiała go o mdłości.

Trzasnęły drzwi.

Antoine rozglądał się, szukając jakiegoś wyjścia z sytuacji.

– Co to?

Szybko się odwrócił. Valentine nie wyszła z panią Courtin, została tutaj, z nim. Trzymała w ręku kontroler do jego PlayStation, skierowany uchwytem do góry. Złapała jeden uchwyt, jakby to był trzon młotka, z miną wyrażającą wielkie zaciekawienie. A potem jej drobna dłoń zaczęła obmacywać uchwyt, wodzić po nim wyprostowanym palcem, jakby go dopiero odkrywała i chciała ocenić jego gładkość, teksturę, ale robiąc to, nie spuszczała wzroku z Antoine'a.

– Co to? – powtórzyła.

– To jest... do zabawy – wykrztusił Antoine.

Uśmiechnęła się i nie przestając manipulować padem, nadal się w niego wpatrywała.

– Ach tak... do zabawy...

Antoine skinął głową, że tak, i wybiegł, popędził na górę do swojego pokoju, zaczerpnął głęboko powietrza, a serce waliło mu jak szalone. Nie bardzo pamiętał, po co tu przyszedł. A tak, po buty. Usiadł na łóżku.

I znów poczuł zmęczenie, nieodpartą pokusę, żeby się położyć, zamknąć oczy.

Pod powiekami wciąż widział dłoń Valentine, czuł jeszcze jej magnetyczną obecność. Ogarnęło go poruszenie tak silne i bolesne, że znów zapragnął, żeby go jak najszybciej dopadli, żeby został aresztowany.

Żeby móc jak najszybciej przyznać się do winy. Nareszcie to z siebie zrzucić. Móc wreszcie zasnąć i spać. Spać.

Groza straszliwych skutków przyznania się do winy coraz bardziej bladła w obliczu niemożności życia tak dłużej, w takim strachu, z tymi obrazami, od których nie mógł się uwolnić. Ilekroć, tak jak teraz, zamykał oczy, pojawiał się przed nim Rémi.

Zawsze ten sam obraz.

Mały chłopczyk w ciemnej czeluści, który wyciąga do niego ręce...

Antoine!

Albo sama tylko ręka, która próbuje się czegoś uchwycić i oddalający się, niknący głos Rémięgo.

Antoine!

– Ty już w łóżku?

Poderwał się jak rażony prądem.

W drzwiach stała Valentine, która zdjęła bluzę i niedbale przerzuconą przez ramię, trzymała ją na zgiętym palcu.

Obrzuciwszy wzrokiem pokój z ciekawością, która z ciekawością nic wspólnego nie miała, płynnym, tanecznym krokiem, jakiego Antoine nigdy u niej nie widział, podeszła bliżej. Wnętrze wypełnił zapach jej perfum, które już wcześniej poczuł.

Nie patrzyła na niego. Przechadzała się po pokoju powolnym krokiem, jak roztargniony, obojętny gość w muzeum.

Było mu okropnie gorąco, próbował wziąć się w garść. Pochylił się, złapał buty i z opuszczoną głową i wzrokiem wbitym w podłogę zaczął zawiązywać

sznurówki.

Poczuł, że Valentine podchodzi, że wkracza w jego, już i tak maksymalnie zawężone, pole widzenia. Stała przed nim w lekkim rozkroku; widział tylko jej białe tenisówki i dół lekko wilgotnych nogawek czerwonych spodni. Gdyby uniósł głowę, jego spojrzenie znalazłoby się na wysokości jej paska.

Dalej wiązał buty, ale drżące dłonie odmawiały mu posłuszeństwa, czuł bolesną wręcz erekcję. Valentine stała bez ruchu. Jakby cierpliwie czekając, aż skończy. A wtedy on jednym susem poderwał się, wyminął ją, starając się jej nie dotknąć, lecz zostało mu tak mało miejsca, że stracił równowagę i upadł na łóżko. Żwawo niczym wyjęta z wody ryba przewrócił się na brzuch, by nie dostrzegła wypukłości w jego spodniach. Wstał, był już przy drzwiach...

Valentine nie odwróciła się. Widział ją od tyłu. Jej bluza spadła na podłogę.

Stała pewnie, w lekkim rozkroku, twarzą do łóżka, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, obejmując dłońmi ramiona. Dostrzegł cukierkowy róż lakieru na jej paznokciach. Nie mogąc się powstrzymać, utkwił spojrzenie w jej krągłych, niezwykle jędrnych pośladkach, wąskich biodrach i w ramiączku biustonosza, tworzącego lekką wypukłość w połowie jej pleców.

Zrobiło mu się słabo. Sam już nie wiedział, czy zaczyna tracić równowagę, czy to Valentine się kołysze, nieznacznie porusza miednicą w jakimś nieruchomym, milczącym i lubieżnym tańcu.

Oparł się o framugę drzwi. Potrzebował powietrza. Musiał wyjść. Natychmiast.

Zbiegł na dół po cztery stopnie naraz, podszedł do zlewu w kuchni, odkręcił kran, ochlapał twarz wodą. Potem otrząsnął się, złapał ścierkę i wytarł twarz.

W momencie kiedy ją odwieszał, mignęła mu Valentine zmierzająca korytarzem w stronę drzwi. Do pokoju wtargnęło powietrze z dworu. Antoine pobiegł za nią; była już na ulicy, szła zdecydowanym acz niespiesznym krokiem. Obojętnie minęła ogród rodziców i weszła do domu, nie pofatygowała się nawet zamknąć drzwi, taka była pewna, że Antoine za nią przybiegnie.

Nim się spostrzegł, był już u Desmedtów.

Natychmiast uderzył go typowy dla tego domu zapach. Nigdy nie lubił tej mieszanki woni kapusty, potu i pasty do podłogi...

Zrobił krok i stanął jak wryty.

Naprzeciwko niego, przy przeciwległym krańcu długiego stołu siedział pan Desmedt i na niego patrzył.

Nagle Antoine nabrał pewności, że Valentine tak naprawdę przyszła tylko po to, żeby sprowadzić go tutaj, przed oblicze ojca.

Ona sama kręciła się po pokoju, to z roztargnieniem kartkując program telewizyjny, to niedbale wodząc palcem po rancie komody. Potem popatrzyła na Antoine'a. To już nie była ta sama osoba. Frywolną nastolatkę dopadł w tym pokoju cień jej młodszego brata, który niczym groźba wisiał w powietrzu. Nagle odwróciła się, podeszła do schodów i bez jednego gestu, bez spojrzenia, zniknęła.

– Są na górze – rzucił pan Desmedt grobowym głosem, ruchem głowy pokazując na piętro, skąd dobiegały niewyraźne szepty.

Jedynym źródłem światła w stołowym była żarówka z kuchni i girlanda na choince, identyczna jak u Courtinów. Zapewne kupiona w tym samym sklepie.

Antoine był jak sparaliżowany. Na stole przed panem Desmedtem stała pusta szklanka i butelka wina. On sam z zamyśloną miną spuścił teraz wzrok. Siedział tak przez dłuższą chwilę, a potem jakby przypomniawszy sobie, że nie jest sam, wskazał krzesło obok siebie. Antoine przeraził się, że pan Desmedt wstanie, podejdzie do drzwi i zmusi go, żeby usiadł. Nieśmiało ruszył do przodu. A im bliżej podchodził, tym wyraźniej go widział i tym większy budził w nim lęk ten masywny i brutalny mężczyzna.

– Siadaj.

Odsunięte przez Antoine'a krzesło zaskrzypiało jak kreda pisząca po tablicy. Pan Desmedt przez długą chwilę mu się przyglądał.

– Ty akurat dobrze znasz Rémię... co?

Antoine ściągnął wargi, tak, dość dobrze, to znaczy, trochę...

– Wyobrażasz sobie, żeby ten dzieciak uciekł z domu? Sześciolatek?

Antoine pokręcił głową, że nie.

– Wyobrażasz sobie, żeby wyruszył ot tak, w siną dal? I nie wiedział, jak wrócić, on, który się tu urodził?

Antoine zrozumiał, że kwestie pana Desmedta nie były pytaniami, tylko dywagacjami, które od wielu godzin roztrząsał. Nie odpowiedział.

– I dlaczego nie szukają go nocą, co? Nie mają lamp na komisariacie?

Antoine rozłożył ręce: nie wie, czym to wytłumaczyć.

Zapach pana Desmedta był bardzo dokuczliwy, spotęgowany dodatkowo wonią wina, które zdążył już wypić.

– To ja już pójdę... – szepnął Antoine.

Ponieważ pan Desmedt nie poruszył się, ostrożnie wstał. Tak jakby go nie chciał obudzić.

A wtedy pan Desmedt szybko się odwrócił, złapał go za biodra i do siebie przyciągnął. Obejmując go ramionami na wysokości pasa, ukrył głowę na jego piersi i wybuchnął płaczem.

Pod jego ciężarem Antoine o mało się nie przewrócił, ale zdołał ustać na nogach. Patrzył na wstrząsany łkaniem masywny blady kark ojca Rémięgo, wdychał jego intensywną woń.

Uwięziony w potężnych ramionach tego człowieka, miał ochotę umrzeć.

Na komodzie stały rodzinne zdjęcia, każde w innej ramce. Jedna z nich była pusta, ta, w której znajdowała się wcześniej fotografia przekazana żandarmom, ta, którą pokazano w dzienniku telewizyjnym, Rémi w żółtym T-shircie, z niesfornym kosmykiem na czole...

Nie wstawili innego zdjęcia, żeby wypełnić pustą przestrzeń. Czekali, aż fotografia Rémięgo powróci na swoje miejsce, aż wszystko znów będzie jak dawniej.

Wydawało się, że pod wiszącą nad miastem jednolicie mlecznobiałą kopułą nieba nigdy nie nastanie dzień. Pierwsi, którzy się zjawili, zastali pana Desmedta stojącego w świetle markizy przed swoim ogrodem, obutego w ciężkie buciory, w beżowej kurtce, z pięściami zaciśniętymi w kieszeniach. Twarz miał nieprzeniknioną jak w swoich najgorszych dniach.

Mężczyzn przyszło dużo więcej niż kobiet, ale było też kilku chłopców, starszych od Antoine'a, szesnasto- i osiemnastolatków, których znał tylko z widzenia.

On sam w nocy nie zmrużył oka, ledwie się trzymał na nogach.

Kiedy zobaczył przez okno zebranych przed domem Desmedtów ludzi, których orszak zamierzał już ruszyć przed merostwo, stracił odwagę.

– Jak to, nie idziesz?

Pani Courtin była oburzona. Co powiedzą, jeśli nie pójdzie, co pomyślą o nim, o niej, o nich? Już choćby tylko przez wzgląd na Bernadette... Całe miasto weźmie udział w tych poszukiwaniach, to ich obowiązek!

– Ale Mouchotte'owie nie idą! – zaproponował Antoine.

Czuł, że argument pachnie hipokryzją, nikt tak nie znosił Desmedtów jak Mouchotte'owie, czasami mówiono nawet, że na szczęście ich posesje rozdziela dom Courtinów, bo gdyby nie to, obaj mężczyźni dawno by się już pozabijali.

– No, przecież wiesz, że... – zaczęła pani Courtin.

Żeby już z tym skończyć, Antoine ustąpił i zszedł na dół.

Uściskał kilka dłoni, starając się trzymać jak najdalej od rodziny Desmedtów, wokół których i tak tłoczyło się mnóstwo ludzi. Valentine nadal miała na sobie czerwone dzinsy, ale w świetle tego smutnego poranka ich kolor jakby spłowieł, a ona sama pośród tego tłumu sprawiała wrażenie starszej, drugoplanowej, nie na miejscu.

Procesja ruszyła na miejsce zbiórki.

Tak jak w pobliżu państwa Desmedtów panowała pełna szacunku cisza, tak trochę dalej krążyły w najlepsze plotki i komentarze. Przede wszystkim to jezioro... Przecież już od lat mówi się, żeby zabezpieczyć do niego dostęp, ale merostwo nic w tej sprawie nie robi.

Poza tym te poszukiwania, czyja to była inicjatywa, merostwa czy prefektury?

Rozdrażnienie, które od dwóch dni wyczuwało się wśród mieszkańców, znalazło w tych wyjątkowych okolicznościach nowe ujście: narzekali na merostwo, innymi słowy – na mera, innymi słowy – na właściciela fabryki Weisera. W tej ich irytacji zawierał się cały gniew wywołany zagrożeniem socjalnym ciężącym od dawna na ich społeczność, gniew, którego nie umieli dotąd wyrazić otwarcie.

Przed ratuszem Straż Obywatelska ustawiła dwa wielkie białe namioty, obecni byli strażacy i żandarmi.

– Zaraz, ale gdzie są psy? – zapytał ktoś. Pani Courtin rozmawiała z właścicielką sklepu. Antoine nastawiał ucha, ale nic nie słyszał: jego głowę wypełniał głośny warkot, nieprzerwana wibracja, dźwięki docierały do niego stłumione, tu wychwycił sylabę, tam fragment zdania. Ej, Antoine! Odwrócił się. To był Théo.

– Nie masz prawa tu być!

Antoine otworzył usta, a niby dlaczego... Synalek mera napuszył się, szczęśliwy, że może przekazać złą nowinę.

– Tylko pełnoletni mogą brać udział! – oznajmił, jakby jego samego limit wieku nie dotyczył.

Pani Courtin gwałtownie się do nich odwróciła.

– To prawda?

Podszedł do nich żandarm, ten, który poprzedniego dnia przesłuchiwał Antoine'a.

– Trzeba mieć co najmniej szesnaście lat...

Spojrzał z lekkim uśmiechem na obu chłopców i dodał:

– To bardzo ładnie, że chcecie wziąć udział, ale...

Tłum wciąż powiększał się o nowo przybyłych. Ściskano sobie dłonie, przybierano miny skromne acz wymowne. Mer rozmawiał z członkami Straży

Obywatelskiej i z żandarmami. Rozłożono mapy sztabowe. Nadjechała ciężarówka, a w niej cztery psy ciągnące smycze.

– A, jednak przywieźli! – rzucił ktoś.

Trochę czasu zajął podział uczestników na grupy oraz przekazanie każdej pod rozkazy żandarma lub strażaka. Instrukcje były wydawane w sposób klarowny i zdecydowany. Mężczyźni w czapkach lub kapturach kiwali głowami.

Antoine naliczył dziesięć grup po osiem osób.

Wielkie wrażenie na wszystkich zrobił przyjazd telewizji. Operator omiół kamerą tłum osób gotowych wykazać się zdyscyplinowaniem, odpowiedzialnością i chęcią współpracy. Dziennikarka miała problem z wyborem rozmówcy, gdyż każdy miał coś do powiedzenia. Jakaś kobieta, której Antoine nigdy nie widział, przyciskając ręce do piersi, opowiadała, jak okropnie jest wstrząśnięta, wypisz wymaluj matka zaginionego malca. W tym czasie, gdy dzieliła się swoimi emocjami, dziennikarka wspinała się na palce, rozpaczliwie szukając wzrokiem rodziców. Kiedy ich wreszcie wypatrzyła, przerywając kobiecie w pół zdania, zaczęła się przepychać przez zebranych, z operatorem deptającym jej po piętach. W końcu, manewrując w tłumie, dotarli w pobliże białego namiotu.

Ujrawszy ich, pani Desmedt wybuchnęła płaczem. Operator momentalnie przyłożył kamerę do ramienia.

Ujęcia zrobione w tym momencie niespełna dwie godziny później miała poznać cała Francja.

Rozpacz pani Desmedt, to, co powiedziała, wyciskało łzy z oczu. Oddajcie-mi-go. Trzy ledwie słyszalne słowa.

Oddajcie-mi-go. Wypowiedziane łamiącym się, wibrującym głosem.

Otoczenie było tak tym poruszone, że w tłumie z wolna zaczęła zapadać cisza, skłaniająca do mimowolnego skupienia, jak się obawiano, proroczego.

Młody żandarm z megafonem w ręku stanął na ganku ratusza, podczas gdy funkcjonariusze z opaskami na ramieniu rozdawali ulotki.

– Dziękuję, że się zjawiliście, zwłaszcza w takim jak dzisiaj dniu...

Dyskretnie odchrząknawszy, każdy z obecnych poczuł się podwójnie ofiarny i szlachetny.

– Prosimy, byście uważnie przeczytali otrzymane przed chwilą pisemne instrukcje. Nie przyspieszajcie kroku, koncentrujcie się na tym, co widzicie.

Najważniejsze jest to, by każdy metr kwadratowy, który przetrząśniemy, można było definitywnie wykluczyć z naszych poszukiwań. Czy wyrażam się jasno?

Odpowiedział mu szmer aprobaty.

W czasie jego wystąpienia uwagę Antoine'a przyciągnęło przybycie księdza i pani Antonetti.

– Sformowaliśmy dziewięć grup. Cztery razem z opiekunami psów udadzą się nad jezioro, trzy inne na zachodni skraj lasu państwowego i wreszcie dwie pozostałe wyruszą do Saint-Eustache.

Antoine zamarł. To już koniec. Nareszcie się uwolni.

Teraz już wiedział, co się stanie, wiedział, co zrobi. W pewien sposób wszystko stało się prostsze.

– Po przerwie obiadowej zmodyfikujemy kierunki działania grup w zależności od postępów uzyskanych rano. Jeśli dzisiejsze poszukiwana nie przyniosą skutku, poprosimy was o przyście jutro.

W tym momencie pojawił się pan Kowalski.

Szedł powoli, z wahaniem. Kiedy przechodził, zapadała cisza, ludzie się rozstępowali, nie z respektem jednak, tylko dlatego, że był podejrzany. Zwolnili go... można było wyczytać z ust wszystkich obecnych. Ludzie wymieniali ostrożne spojrzenia. Zwolnili go warunkowo? Nikt nic nie wiedział.

W miarę jak pan Kowalski zbliżał się do ratusza, ci, których minął, ściszym głosem wymieniali uwagi. Zwolniony, zgoda, ale może tylko z braku dowodów... W końcu nie wszyscy trafiają do aresztu, aresztuje się tylko tych, którzy mają jakiś, bliższy bądź dalszy, związek ze sprawą. Nie ma dymu bez ognia. Kowalski... Podobno interes nie bardzo mu idzie, żeby móc związać koniec z końcem, musi objeżdżać okoliczne miasteczka.

Twarz pana Kowalskiego nie wyrażała żadnych emocji, była jak zawsze pociągła i guzowata, te same zapadnięte policzki, te same krzaczaste brwi...

Przeszedł obok Antoine'a i jego matki. Pani Courtin ostentacyjnie odwróciła się do niego plecami. Podeszedł do żandarma, stanął i lekko rozłożył ręce: jestem, niech pan powie, co mogę zrobić.

Żandarm popatrzył na grupy ludzi i od razu wyczuł w nich negatywną energię. Odwracali się plecami, odwracali wzrok, a inni, jeszcze bardziej zawzięci, nie czekając, od razu ruszali w drogę.

– Rozumiem... – w głosie żandarma słychać było lekkie znużenie. – No dobrze, pójdzie pan z nami.

Tłum ruszył w drogę, podjęto rozmowy, ziemię zaścielały instrukcje Straży Obywatelskiej.

Wróciwszy do domu, Antoine długo siedział w swoim pokoju przy otwartym oknie i patrzył przed siebie. Kiedy znajdą ciało, zadzwonią, a wtedy w oddali pojawią się światła radiowozów na drodze prowadzącej do Saint-Eustache.

Wreszcie zamknął okno i poszedł do łazienki.

Wyjął wszystkie lekarstwa, jakie tylko znalazł w apteczce. Pani Courtin, jak większość Francuzów, nie bez powodu zasługiwała na miano wielkiej lekomanki, było tam wszystko, i to w dużych ilościach. Uzbierał się spory stos pigułek.

Powstrzymując nudności i zalewając się łzami, Antoine zaczął je łykać garściami.

Wstrząs w głębi żołądka przeszył go od stóp do głów porażającym skurczem, rozsadził mu krzyż i eksplodując w przełyku, dosłownie poderwał z łóżka. Z gardłowym okrzykiem z trzewi Antoine pochylał głowę, wypluwając strużkę żółci. Odurzony, półprzytomny, próbował się ocknąć.

Był ledwie żywy, ból pleców stał się torturą. Przy każdym skurczu wymiotnym całe jego ciało próbowało wyrwać się ze swojej powłoki, przenicować się, stopić i uciec.

Trwało to bite dwie godziny.

Matka regularnie do niego zaglądała, zmieniała miskę ustawioną na dywaniku przy łóżku, osuszała mu kąciki ust, zimnym mokrym ręcznikiem ocierała czoło i z powrotem schodziła na dół.

Kiedy skurcze ustały, Antoine zasnął.

W jego śnie Rémi był wykończony, on też do reszty opadł już z sił. Leżąc w wielkiej mrocznej dziurze, nie wyciągał już ramion, tylko w ostatnim wysiłku swoje małe dłonie. Zbliżała się śmierć, już tu była, chwytala go za stopy, ciągnęła do siebie, Rémi osuwał się coraz niżej, znikał...

Antoine!

Kiedy się ocknął, było już ciemno. Nie wiedział, która może być godzina, ale na pewno jeszcze nie środek nocy, bo na dole słyszał telewizor. Z uwagą nasłuchiwał bicia kościelnego dzwonu, które przy odpowiednim kierunku wiatru dobiegało aż do jego pokoju. Zresztą wiatr wiał, wdzierał się między szczebelki okiennic. Antoine naliczył sześć uderzeń, nie był pewny, ile dokładnie. Powiedzmy między piątą a siódmą.

Spojrzał na stolik nocny. Stała na nim szklanka z wodą i karafka. I butelka z jakimś lekarstwem, którego nie znał.

Rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych, telewizor umilkł.

Męski głos, szepty.

Potem na schodach rozległy się kroki i do pokoju wszedł doktor Dieulafoy, sam, ze swoim dużym skórzanym kuferkim, który postawił przy łóżku. Nachylił

się nad Antoine'em, na chwilę przyłożył dłoń do jego rozpalonego czoła, a potem, nadal bez słowa, zdjął płaszcz, dobył stetoskop, odrzucił kołdrę, podciągnął mu górę od pizamy (kiedy Antoine ją włożył? Nie pamiętał) i w milczeniu, ze wzrokiem skupionym na jakimś wyimaginowanym płynnym punkcie, przystąpił do badania.

Na dole znów zaczął grać telewizor, ale głos został ściszony. Doktor sprawdził puls Antoine'a. Potem schował stetoskop i dalej siedział na łóżku z lekko rozstawionymi nogami, ze splecionymi dłońmi, zamyślony i poważny.

Doktor Dieulafoy miał jakieś pięćdziesiąt lat. Tak jak wszyscy zgadzali się co do tego, że jego ojciec był bretońskim marynarzem, który wiele podróżował, tak pochodzenie jego matki było przedmiotem licznych spekulacji: wietnamska służąca, chińska prostytutka, tajska ulicznica... Jak widać, plotka nie przypisywała wielkiego znaczenia tej kobiecie, o której nikt tak naprawdę nic nie wiedział.

Doktor mieszkał w Beauval od blisko dwudziestu pięciu lat i nikt nie mógł się pochwalić, że widział go kiedykolwiek uśmiechniętego. Przez cały rok krążył po drogach kantonu, przyjmował do ostatniego pacjenta, wszyscy go znali, każdy go kiedyś wezwał i znowu wezwie, uczestniczył w dziesiątkach ślubów, komunii, chrztów i pochował mnóstwo starców, ale nikt nic o nim nie wiedział. Nie miał dzieci, córka sklepikarki sprzątała mu mieszkanie, gabinetem sam się zajmował. W niedzielę przez szeroko otwarte niezależnie od pogody okna można było zobaczyć, jak ubrany w wiekowy dres odkurza, pastuje i czyści, a jeśli jakiś pacjent, korzystając z okazji, wtedy do niego zapukał, doktor Dieulafoy otwierał drzwi, wpuszczał go do środka, mył ręce i zostawiając na rogu biurka puszkę wosku do podłogi i szmatkę do kurzu, przystępował do badania.

Antoine podciągnął się wyżej na poduszkach. Po wielokroć przeniecony żołądek straszliwie go bolał, mdliło go od smaku wymiocin w ustach.

Doktor, zatopiony w myślach, siedział nieruchomo. Jego szeroka, doskonale kamienna twarz mieszańca, a także jego bezruch, wywoływały u Antoine'a skrępowanie, ale powoli zrobiło się tak, jakby go tu już nie było, jakby był po prostu nowym meblem w pokoju. Antoine pogrążył się we własnych rozmyślaniach. Nie udało się. Chciał umrzeć i spaprać sprawę. Trzeba się będzie tłumaczyć, wyjaśniać. Nagle przypomniał sobie obławę, grupy zmierzające do Saint-Eustache... Nie będzie się już musiał tłumaczyć, pozostanie mu tylko potwierdzenie tego, co już wszyscy wiedzieli. Ciężar tego,

co go teraz czeka, był tak wielki, że z góry załamany, zamknął oczy i z powrotem opadł na poduszki.

– Czy chcesz mi o tym opowiedzieć, Antoine?

Doktor miał bardzo łagodny głos. Nadal, nawet o milimetr, nie zmienił pozycji.

Antoine nie miał siły odpowiedzieć na to pytanie. Śmierć Rémiego była wciąż obecna, a zarazem bardzo odległa, w głowie kłębiło mu się zbyt wiele różnych pytań. Gdzie złożyli ciało Rémiego? Wyobraził sobie Bernadette siedzącą przy zwłokach syna, próbującą ogrzać jego zimną rączkę w swoich dłoniach...

Czy z aresztowaniem go czekają, aż doktor Dieulafoy, jako lekarz, da zielone światło? Czy żandarmi przetrzymują na dole jego matkę? A może, ponieważ jest nieletni, może to lekarz ma odebrać od niego zeznania... Sam już nie wiedział, na które z tych pytań sobie odpowiedzieć.

Półmrok pokoju znów przypomniał mu Rémiego. Wydobytego z równie mrocznego miejsca.

Wyobraził sobie mężczyzn pochylających się przy wielkim zwałonym buku. Pan Desmedt nie pozwolił nikomu zejść do ciemnej rozpadliny po swojego syna. Nawet strażacy to uszanowali i trzymali się na odległość, przynieśli tylko nosze i duży koc, żeby okryć nim ciało. Chwila, kiedy pan Desmedt wydobywał ciało syna, była głęboko przejmująca. Najpierw pojawiła się głowa Rémiego, ludzie od razu rozpoznali jego jasne włosy, potem ramiona. Był tak zmasakrowany, że wydawało się, iż na powierzchnię wyłania się w kawałkach...

Antoine się rozplakał.

Placz sprawił mu nieoczekiwaną ulgę. Nie były to łzy takie jak wcześniej, kiedy był jeszcze wolny, lecz obfity, kojący potok. Łzy oczyszczające.

Doktor Dieulafoy skinął tylko głową, potwierdzając coś, co nie zostało wypowiedziane, ale co on zdawał się usłyszeć.

Łzy Antoine'a płynęły niepowstrzymanie. Dziwne, ale poczuł w tym momencie coś na kształt szczęścia. Szczęścia z powodu ulgi, na którą już nie liczył. To był koniec, a on płakał łzami dzieciństwa, było w nich coś opiekuńczego, przynosiły mu ukojenie, które zabierze ze sobą, dokądkolwiek go wywiozą.

Doktor przez długą chwilę słuchał płaczącego Antoine'a, a potem wstał, zamknął swój kuferek i nie patrząc na niego, sięgnął po płaszcz.

I bez słowa wyszedł.

Antoine uspokoił się, wytarł nos, oparł się na poduszkach. Może powinien na ich przyjście się ubrać... Nie wiedział, jak się zachować, pierwszy raz miał być aresztowany.

Najpierw na schodach usłyszał kroki matki. Więc to przy niej ma się ubrać i z nią zejść na dół. Wolałby, żeby to był kto inny, matka uczepli się go, kiedy żandarmi będą go wyprowadzali.

Wchodząc do pokoju, pani Courtin zmarszczyła nos, ten smród wymiotów...

Zabrała miskę i postawiła ją na podłodze w korytarzu, po czym, mimo hulającego na dworze wiatru, otworzyła jedno skrzydło okna, żeby wywietrzyć. Do pokoju wtargnęło zimne powietrze. Antoine zauważył na czole matki małą zmarszczkę, która była u niej oznaką zmartwienia.

Odwróciła się do syna.

– Chyba już lepiej, co?

Nie czekając na odpowiedź, wzięła ze stolika nocnego buteleczkę z lekiem i odmierzyła łyżeczkę do kawy.

– Ten kapłon... Wszystko wyrzuciłam. To już koniec świata, żeby sprzedawać takie mięso!

Antoine nie zareagował.

– Weź, jest na niestrawność, poczujesz się lepiej.

To nawiązanie do zwykłej dolegliwości zastanowiło go i zmartwiło. Przełknął lekarstwo. Nie był pewny, czy rozumie, co się dzieje. Pani Courtin zakręciła buteleczkę.

– Zrobiłam rosół, zaraz ci trochę przyniosę.

Mówiła o kurczaku, tymczasem pamiętał, że prawie go nie tknął. Poza tym skoro był chory z powodu niestrawności, to dlaczego matka, która także jadła kurczaka, się nie pochorowała?

Próbował przypomnieć sobie przebieg wydarzeń, ale w głowie miał mętlik. Trudno mu było wyraźnie odróżnić rzeczywistość od tego, co musiało mu się przyśnić. Wstał. Ugięły się pod nim nogi, zachwiał się, musiał przytrzymać się łóżka. Pomyślał o Valentine. Czy Valentine była częścią rzeczywistości, czy

snu? Przypomniał sobie, jak stała przed nim, gdy próbował zawiązać buty, jak chciał szybko wstać, ale upadł na łóżko, tak jak teraz...

Potem była wigilia, ale wcześniej pan Desmedt objął go w pasie. I wreszcie wyprawa poszukiwawcza do lasu komunalnego i do Saint-Eustache...

Zamknął oczy, odczekał, aż przestanie mu się kręcić w głowie i podjął nową próbę. Opierając się o ściany, o meble, dotarł do korytarza, pchnął drzwi łazienki, przytrzymał się umywalki, otworzył apteczkę.

Pusta.

Zapadając w sen, zapamiętał lekarstwa rozrzucone na stoliku nocnym, niektóre zleciały nawet na podłogę... Co się z nimi stało?

Wrócił do pokoju.

Z ulgą wyciągnął się na łóżku.

– Masz...

Matka przyniosła tacę z talerzem gorącego rosółu i ostrożnie manewrując, postawiła ją na łóżku.

– Nie chcę – powiedział słabym głosem Antoine.

– A tak, tak to już jest z niestrawnością, przez długi czas jest się do niczego, na nic się nie ma ochoty.

Niepokoił go odgłos telewizora w salonie. Włączenie go w środku dnia było sprzeczne ze zwyczajami pani Courtin, można nawet powiedzieć, że sprzeczne z jej systemem wartości. Ekran tylko ogłupiają.

– Doktor Dieulafoy powiedział, że wieczorem zajrzy sprawdzić, czy wszystko w porządku. Mówiłam mu, że szkoda fatygi, bo czujesz się bardzo dobrze, w końcu nie będziemy stawać na rzęsach z powodu zwykłej niestrawności! Ale wiesz, jaki on jest, skrupulatny, że aż strach... Dlatego zajrzy...

Kręciła się po pokoju, chodziła od biurka do okna, zamykała drzwi, które już były zamknięte, krzątała się bez celu, próbowała robić dobrą minę, a jej widoczne zakłopotanie kłóciło się z energicznym i pewnym siebie głosem, którym ciągnęła:

– Zepsuty kurczak, masz pojęcie, co to znaczy? Ach, zapłacą mi za to!

Antoine zauważył, że unika wymawiania nazwiska pana Kowalskiego. To było bardzo do niej podobne: jeśli się o czymś nie mówiło, to to coś przestawało istnieć.

– A zresztą, niestrawność to w końcu żaden dramat! Tak mu też, doktorowi Dieulafoyowi, powiedziałam, mówił coś o szpitalu, bla, bla, bla, a dał ci środek wymiotny i tyle.

Zdawała się brać syna na świadka w tej sprawie.

– Nazywa się to emetyk, też coś... To jak, nie chcesz mojego rosołu?

Po tym długim wyjaśnieniu, nie bardzo wiadomo, do czego prowadzącym, pani Courtin nagle zapragnęła jak najszybciej wyjść.

– Zgasić? Lepiej ci będzie, jak sobie pośpisz... Sen to jest prawdziwe lekarstwo. Odpoczynek!

Nie czekając na zgodę, zgasiła światło i przymknęła drzwi.

W pograżonym w półmroku pokoju słychać było już tylko narastający szum wiatru, możliwe, że nadciąga wichura.

Antoine próbował poskładać w całość fragmenty tego, co usłyszał i zrozumiał; te lekarstwa, które zniknęły ze stolika nocnego, ta wizyta lekarza, ta tyrada matki... O co w tym wszystkim chodziło?

Zasnął.

Obudził go dzwonek u drzwi wejściowych.

Nie wiedział, czy tylko się zdrzemnął, czy długo spał. Odrzucił kołdrę, podkradł się do uchylonych drzwi, rozpoznał głos doktora.

– Może lepiej go nie budzić? – szeptała pani Courtin.

Lecz w chwilę potem na schodach rozległy się kroki lekarza.

Antoine szybko się położył, przewrócił na bok i zamknął oczy.

Doktor wszedł do pokoju i przez długą chwilę stał nieruchomo przy jego łóżku. Antoine, cały spięty, starał się odzyskać panowanie nad oddechem. Jak człowiek oddycha we śnie? Uznał, że oddech powolny i głęboki najbardziej pasuje do osoby śpiącej.

W końcu lekarz usiadł na brzegu łóżka, dokładnie w tym samym miejscu co poprzednio.

Antoine słyszał bicie własnego serca i szum wiatru na dworze.

– Jeśli masz jakieś kłopoty, Antoine...

Mówił głosem cichym, opanowanym, poufnym. Antoine musiał wyteńczyć słuch, żeby go zrozumieć.

– ...możesz do mnie w dowolnej chwili zadzwonić. W dzień i w nocy. Możesz do mnie przyjść, możesz zadzwonić, jak wolisz... Przez dzień lub dwa będziesz się czuł osłabiony, potem wszystko wróci do normy i może właśnie wtedy zechcesz z kimś porozmawiać... Nie musisz, to tylko...

Słowa płynęły powoli, doktor nie kończył zdań, ich zakończenie rozpływało się w powietrzu niczym lekka para.

– Gdybym cię umieścił w szpitalu... sprawa wyglądałaby inaczej, rozumiesz... Tam... teraz jeszcze nie wiem, jak... i właśnie dlatego przyszedłem, bo chcę ci powiedzieć, że jeśli coś się zdarzy, możesz zwrócić się do mnie, zadzwonić... Obojętnie kiedy. Ot co. Żeby ze mną porozmawiać... Obojętnie kiedy.

Antoine, ani zresztą nikt inny w miasteczku, nigdy jeszcze nie słyszał z ust doktora Dieulafoya równie długiej wypowiedzi.

Posiedział jeszcze przez chwilę, dając Antoine'owi – o ile ten w ogóle słuchał – czas, by pojął jego przekaz, a potem wstał i tak jak się zjawił, wyszedł. Jak duch.

Antoine nie mógł zrozumieć, co się stało. Doktor Dieulafoy nie mówił do niego, on szeptał mu kołysankę.

Antoine nie zmienił pozycji. Odpłynąwszy w sen, znów walczył z echem setki razy powtarzanego, rozdzierającego krzyku, który wraz z wyciem wiatru docierał aż do jego pokoju.

Antoine!

Kiedy się obudził, nie wiedział dlaczego, lecz był pewny, że tym razem jest już późna noc. Ale telewizor na dole wciąż grał.

Z całą wyrazistością powróciły do niego wydarzenia z poprzedniego dnia. Wyruszenie grupy poszukiwawczej, leki, przyście doktora...

Powinien był uciec.

Również i to wspomnienie do niego wróciło: zamierzał już uciec.

Wstał, był bardzo osłabiony, ale trzymał się na nogach. Szybko uklęknął, zajrzał pod łóżko. Pusto.

A przecież był pewny, na sto procent pewny, że wepchnął tam plecak z ubraniami. I zwiniętą w kłębek koszulę.

Wstał z klęczek, otworzył szuflady komody: wszystko wróciło na swoje miejsce. Figurka Spider-Mana została z powrotem odłożona obok globusa.

Sprawdził w szufladach biurka. Dokumentów, które tam schował, już nie było.

Dla pewności musiał to wyjaśnić.

Uchylił drzwi swojego pokoju i na palcach zszedł na dół. Na parterze usłyszał szept telewizora. Podeszedł do komody przy wejściu, z grymasem skupienia wyciągnął powoli i ostrożnie górną szufladę. Na wierzchu leżał jego paszport i zezwolenie na wyjazd z kraju, równo ułożone, dokładnie na tym samym miejscu co poprzednio...

Był pewny, że to matka usunęła lekarstwa z jego stolika nocnego, sprzątnęła plecak spakowany najwyraźniej pod kątem ucieczki, odłożyła paszport i książeczkę oszczędnościową na miejsce.

Co pomyślała o tym, że Antoine próbował uciec? Co tak naprawdę wiedziała? Pewnie nic. A zarazem być może wiedziała najważniejsze. Czy zadawała sobie pytanie, jaki związek mógł mieć jej syn ze zniknięciem Rémiego?

Zamknął szufladę, zrobił krok, potem drugi. I wtedy zobaczył matkę przed telewizorem, siedziała bardzo blisko ekranu, jak osoba niedowidząca. Oglądała lokalny nocny dziennik. Głos spikera ledwie było słychać:

„... dziecka zaginionego w piątek wczesnym popołudniem. Zorganizowana wczoraj wyprawa do państwowego lasu nic, niestety, nie dała. Obszaru, na którym dziecko mogło się zgubić, nie zdołano w całości przeszukać, zwłaszcza lasu w Saint-Eustache. Żandarmeria postanowiła dziś rano przeprowadzić ponowne poszukiwania”.

Reportaż ukazywał grupy ludzi idących tyralierą, powoli, jeden obok drugiego...

„Jezioro w Beauval zostało wstępnie przeszukane przez oddział nurków ze Straży Obywatelskiej, którzy rankiem podejmą dalsze poszukiwania”.

Widok matki z niepokojem pochylonej w kierunku ekranu napełnił bólem serce Antoine'a, znów zapragnął umrzeć.

„Ewentualni świadkowie mogą zgłaszać się, dzwoniąc pod widoczny na dole ekranu numer interwencyjny. Przypomnijmy, że w dniu zaginięcia mały Rémi Desmedt, lat sześć, ubrany był w...”

Antoine wrócił do swojego pokoju.

Nie sposób było przeczesać w jeden dzień całego lasu, odbędą się ponowne poszukiwania. Jutro rano.

Nie będzie miał już drugiej szansy.

Po raz kolejny poczuł, jak bardzo wyczekuje, żeby ta wisząca nad nim od dwóch dni burza nareszcie się rozpętała.

Na dworze coraz gwałtowniejszy wiatr szarpał okiennicami.

Przez całą noc wiatr przybierał na sile i zrobił się tak porywisty, że przegonił nawet padający aż do świtu gęsty ulewny deszcz, który, wyczerpany jego naporem, w końcu musiał się poddać.

W całej okolicy wichura pozostawiła po sobie dramatyczny ślad. Zamiast, jak się spodziewano, osłabnąć, zaatakowała region niczym pewny swojej siły najeźdźca.

Miasto całkiem się już rozbudziło.

Antoine czuł ciężar zmęczenia nagromadzonego w ciągu tych dwóch dni, tym bardziej że w nocy nie zmrużył oka.

Przez całą noc wyobrażał sobie, jaką formę przybierze nieunikniona już teraz katastrofa. Leżał w łóżku, nasłuchując burzy. Za zamkniętymi okiennicami drżały szyby, wichura wdzierła się do komina, w którym głucho dudniło. Wyczuwał jakąś współzależność między targanym burzą domem a własnym położeniem. Dużo też rozmyślał o matce.

O zniknięciu Rémiego i roli, jaką odegrał w tym jej syn, nic konkretnego nie wiedziała; każdego na jej miejscu nawiedzałyby ponure obrazy, groza w stanie czystym, ale pani Courtin miała na to swój sposób. Między niewygodnymi dla siebie faktami a własną wyobraźnią wznosiła wysoki solidny mur, przez który przenikał jedynie niejasny niepokój, łagodzony wielką ilością codziennych gestów i niewzruszonych rytuałów. Życie zawsze bierze górę; uwielbiała to powiedzenie. Oznaczało to, że życie musi toczyć się nadal, nie takie, jakie jest, ale takie, jakiego się pragnie. Rzeczywistość była tylko kwestią woli, uleganie niepotrzebnym troskom niczemu nie służyło, najpewniejszym sposobem, żeby je odpędzić, było nieprzyjmowanie ich do wiadomości – niezawodna metoda, całe jej życie dowodziło, jak skutecznie działająca.

Jej syn chciał się zabić, połykając zawartość domowej apteczki, zgoda, można tak na to spojrzeć. Ale jeśli sprowadzić to do niestrawności po zjedzeniu kurczaka od pana Kowalskiego, fakt ten stawał się okolicznością drugorzędną, przykrym incydentem, który minie, dwa dni rosółu i po sprawie.

Rozmyślenia Antoine'a zlewały się w jedno z panującą w domu posępną atmosferą, z hukiem tego wiatru, próbującego, zda się, przewrócić dom, warczącego jak wściekły motor.

Antoine postanowił zejść na dół. Zadał sobie pytanie, czy matka w ogóle się położyła, bo miała na sobie wczorajsze ubranie. Telewizor w salonie nadal grał, dźwięk był prawie całkiem ściszony.

Śniadanie, które przygotowała, codzienne naczynia na stole wyglądały tak samo jak każdego innego dnia, ale nie otworzyła okiennic, tak jakby mieli jeść w środku nocy. Przeciągi hulające po domu kołysały lampą w kuchni.

– Nie mogłam otworzyć...

Patrzyła na syna z przestraszeniem. Nie powiedziała dzień dobry, nie zapytała, jak się czuje... To, że nie potrafiła poradzić sobie z okiennicami, kompletnie ją wytrąciło z równowagi. W jej głosie słychać było prawdziwy niepokój. Na tę prognozę pogody zapowiadającą zniszczenia pożywny bulion nie pomoże...

– Może tobie się uda...

Za tą prośbą kryło się wiele innych rzeczy, które Antoine wyczuwał, choć ich nie rozumiał.

Podszedł do okna, przekręcił uchwyt, skrzydło okiennicy tak gwałtownie go pchnęło, że mało nie poleciał w tył. Napierając całym ciałem, zdołał je z powrotem zamknąć.

– Może lepiej poczekać, aż ucichnie...

Usiadł do śniadania. Wiedział, że matka nie będzie o nic pytała, tymi samymi ruchami co zawsze smarowała masłem grzanekę, w tym samym miejscu na stole stały konfitury. Antoine nie miał apetytu. Po paru minutach milczącego dialogu podsumowującego niemożność ich wzajemnego porozumienia, wstał, sprzątnął talerz i wrócił do pokoju.

PlayStation zostało z powrotem odłożone do kartonu. Wyjął je i zaczął grać, ale niepokój wciąż nie ustępował.

Kiedy usłyszał, że telewizor gra głośniejsze, zszedł kilka stopni na dół. W ciągu najbliższych godzin zapowiadano bardzo silny wiatr. Przewidywano gwałtowne wichury. Radzono, żeby nie wychodzić na dwór.

To, co działo się teraz, było zaledwie początkiem.

Potwierdzenie nadeszło niespełna godzinę później.

Okna drżały jak liście, wiatr wdzierał się wszędzie, w całym domu rozlegały się złowrogie trzaski.

Zaniepokojona pani Courtin weszła na strych, ale nie wytrzymała tam nawet pięciu minut; w gwałtownych podmuchach wichury dygotały dachówki, w kilku miejscach woda przez szczeliny dostawała się do środka, spływała po ścianach, kapała na podłogę. Pani Courtin zeszła na dół sina ze strachu.

Usłyszawszy huk, krzyknęła i aż podskoczyła... Huk dobiegł od północnej strony domu.

– Zostań – powiedział Antoine. – Pójdę zobaczyć.

Włożył kurtkę i buty. Matka powinna bodaj odruchowo próbować go powstrzymać, ale była dosłownie jak sparaliżowana, nie zdawała sobie sprawy, na jakie niebezpieczeństwo naraża się syn, otwierając drzwi. Zawołała go, lecz za późno, wyszedł już, był na zewnątrz.

Zaparkowane przy chodniku samochody niepokojąco chygotały, jak żywe. Grzmot warczał niczym gotowy do skoku brytan, nieprzerwana seria błyskawic oblewała błękitnym światłem domy; dachy niektórych zaczynały już się zsuwać.

Po drugiej stronie ulicy leżały jeden na drugim dwa słupy telegraficzne. Porwane wiatrem plandeki, wiadra, deski fruwały w powietrzu tuż przy głowie, w zasięgu rąk. W oddali słyhać było syreny wozów strażackich, ale nie wiadomo, dokąd jechały.

Wiatr był tak silny, że z powodzeniem mógł odrzucić Antoine'a na przeciwną stronę ogrodu, a nawet dalej. Musiał przytrzymać się czegoś solidnego, ale biorąc pod uwagę to, co działo się z dachami i samochodami, oczywiste było, że w tych warunkach niczego nie można uznać za solidne. Zgięty w pół, czepiając się rękami ściany, dotarł do węgła domu. Rzucił okiem na narożnik i ledwie zdążył się pochylić, kiedy wirujący w powietrzu kawałek blachy przeleciał ledwie kilka centymetrów od jego twarzy. Antoine opadł na kolana i zasłaniając się obiema rękami, pochylił głowę nisko, jak najniżej.

W ogrodzie zwałił się świerk. Świerk prawie dziesięcioletni, posadzony na Gwiazdkę, Antoine przypomniał sobie zdjęcia z rodzinnej ceremonii, wtedy jeszcze ojciec z nimi mieszkał.

Całe miasto wprawione było w nieustanny ruch, który miotał nim, wstrząsał, groził, że jeszcze chwila, a zostanie zmiecione z ziemi.

Antoine wstał i na moment stracił czujność, to zaś wystarczyło, by gwałtowny podmuch poderwał go i odrzucił metr dalej, próbował stawić opór,

ale walczył z niepokonanym żywiołem, tocząc się po ziemi, dotarł do muru ogrodu i w niego uderzył. Skulił się i schował głowę między kolanami. Nie mógł złapać tchu.

Próbował pozbierać myśli. Dotarcie z powrotem do drzwi wydało mu się rzeczą niewykonalną.

Fasada domu Desmedtów przypomniła mu o drugiej wyprawie, która miała wyruszyć tego ranka. O tej porze wszyscy powinni być już w drodze do Saint-Eustache, ale oczywiście na dworze nikogo nie było, nie daliby rady dotrzeć nawet do rogu ulicy.

Doczołgał się do płotu oddzielającego posesje Courtinów i Desmedtów, zaryzykował i zerknął na ich ogród. Zerwana huśtawka leżała na ziemi. Całą resztę zmiotło i odrzuciło pod niski murek ogrodzenia. Włącznie z torbami na śmieci. Ta ze zwłokami psa była rozdarta i do połowy wystawało z niej ciało Ulissesa, włochate, ciemne i wybebeszone. Zdjęty grozą odwrócił się w stronę swojego domu. Zainstalowany na winklu talerz anteny niebezpiecznie się kołysał.

Gdyby nie matka i jej niepokój, że syn nie wraca, Antoine zostałby tu, pod tym murkiem, i obserwował, jak jego dom rozpada się na kawałki.

W końcu położył się na ziemi, by dać jak najmniejszy opór wiatrowi, i zaczął się czołgać. Przebycie ogrodu w tej pozycji zajęło mu ponad kwadrans. Udało mu się okrążyć dom i wejść do środka przez małe tylne drzwi, nieco lepiej osłonięte. Dotarł do nich ostatkiem sił.

Matka podbiegła, przytuliła go. Była zdyszana, jakby to ona wyszła, jakby to ona musiała zmagać się z wichurą.

– Mój Boże! Jak mogłam ci pozwolić w taką pogodę wyjść na dwór...

Nie sposób było przewidzieć, kiedy ten kataklizm się skończy. Deszcz już całkiem ustał. Burza również się oddaliła. Został tylko wiatr, z kwadrans na kwadrans przybierający na sile i szybkości.

Przy zamkniętych oknach i okiennicach czuli się jak ślepcy, jak osaczeni, mogli tylko słuchać, jak cały dom trzeszczy niczym statek podczas sztormu. Talerz anteny prawdopodobnie zerwało, bo koło jedenastej telewizor stracił sygnał. Godzinę później z kolei wysiadła elektryczność. Telefon również nie działał.

Pani Courtin siedziała w kuchni, ściskając w dłoniach kubek z zimną kawą. Antoine w opiekuńczym odruchu, nie chcąc zostawiać jej samej, podszedł

i usiadł obok. Nie rozmawiali. Matka miała minę tak nieszczęśliwą, że najchętniej nakryłby dłonią jej dłoń, lecz powstrzymał się, bo nie wiedział, jakie, w tych okolicznościach, otworzy takim gestem drzwi...

W okiennicy w stołowym był prześwit, przez który można było wyjrzeć na ulicę. To, co zobaczył, przeraziło go. Dwa samochody, które jeszcze przed chwilą tam stały, zniknęły, ponad dwumetrowe drzewo z szaloną szybkością runęło w poprzek ulicy, uderzając po drodze w mury i bramy wjazdowe ogrodzeń...

Apogeum burzy trwało blisko trzy godziny.

Koło szesnastej wrócił spokój.

Nikt już nie wierzył, że to nastąpi.

Ostrożnie zaczęły otwierać się drzwi kolejnych domów.

Mieszkańcy Beauval zaniemówili ze zdumienia, ujrzawszy rozmiar zniszczeń, jakie spowodował huragan, który niemieccy meteorologowie nazwali Lotharem.

Ale bardzo szybko musieli wrócić do domów.

Deszcz, który chwilowo ustąpił miejsca wichurze, pojawił się teraz, by dochodzić swych praw współtwórcy kataklizmu.

Spadł na Beauval z przerażającą gwałtownością i tak ulewny, że w kilka minut całe niebo pociemniało. Wiatr całkowicie ustał, trąby wodne pionowo pikowały w dół. Zalane ulice zamieniły się w rwące potoki, a potem w rzeki, unoszące swoim nurtem wszystko, co wcześniej porwała wichura – kubły na śmieci, skrzynki pocztowe, ubrania, skrzynie, deski, widziano nawet małego białego psiaka próbującego utrzymać się na powierzchni wody, jego zwłoki znaleziono nazajutrz roztrzaskane o mur. Samochody, które parę godzin wcześniej porwała wichura, wirując, odbywały teraz drogę w przeciwnym kierunku.

Antoine usłyszał w piwnicy huk, otworzył drzwi, próbował zapalić światło, ale elektryczności wciąż nie było.

– Nie schodź, Antoine – zawołała matka.

Ale on zdjął już zawieszoną na ścianie latarkę i zszedł kilka stopni w dół. Na widok tego, co zobaczył, kompletnie go zatkało: wody było na ponad metr, wszystko, co nie zostało umocowane, pływało – sprzęt kempingowy, kartony z ubraniami, walizki...

Pospiesznie zamknął z powrotem drzwi.

– Będziemy musieli iść na górę – oznajmił.

Trzeba się szybko zorganizować, bo jeśli woda zaleje parter, co za chwilę nastąpi, to nie wiadomo, kiedy będą mogli z powrotem zejść. W czasie, kiedy strugi wody waliły w drzwi, jakby próbowały przemocą dostać się do środka, pani Courtin w pośpiechu gromadziła i kładła na schodach artykuły żywnościowe, a także wszystko, co uważała za cenne, swoją torebkę, albumy ze zdjęciami, karton po butach z urzędowymi dokumentami, roślinę w doniczce (dlaczego akurat roślinę, nie wiadomo), szydełkową poduszkę, którą miała po matce – jakby szykowałą się na exodus. Antoine obszedł cały dom, wyłączając wszystkie urządzenia elektryczne z kontaktów. Wody przybywało w zawrotnym tempie. Najpierw przedostała się przez drzwi do piwnicy, potem wypłynęła na podłogę i w końcu zalała wszystkie pomieszczenia parteru. Przez ten czas,

kiedy zanosili cały dobytek na piętro, przybyło jej dwa, trzy centymetry, nie wiadomo, co mogłoby powstrzymać dalsze jej wzbieranie.

Antoine siedział na schodach. Poziom wody sięgał już do pierwszego stopnia i wciąż się podnosił. Na jej powierzchni, miękko się kołysząc, pływały poduszki z kanapy, programy telewizyjne, zeszyty z krzyżówkami, puste pudełka, plastikowa miotła z kuchni...

Sytuacja zaczęła go już niepokoić. Schronią się na piętrze, ale czy to wystarczy? Przypomniały mu się reportaże o powodziach, w czasie których woda sięgała aż po dachy. Siedzieli na nich ludzie, uczepleni kominów. Czy ich też to czeka?

Burza powróciła do miasta, nad ich głowami wyraźnie, jakby w pokoju, huknął grzmot, błyskawice prądkowały okna białym oślepiającym światłem. Deszcz nie ustawał, wody wciąż przybывało.

Antoine postanowił dołączyć do matki. Teraz, kiedy ucichł wiatr, pani Courtin obesza całe piętro i we wszystkich pomieszczeniach pootwierala okiennice.

A wtedy ich oczom ukazał się nowy pejzaż ich zakątka miasta. Tafla wody wysokości trzydziestu centymetrów pokrywała wszystko, podwórka, ogrody, chodniki, a teraz, beżowa, skłębiona, wartkim nurtem nagle uwolnionej rzeki docierała już do dróg szybkiego ruchu. Burza rozbebeszyła dachy, uniosła z wiatrem liczne dachówki.

W jakim stanie był ich własny dach? Antoine uniósł głowę: sufit zmienił kolor, był ciemniejszy, gdzieniegdzie zaczęły się na nim perlic krople wody. A jeśli w końcu cały dom się na nich zwali? Ale nie było możliwości, żeby go opuścić; za oknem ujrzał niesioną nurtem furgonetkę z minimarketu, tuż za nią drugą, tak jakby nagle puściła jakaś tama, nic już nie stanowiło żadnej zapory przed niczym, teraz z kolei przepłynął peugeot Mouchotte'ów, kręcąc się powoli jak wielki bąk, uderzając po drodze to o mur, to dalej o znak drogowy, który pod wpływem uderzenia zgął się wpół. Kilka minut później zobaczył, jak coraz bardziej rwący potok wody spławia samochód merostwa, który obrócił się dookoła własnej osi, a w ślad za nim bramę ratusza.

Pani Courtin się rozplakała. Bez wątpienia, podobnie jak Antoine, bała się, ale przede wszystkim plakała nad tym, co od zawsze znała i co teraz na jej oczach z zatrważającą szybkością znikało. Każdy odbierał to nieszczęście jako cios wymierzony w niego osobiście.

Antoine, nie mogąc się powstrzymać, objął ramieniem matkę, ale nic to nie dało. Pani Courtin była duchem nieobecna, zaskoczona i wstrząśnięta widokiem spływających ulicami rwących potoków, niszczących i burzących wszystko, nieoszczędzających niczego. Antoine przeżył szok, kiedy przed jego oczami przedefilowała zdumiewająca flotylla mebli z parteru szkoły, jakby jednym ruchem wrzuconych do wody. Powódź coraz bardziej zbliżała się do jego życia, wdzierając się w nie.

Nagle pomyślał o Rémin.

Wody będzie wciąż przybywało, podniesie się aż po szczyt wzgórza i lasu Saint-Eustache i wyrzuci Rémiego, uwolnione ciało zacznie się unosić na wodzie, wypłynie z ukrycia. Za kilka minut całe miasto ujrzy przepływające zwłoki małego Rémiego, jak duch krążące po ulicach, leżące na plecach z szeroko rozrzuconymi ramionami, z otwartymi ustami, znajdą go kilometry stąd...

Był jednak zbyt wykończony, żeby w ślad za matką również się rozpłakać.

Spędzili tak kilka długich godzin. Antoine co jakiś czas sprawdzał, jak wysoko podniosła się woda na parterze. Na razie sięgała już prawie blatu stołu w jadalni.

Potem burza powoli zaczęła się oddalać.

Koło piętnastej w Beauval nadal padał ulewny deszcz, ale niemający już nic wspólnego z wcześniejszym oberwaniem chmury. Antoine i matka nie mogli zejść na dół, cały parter był zalany na ponad metr. Z sufitów wszędzie skapywały krople wody, wszystkie łóżka były mokre, nie było gdzie schronić się przed wilgocią. Zaczynało robić się zimno. Zamknięci we własnym domu, bez elektryczności, bez telefonu, byli rozbitkami czekającymi na pomoc.

Nad Beauval przeleciał z misją rozpoznawczą helikopter Straży Obywatelskiej, ale tylko raz. Miasto było pozostawione samo sobie. Nikt nie mógł wyjść z domu, dopóki poziom wody nie opadnie.

Nad tym pejzażem zniszczenia – pani Courtin i jej syn widzieli ze swoich okien tylko jego fragment – zapadła noc.

Choć na ulicach z braku oświetlenia niewiele było widać, koło godziny dwudziestej można było odnieść wrażenie, że woda opada. Spływający ulicą potok znacznie się uspokoił. Wody na parterze też powoli zaczęło ubywać; jej poziom wyraźnie się obniżał. Ale w powietrzu nadal utrzymywał się dziwny

nastrój apokalipsy, ponieważ wiatr, wcześniej ustąpiwszy miejsca burzy i ulewie, wyraźnie zapragnął mieć ostatnie słowo w tej historii.

W miarę jak wody ubywało, wiatr coraz bardziej przybierał na sile. Domy znów zaczynały dygotać w posadach, drzwi trzeszczały jak pod naporem ogromnych rąk.

Wycie wiatru narastało, podobnie jak furkot w kominkach, łomotanie okien i drzwi...

Antoine z matką ledwie zdążyli pozamykać z powrotem wszystkie okiennice na piętrze.

Rozpętał się drugi huragan.

W kilka godzin po Lotharze nadszedł następny, nazwany Martinem.

Z nich dwóch Martin był gwałtowniejszy, bardziej niszczycielski.

Dachy, dotąd tylko uszkodzone, całkowicie zerwało, unieruchomione w potokach wody samochody, pod naporem wiatru chwilami dochodzącego do dwustu kilometrów na godzinę, znów zaczęły chaotycznie dryfować...

Pani Courtin, wtulając głowę w ramiona, siedziała na podłodze w kącie swojego pokoju.

Wyglądała na tak bezgranicznie kruchą, że Antoine był wstrząśnięty. Po raz kolejny utwierdził się w przekonaniu, że nie mógłby jej nigdy sprawić przykrości.

Usiadł obok i przytulił się do niej.

Spędzili tak całą noc.

O świcie miasto obudziło się i przeżyło szok. Kolejno otwierały się drzwi domów, kolejni mieszkańcy wysuwali głowy, a potem ze zgrozą i niedowierzaniem wychodzili na dwór.

Ledwie żywa ze zmęczenia pani Courtin również zapoznała się z rozmiarem zniszczeń. Cały parter pokrywała warstwa błota. Meble były mokre, ślad po wodzie biegł w linii prostej powyżej metra od podłogi, w całym domu cuchnęło szlamem – co robić? Bez światła, bez telefonu... Zapanował spokój, rodzaj zawieszenia w czasie, w powietrzu wyczuwało się coś nieuchwytnego, skłaniającego do uznania, że już koniec. Podobnie jak inni, pani Courtin również to wyczuła. Powoli wstała. Odkasznęła, ruszyła pewniejszym już krokiem. Wyszła na dwór, zobaczyła przewrócony świerk, przeszła kilka kroków, odwróciła się i spojrzała na dach. A wtedy kazała Antoine'owi iść do ratusza i dowiedzieć się, czy mogą przysłać pomoc.

Antoine włożył płaszcz, buty i przeszedł przez zalany wodą ogród. Wprawdzie nie taki komentarz nasunął mu się na myśl jako pierwszy, ale jak się nad tym zastanowić, on i matka należeli do szczęśliwców, ich dach jakimś cudem ocalał, wiele dachówek obluzowało się, wiele innych spadło i rozbiło się, ale zniszczenia były stosunkowo niewielkie.

Desmedtowie mieli mniej szczęścia. Zmieciony wichurą komin zawalił się, przebił dach i runął przez cały dom, aż po piwnicę, po drodze unosząc cały węzeł sanitarny i połowę kuchni.

Bernadette w szlafroku, na który narzuciła zbyt obszerną kurtkę, stała na dworze i patrzyła w górę. Komin, przebijając się przez dom, porwał łóżko z pokoju Rémięgo. Strach było pomyśleć, że jej synek mógł w nim leżeć, że sufit mógł się na niego zawalić... Natychmiast by zginął. Przygwożdżona bezmiarem tragedii, które od dwóch dni na nią spadały, zdawała się niczego już nie odczuwać. Jej drobna zziębnięta postać przypominała wrak.

W oknie pokoju Rémięgo pojawił się pan Desmedt, również z oszołomioną miną, tak jakby przyszedł po syna i go nie znalazł.

Następnie po kilku schodach ganku zeszła Valentine i dołączyła do matki w ogrodzie. Była ubrana tak samo jak wczoraj, ale jej czerwone spodnie i kusa kurtka z białego skaju były tak brudne, jakby się przez całą noc z kimś szamotała. Rozczochrana i blada, narzuciła na ramiona szkocki szal, pewnie należący do matki, jej twarz znaczyły ciemne smugi rozmazanego makijażu. Antoine nie wiedział, skąd u niego to skojarzenie, ale w tej apokaliptycznej scenerii wczorajsza seksowna arogancka nastolatka sprawiała wrażenie młodej prostytutki, która wylądowała na ulicy.

W sąsiednim domu, należącym do Mouchotte'ów, wyrwało okiennice, spadła markiza, a cały ogród był usłany odłamkami szkła wielkimi jak talerze, wymieszanymi z mnóstwem potłuczonych dachówek.

Antoine dojrzał w oknie zmęczoną twarz Émilie i krótkim gestem uniósł rękę, ale nie zareagowała. Wpatrywała się w jakiś punkt na ulicy. W tym obramowaniu okna, nieruchoma, z twarzą bez wyrazu przywodziła na myśl staroświecki portret małej dziewczynki.

Jej rodzice już się krzęali. Pan Mouchotte krótkimi automatycznymi ruchami wrzucał do plastikowych worków wszystko, co wiatr rozrzucił po jego ogrodzie. Jego żona, którą Antoine uważał zawsze za prawdziwą piękność, ciągnęła Émilie za rękaw, tak jakby wyglądanie na ulicę było czymś niestosownym.

Idąc w stronę centrum, odkrywał scenerię zbombardowanego miasta.

Ani jeden samochód nie został na miejscu. Porwane wichurą, podryfowały aż do rogatek Beauval, a napotkawszy po drodze przęsła mostu kolejowego, przerzuconego nad szosą, powpadały jedne na drugie, tworząc górę złomu. Pojazdy lżejszej wagi – motocykle, skutery i rowery – rozrzuciło wszędzie, znajdowano je w piwnicach, pod samochodami, w ogrodach, w rzece, wszędzie. Wiele witryn było rozbitych, wiatr wdarł się do sklepów, rozsiewając po całym mieście ociekające wodą artykuły apteczne, metalowe narzędzia, prezenty ze sklepu pani Lemercier. Właściciele domów, którzy stracili jedynie kilka tuzinów dachówek, mogli się uważać za szczęśliwych, jako że inni nie mieli już dachu nad głową.

Żuraw z pobliskiego placu budowy zwałił się na publiczną pralnię, po której z piętnastowiecznej konstrukcji dachowej pozostało tylko wspomnienie. W ogrodach i na zwirowanych podjazdach zniszczonych domów znajdowano a to niemowlęcą kołyskę, a to lalkę lub ślubny wianek, różne drobne przedmioty, które Bóg, jak się zdawało, taktownie tam podrzucił, by pokazać,

że przy Nim wszystko należy traktować z przymrużeniem oka. Kiedy młody ksiądz (bez wątpienia bardzo zajęty tłumaczeniem swoim owieczkom w całym departamencie, że to, co ich spotkało, tak naprawdę jest czymś pięknym i dobrym – ten to miał pełne ręce roboty...) wróci do Beauval, będzie mógł stwierdzić, że Bóg jest istotą niezwykle wrażliwą, ale również wielkim figlarzem: kościół, nie licząc rozety, w zasadzie nie ucierpiał, wszystkie witraże były potłuczone z wyjątkiem jednego, tego, który przedstawiał świętego Mikołaja, powszechnie uważanego za patrona uchodźców.

Na placu przed merostwem wyrwany z korzeniami platan runął w poprzek głównej ulicy, miażdżąc furgonetkę i dzieląc miasto na dwie części, obie jednakowo spustoszone. Przyczepa mieszkalna, porwana nurtem rwącego potoku z miejskiego kempingu, roztrzaskała się o mur ratusza, wyrzucając na chodnik beładną zbieraninę plastikowych sztućców, materaców, drzwi szafek, lampek nocnych, poduszek, żywności...

W merostwie Antoine zastał tuzin osób, podobnie jak on przybyłych szukać pomocy. Każdy, wyliczając poniesione straty, zdawał się być najbardziej poszkodowany w mieście: jedni mieli małe dzieci, inni musieli przygarnąć starych rodziców, jeszcze inni tłumaczyli, że ich dom grozi zawaleniem. I wszyscy mówili prawdę.

Pan Weiser z zaaferowaną miną, z papierami w ręku, wyszedł ze swojego gabinetu, a za nim Théo. Stanąwszy przed niewielką grupą ludzi zgromadzonych na dziedzińcu merostwa, próbował wyjaśniać rzeczy, których nikt nie chciał słuchać. Strażacy byli z pewnością zawaleni pracą, a zresztą i tak nie można było ich wezwać, bo nie działał telefon. Prefektura wspólnie z EDF[1] bez wątpienia przygotowały już plan działania, by przywrócić dostawę prądu, tylko nie wiadomo jeszcze, czy to kwestia kilku godzin, czy kilku dni... Ludzie podnieśli głośny krzyk.

– Musimy zorganizować się we własnym zakresie – wołał mer, wymachując papierami. – Najpierw trzeba sporządzić wykaz potrzeb. W sali rady miejskiej zostaną zebrane podania, co pozwoli ustalić priorytety.

Uciekając się do słownictwa administracyjnego, chciał ludziom pokazać, jaki jest kompetentny i zdeterminowany:

– Hala gimnastyczna nie bardzo ucierpiała. Obecnie sprawą najpilniejszą jest udostępnienie jej wszystkim osobom, które straciły dach nad głową, wydanie zupy, dostarczenie koców...

Pośród ogólnego chaosu oczywiste prawdy, które zdecydowanym głosem wygłaszał pan Weiser, nabierały krzepiącej postaci powoli konkretyzujących się zadań.

– Celem przywrócenia ruchu w granicach miasta, należy usunąć zwalony platan – ciągnął. – A do tego potrzeba nam będzie rąk... wielu rąk. Niech ci, których szkody mogą poczekać, pomogą tym, którzy najbardziej ucierpieli.

Zjawiała się pani Kernevel, bardzo poruszona.

– Mecenias Vallenères leży u siebie w ogrodzie! – obwieściła. – Nie żyje, drzewo go zabiło.

– Jest pani... pewna?

Jakby szkód materialnych było jeszcze nie dość, oto proszę, są też zabici.

– No jasne! Trąciłam go, ale się nie rusza, już nie oddycha...

To Antoine'owi po raz kolejny przypomniało o śmierci Rémięgo.

– Trzeba po niego pójść – zarządził mer. – Natychmiast... I wnieść go do domu.

Przerwał. Pewnie zastanawiał się, jakie kroki będzie musiał podjąć, jeśli pomoc się spóźni. Co powinno się zrobić z nieboszczykiem? Albo z kilkoma? Gdzie ich złożyć?

– Kto pójdzie zająć się jego córką? – spytał ktoś.

Pan Weiser przejechał ręką po włosach.

Tymczasem przybyły nowe osoby, w tym dwóch radnych miejskich, którzy stanęli za merem. Odezwały się głosy; jedni oferowali schronienie, inni wiedzieli, skąd wziąć koce, ktoś zgłosił się na ochotnika do sali gimnastycznej. Do głosu dochodziły pierwsze nieśmiałe odruchy solidarności; pan Weiser ogłosił, że za godzinę w sali konferencyjnej ratusza odbędzie się zebranie, wszyscy będą mogli wziąć w nim udział, wtedy się postanowi...

Za plecami zebranych rozległ się głośny krzyk.

Ludzie się odwrócili.

– A co z moim synem! – wrzeszczał pan Desmedt. – Kto nam pomoże go szukać?

Stanął kilka metrów dalej z opuszczonymi ramionami, z zaciśniętymi pięściami... Uderzające było to, że w jego krzyku nie było wściekłości, jakiej można by się po nim spodziewać. Wyrażał jedynie najczystszą rozpacz.

– A co z dzisiejszą wyprawą?

Głos miał już mniej donośny, takim tonem mógłby zadać pytanie zabłąkany człowiek pytający o drogę.

Wszyscy obecni wzięli udział we wczorajszych poszukiwaniach i nikogo nie można było posądzić o brak zainteresowania położeniem pana Desmedta, ale między tym, czego się domagał, a rzeczywistością, którą wszyscy mieli przed oczami, była taka przepaść, że nikt nie miał odwagi wdawać się w niezbędne wyjaśnienia.

Pan Weiser, którego obowiązkiem było ich udzielić, odkaszlnął, ale nagle przerwał mu czyjś wyraźny i zdecydowany głos:

– Nie dociera do ciebie, jaka jest sytuacja, Roger?

Wszyscy się odwrócili.

Pan Mouchotte stał z założonymi rękami w postawie osoby udzielającej pouczeń. Ojciec Émilie był człowiekiem nieustannie strojącym się w szaty moralności. Przed zwolnieniem był niemiłym, pedantycznym majstrem, któremu obce były pokusy okazania komuś wielkoduszności czy wyrozumiałości. Stał teraz twarzą w twarz z panem Desmedtem, swoim osobistym wrogiem, ledwie kilka metrów od niego. Wszyscy nadal pamiętali głośny policzek, jaki wymierzył mu ojciec Rémię w czasach, kiedy razem pracowali; pan Mouchotte cofnął się wtedy i usiadł na skrzyni z wiórami, wokół rozległy się śmiechy, dodając do jego upokorzenia ośmieszenie. Pan Weiser zawiesił winnego na dwa dni, ale odmówił zwolnienia go. Pewnie tak jak inni uznał ten, bardziej pocieszny niż faktycznie groźny, incydent za sprawiedliwą kolej rzeczy.

– Wszelka łączność została zerwana – ciągnął pan Mouchotte. – Miasto jest dotknięte klęską żywiołową, całe rodziny wylądowały na ulicy, a tobie się wydaje, że masz prawo domagać się pierwszeństwa?

To, co mówił, było prawdziwe, okropnie niesprawiedliwe oraz podyktowane żądzą zemsty tak niską, że ręce opadały. Nawet Antoine miał ochotę mu odpowiedzieć.

W zwykłych okolicznościach pan Desmedt rzuciłby się na Mouchotte'a i trzeba by ich rozdzielać. Teraz było to jednak zbędne, gdyż pan Desmedt nawet się nie ruszył. Spodziewał się takiej odpowiedzi, a to, że przybrała tak haniebną formę, niczego nie zmieniało.

– Spokojnie, spokojnie – zainterweniował niemrawo mer, ale nie wiedział, co dalej powiedzieć.

Przejmująca była nie tylko niemożność udzielenia pomocy panu Desmedtowi, ale również to, że zniknięcie jego synka, jakkolwiek tragiczne, zeszło teraz na drugi plan i odsunięte przez nieszczęścia, które dotknęły każdego z nich, nigdy już nie stanie się z powrotem wspólną sprawą.

Nie sposób było kontynuować poszukiwań tego dziecka, pogodzono się z jego zaginięciem.

Jeśli się zgubił i w ciągu tych ostatnich godzin był jeszcze żywy, to teraz już nie żyje.

Pozostawała tylko nadzieja, że został porwany...

Cisza, która teraz zapadła, dawała panu Desmedtowi przedsmak samotności, jaka go odtąd czeka.

Pan Mouchotte, zadowolony, że odniósł zwycięstwo, choć tak niehonorowe, podszedł do mera i zaoferował swoje usługi, gdyby mógł tu czy tam w czymś pomóc...

Po powrocie do domu Antoine próbował znaleźć jakieś narzędzia pozwalające uprzątnąć wnętrze, latarkę kieszonkową lub baterie elektryczne, nie miał przy sobie pieniędzy, w takim dniu na pewno dadzą mu na kredyt, ale pogięte żaluzje sklepu żelaznego były jeszcze opuszczone. Wtedy wpadł na pomysł, żeby pójść do kościoła po świece.

Wchodząc, minął się z panią Antonetti, która dźwigając ciężką torbę, popatrzyła na niego z wymownym szyderstwem.

W lichtarzach nie została się ani jedna świeca.

Te dwa kolejne huragany, ta burza, te ulewne deszcze wywołały taki szok, że w umyśle Antoine'a wszystkie wcześniejsze zdarzenia zeszły na dalszy plan. Kilka godzin temu wyobrażał sobie z trwogą ciało Rémięgo wyrzucone z lasu w Saint-Eustache, niesione nurtem wody i dryfujące przez miasto, widział je, leżało na plecach jak śnięta ryba na grzbiecie, przepływało przed jego domem, przed domem swoich rodziców... Ale sprawy potoczyły się inaczej. Ostatnie wydarzenia, jakkolwiek dramatyczne, przyniosły Antoine'owi nieoczekiwane wytchnienie. Ciało zostanie prawdopodobnie znalezione kilometry od Beauval, nawałnica z pewnością zniszczyła wiele śladów...

Albo też rozgrywka uległa tylko odroczeniu i za kilka dni zostaną podjęte dalsze poszukiwania. Jeśli nawet ciało Rémięgo pozostało na miejscu, to nie było aż tak dobrze ukryte, żeby druga obława mogła je przeoczyć.

Losem Antoine'a rządziła obecnie jedna wielka niewiadoma.

Pani Courtin w chustce na głowie, uzbrojona w szczotkę i ścierki, zabrała się już do sprzątania domu, syzyfowa praca... Antoine zrelacjonował jej podjęte przez merostwo kroki, w niewielkim stopniu zmieniające ich położenie.

– Zostawiają nas bez pomocy! – narzekała.

– Pan Vallenères nie żyje...

– Oo! Jak to?

Wyżymając ścierkę nad wiadrem, zastygła w pół gestu.

– Podobno przywaliło go drzewo...

Pani Courtin podjęła pracę, ale jej ruchy stały się powolniejsze. Należała do tych osób, u których namysł często bierze górę nad innymi działaniami.

– I co teraz będzie z tą jego małą?

Na myśl o tym Antoine poczuł wzruszenie. Kto teraz będzie w niedzielę pchał wózek z tą wychudzoną dziewczynką środkiem kościelnej nawy? Kto będzie latem woził ją po centrum, przystawał przed wystawami sklepów, do których ona nigdy nie wejdzie, kto jej kupi lody, które ona z powagą zje, siedząc pośród innych klientów na tarasie Café de Paris?

W Beauval ewolucje przebiegały powoli, zmiany dokonywały się stopniowo. Szybkość i gwałtowność, z jaką w ciągu tych ostatnich dni następowały wydarzenia, zaskoczyły miasteczko, sytuacja szybko się zmieniała, zbyt szybko.

Antoine znów przypomniał sobie pana Weisera, którego, podobnie jak wszyscy miejscowi, nie lubił. Ale pomyślał o jego staraniach, by zmobilizować ludzi do działania. W obecnej sytuacji mer wykazał wielką energię, bez reszty skupioną na sprawach zbiorowości, mimo że – jak się później tego dnia dowiedziano – dach jego fabryki został zerwany i należało podjąć pilne kroki, żeby zabezpieczyć maszyny, osłonić zapasy drewna, uratować to, co było jeszcze do uratowania i byłoby całkiem zrozumiałe, gdyby jak większość pozostałych, zatroszczył się w pierwszej kolejności o siebie.

Ponieważ ich własny dom jeszcze stał i mieli dach nad głową, Antoine pomyślał, że może powinni pomóc innym, na przykład Desmedtom.

– Myślisz, że nie mam nic innego do roboty?

Odpowiedź matki była szokująco spontaniczna.

Wczesnym popołudniem platan w centrum miasteczka na oczach milczących widzów został usunięty. Zastanawiano się, ile może mieć lat, był starszy niż najdawniejsze wspomnienia mieszkańców. Teraz plac był kompletnie goły.

Na drogach wokół Beauval zwały się wiele drzew, uniemożliwiając dojazd służb technicznych. Przez dwa następne dni komunikacja była bardzo utrudniona.

W końcu przywrócono elektryczność, potem włączono telefony.

Dom Courtinów cuchnął szlamem, wszystkie meble były do wymiany, ludzie zaczęli już wypełniać papiery ubezpieczeniowe, formularze obiecujące szybką pomoc, na którą w rzeczywistości trzeba było długo czekać i która w większości wypadków nigdy nie nadeszła. Blanche Courtin uwijała się jak mrówka, milcząca i skupiona, byle drobiazg wyprowadzał ją z równowagi, była gwałtowna i zapalczywa zarówno w gestach, jak w reakcjach.

Antoine w towarzystwie Théo, Kevina i kilku innych udzielał się w różnych pracach na rzecz społeczności. Przejście tych dwóch huraganów sprawiło, że nieporozumienia między Antoine'em i Théo poszły w niepamięć, wszyscy uczniowie gimnazjum prześcigali się w uczynności, spiesząc z pomocą poszkodowanym rodzinom, niekiedy zaniedbując własne, i ogólnie sprawiali wrażenie zastępu skautów.

W końcu Antoine, nie mogąc dłużej wytrzymać, wymknął się i poszedł do lasu w Saint-Eustache.

W lesie komunalnym wichura zwała setki drzew. W miejscach, gdzie wdarł się huragan, leżały na ziemi, tworząc szerokie, biegnące w idealnie prostej linii korytarze.

Sceneria w Saint-Eustache była jeszcze bardziej spektakularna. Po prostu nie dało się tam wejść, las został dosłownie skoszony, wszystko leżało pokotem na ziemi... Nieliczne drzewa, te, które dziwnym i niepojętym trafem ocalały, wyglądały jak bocianie gniazda umieszczone pośród apokaliptycznego krajobrazu.

Antoine wrócił do domu zamyślony.

Pani Courtin wyciągnęła ze strychu stary tranzystor i włożyła do niego baterie wyjęte z różnych sprzętów domowych. Pochylała teraz głowę w kierunku małego trzeszczącego odbiornika – obrazek jak z czasów okupacji...

– Cicho, Antoine, pozwól mi słuchać!

Kapitan żandarmerii zapewniał, że śledztwo w sprawie zniknięcia Rémiego Desmedta „będzie kontynuowane”, ale okolice Beauval są do tego stopnia zdewastowane, że przeprowadzenie nowych poszukiwań jest chwilowo niemożliwe. Żandarmeria, gotowa do działania... itd.

Skutki nawałnicy w ich kantonie były głównym tematem „Wieczornych faktów”.

Pytany przez dziennikarza pan Weiser wyjaśniał, że stara się usilnie przekonać firmy do uprzątnięcia setek hektarów drzew leżących pokotem na ziemi, a będących własnością komunalną, tak by drewno nie zostało zmarnowane.

Natomiast jeśli chodzi o las w Saint-Eustache, przedmiot niekończących się sporów między nazbyt licznymi spadkobiercami – nie mówiąc o tych, których nie zdołano odnaleźć – a przy tym nieprzedstawiający żadnej wartości handlowej, to zostanie w takim stanie, w jakim jest.

Antoine poszedł do swojego pokoju. Rémi nie żyje, zniknął.

To już koniec.

Rémi Desmedt stał się wspomnieniem, i to na długo. Kiedy któregoś dnia w dalekiej przyszłości las zostanie w końcu zwrócony właścicielom, po

szczątkach martwego dziecka niewiele pozostanie.

Zresztą Antoine będzie już daleko.

Gdyż od tej chwili myśli tylko o jednym: wyjechać z Beauval.

I nigdy więcej nie wrócić.

2011

Mijające lata nie miały żadnego wpływu na zasady pani Courtin. Antoine bardzo wcześnie przekonał się, że walka z nimi jest równie męcząca, co bezowocna. Dlatego, zgoda, pójdzie na przyjęcie do pana Lemercier, zjawi się koło dziewiętnastej, obiecuje. Jedyne, co uzyskał, to że nie zostanie zbyt długo: nauka do egzaminów stanowiła zawsze dla jego matki niepodważalne alibi.

Czekając na telefon od Laury, postanowił się trochę przejść. Bez niej szybko się nudził, tęsknił za nią, za jej delikatnymi, giętkimi ramionami, za jej czułym oddechem. Chciał się z nią jak najszybciej spotkać... i marzył o seksie z nią. Laura była młodą ciemnowłosą kobietą, niezwykle inspirującą, bez zahamowań, pożądanie i orgazm były dla niej równie ważne, jak powietrze i jedzenie. Inteligentna, nieco zwariowana, potrafiła rzucać się bez reszty w różne ekscytujące układy, ale posiadała też silne poczucie wewnętrznej równowagi, co pozwalało jej na pierwszy sygnał ostrzegawczy wycofać się z niebezpiecznej sytuacji. Ta dziewczyna, która zapowiadała się na świetną lekarkę, potrafiła też z rzadko spotykaną werwą wciągać Antoine'a w różne ryzykowne przygody – życie z nią było ciągłym fajerwerkiem, nieustanną obietnicą – w które zanurzał się z pasją i poczuciem szczęścia. Laura była jasną stroną jego egzystencji. Niekiedy lubił chwile, kiedy się rozstawali, takie smutne i tak obiecujące, a niekiedy, tak jak dzisiaj, to oddalenie mu ciążyło, czuł się straszliwie samotny. Związek z Laurą był od pierwszej chwili wybuchowy, na obraz i podobieństwo jej samej, młodej kobiety, dla której miłosne relacje mogły być tylko namiętne, krótkotrwałe i bez problemu zrywane... A tymczasem między nimi trwało to i trwało, to już trzy lata, odkąd są razem. Odnaleźli się we wspólnym pragnieniu życia bez dziecka, rzecz rzadka u młodej kobiety, a bardzo odpowiadająca Antoine'owi: nie wyobrażał sobie uniesienia tego ciężaru, tej odpowiedzialności za życie dziecka, to nie wchodziło w grę, na samą myśl o tym wpadał w panikę. A potem Antoine, który nieustannie marzył, by jak najdalej wyjechać, wspomniawszy, że po skończeniu studiów chciałby zaangażować się w działalność humanitarną, o czym Laura również myślała... Ich związek, którego osią była bujna swoboda seksualna, ten wspólny projekt jeszcze bardziej scementował. Któregoś dnia Laura

powiedziała: „Z punktu widzenia administracji organizacji humanitarnej praktyczniej byłoby się pobrać...”, zdanie rzucone od niechcienia, takim tonem, jakby dodawała jakąś pozycję do listy zakupów, które jednak dało Antoine’owi do myślenia i powoli zaczęło torować sobie drogę w jego umyśle.

Obecnie perspektywa poślubienia Laury sprawiała mu przyjemność, ta myśl, że na swój sposób poprosiła go o rękę, trochę go pogodziła z samym sobą.

Potrzebne mu były baterie do myszy laptopa. Ruszył więc do miasta.

Wychodząc z domu matki, nie mógł się powstrzymać, by nie rzucić okiem na ogród przy dawnym domu Desmedtów. W odnowionym, wzniesionym prawie od podstaw budynku, mieszkało teraz małżeństwo czterdziestolatków z dwiema córkami bliźniaczkami. Pani Courtin utrzymywała z nimi kontakty przyjazne, acz na dystans, bo nie byli ludźmi tak naprawdę stąd.

Po huraganie Desmedtowie otrzymali mieszkanie socjalne w dzielnicy na obrzeżach Beauval, w Abbesses. Dziwnym trafem pana Desmedta nie objęła fala zwolnień na początku 2000 roku, wymuszona stanem fabryki pana Weisera. Plotka głosiła, że zatrzymano go z litości dla jego sytuacji osobistej. Pan Mouchotte rozpuścił wtedy sporo brzydkich plotek na ten temat, które samoistnie ucichły, kiedy kilka miesięcy później pan Desmedt dostał udaru i umarł podczas snu we własnym łóżku.

Pani Desmedt bardzo się postarzała, zniszczona twarz, znużony krok. Antoine czasami ją spotykał, utyla i poruszała się ociężale, jakby przez całe życie nic, tylko sprzątała.

Matka Antoine’a już się z nią nie przyjaźniła. Zachowywała się wręcz tak, jakby się poróżniły, jakby stanął między nimi jakiś tajemniczy, niemożliwy do przewyciężenia incydent. Odkąd Bernadette przeniosła się do Abbesses nie miały już okazji się spotykać, czasami tylko w sklepach, ale wtedy było jedynie dzień dobry, do widzenia. Wichura wymiotła ich dawną sąsiedzką solidarność. Nikt nie zwrócił na to uwagi, nawet sama pani Desmedt. W tym bolesnym i niepewnym okresie przyjaźnie wygasły, nawiązały się nowe, często zaskakujące sympatie, nieszczęścia, które spadły na miasteczko dogłębnie przetasowały układy towarzyskie między mieszkańcami. O kontaktach między matką i panią Desmedt Antoine wiedział oczywiście znacznie więcej od innych, lecz wszystko to należało do epoki, o której rzadko się mówiło, przez panią Courtin sprowadzonej do „wichury z dziewięćdziesiątego dziewiątego”, tak jakby jedyną w Beauval rzeczą godną uwagi były zwalone drzewa i porwane przez wiatr dachy.

Przez długi czas była bardzo zafrasowana, z uwagą śledziła lokalne wiadomości, codziennie rano czytała gazetę, czego nigdy wcześniej nie robiła. Powoli jej niepokój opadł, wyłączyła telewizor i zrezygnowała z prenumeraty dziennika.

Antoine skręcił w prawo do centrum. Tutaj czuł zawsze to samo. Nienawiść do wszystkiego, do tego domu, do tej ulicy. Nienawiść do Beauval.

Po liceum od razu stąd uciekł; matka była zaskoczona, że woli internat. Wracał jeszcze, żeby się z nią zobaczyć, ale rzadko i na jak najkrócej: na kilka dni przed przyjazdem był roztrzęsiony, wynajdując wciąż nowe preteksty, szybko wyjeżdżał.

Na co dzień zapominał. Śmierć Rémięgo Desmedta była dawnym incydentem, przykrym wspomnieniem z dzieciństwa, bywało, że przez całe tygodnie o niej nie myślał. Nie był nieczuły: jego zbrodnia już nie istniała. A potem nagle jakiś mały chłopiec na ulicy, jakaś scena na filmie czy widok żandarma wyzwał w nim gwałtowny, niemożliwy do opanowania lęk. Ogarniała go panika, poczucie nieuchronności katastrofy, musiał mobilizować wszystkie siły, by napięcie opadło, powoli oddychać, stosować autoperswazję i śledzić fluktuacje swojej wyobraźni, jakby to był silnik, który gwałtownie się przegrzał i teraz z niepokojem czeka się na jego schłodzenie.

Strach właściwie nigdy go nie opuszczał. Drzemał, przysypiał i znowu wracał. Antoine żył w przeświadczeniu, że wcześniej czy później jego zbrodnia dopadnie go, zniszczy mu życie. Grozi mu kara trzydziestu lat więzienia, zmniejszona o połowę, gdyż w chwili popełnienia czynu był niepełnoletni, ale piętnaście lat to całe życie, bo potem nigdy już nie będzie mógł normalnie żyć, zabójca dziecka nigdy nie wyrośnie na normalnego człowieka, ponieważ dwunastoletniego mordercy nikt nie uzna za osobę normalną.

Procedura sądowa nigdy nie została oficjalnie zamknięta, nie mógł nawet liczyć na przedawnienie.

Wcześniej czy później rozpęta się gwałtowna burza i z siłą spotęgowaną upływem czasu zniszczy po drodze wszystko, jego życie, życie jego rodziców, nie tylko go uśmierci, ale również zapisze w historii, jego nazwisko i twarz staną się na długie lata sławne, nic z tego, co jest teraz, nie przetrwa, stanie się „dzieciobójcą”, „dzieckiem zbrodniarzem”, „młodocianym mordercą”, nową kategorią zbrodniarza w kryminologii, dodatkowym obrazem klinicznym w pedopsychiatrii.

Właśnie dlatego tak chciał wyjechać, wyjechać bardzo daleko; wiedział, że z Beauval zabierze ze sobą obrazy, które nawet na drugim końcu świata nie przestaną go nękać, ale przynajmniej zazna tej ulgi, że nie będzie już musiał spotykać ludzi mniej lub bardziej zamieszanych w jego dramat.

Czasami Laura zastawała go zlanego potem, rozgorączkowanego, podminowanego, lub przeciwnie, przybitego, przygnębionego i bez sił. Tych ataków paniki, które dopadały go bez uprzedzenia, nie potrafiła sobie wytłumaczyć, czasem nawet obawiała się, że uniemożliwią one pracę Antoine'a w organizacji humanitarnej. Należąc do kobiet, które nie zgadzają się na ciągłe ignorowanie istoty sprawy, regularnie wracała do tematu. Na próżno. Antoine nigdy nie zabrał jej do miejsca, skąd pochodził. Gdyby się zgodził, wtedy mogłaby porozmawiać z jego bliskimi, zrozumieć, i nareszcie mu pomóc.

Kiedy dochodził do ratusza, zadzwoniła Laura.

– I co, jak twoja mama? – zapytała.

Pani Courtin nic nie wiedziała o Laurze. Antoine utrzymywał jej istnienie w tajemnicy, dziwnej i irracjonalnej, co przez jakiś czas irytowało młodą kobietę, lecz w jej charakterze nie leżało przywiązywanie większej wagi do sytuacji czysto towarzyskich. Żartowała z tego, bawiło ją to, tym bardziej że Antoine'a temat ten krępował.

– Mam nadzieję, że nie ma mi za złe mojej nieobecności...

Tym razem nie był zakłopotany, pożądał Laury, seks był zawsze dla niego silnym środkiem przeciwlękowym. Z miejsca zaczął szeptać do niej odwieczne gorączkowe teksty, które ją szybko uciszyły. Mówił tak, jakby w tym momencie na niej leżał, ona zaś słuchała, zamykając oczy. Potem przerwał i zapadło tchnące pożądaniem milczenie, w czasie którego nasłuchiwał jej pełnego napięcia oddechu. W końcu zapytała:

– Jesteś tam?

Jego milczenie nagle zmieniło charakter, stało się inne. Antoine już na niej nie leżał, był gdzie indziej, czuła to.

– Antoine?

– Tak, jestem...

Ale ton jego głosu wyraźnie temu przeczył.

Na wystawie u pana Lemerciera, w prawym rogu wisiało zawsze zdjęcie Rémięgo Desmedta, z każdym rokiem coraz bardziej spłowiałe. Temat

zniknięcia chłopca wciąż jeszcze pojawiał się w rozmowach, nigdy nie rozwiązano tej zagadki, ale plakat wzywający świadków zdarzenia zestarzał się, a kiedy spadł, nie powieszono go z powrotem na miejsce, widywało się go już tylko na komisariacie, pośród tuzina innych z różnych zakątków kraju, oraz tutaj, u pana Lemerciera.

– Antoine?

Plakat zmienił miejsce. Nie wisiał już jak przedtem z boku wystawy; teraz przyklejony był pośrodku. I nie był to dawny spłowiały druk, tylko portret – żywy, powiększony, aktualny.

Obok dziecka z przylizaną grzywką i w T-shircie z niebieskim słonikiem widać było uderzająco do niego podobnego nastolatka. Program do animacji komputerowej zwizualizował małego Rémiego jako siedemnastolatka.

– Antoine!

W ogłoszeniu nie było już opisu jego ubrania z tamtego dnia; widniała na nim tylko data jego zaginięcia, czwartek, dwudziesty trzeci grudnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. W szybie wystawowej Antoine widział własne odbicie, osobliwie nakładające się na twarz tego nieznanego mu nastolatka, o którym tylko on wiedział, że nie ma go już wśród żywych. Nadzieja, jaką mogli nadal żywić mieszkańcy Beauval, że mały Rémi wciąż żyje, że gdzieś dorósł i zapomniał, kim był, była iluzją, oszustwem.

Pomyślał o pani Desmedt. Czy miała u siebie egzemplarz tego apelu? Czy patrzyła każdego ranka na to dziecko, którego zapewne nigdy nie przestała kochać, oraz na tego młodego mężczyznę, którego nie znała? Czy wciąż miała nadzieję, że kiedyś ujrzy go żywego, czy już ją straciła?

W końcu Antoine odpowiedział Laurze, ale nic porozumienia już się zerwała. Ruszył dalej, był zdenerwowany, podniecenie erotyczne ustąpiło miejsca nieokreślonemu lękowi. Tak, powiedział, jestem, ale miał ochotę wsiąść do samochodu i uciec.

– Kiedy wracasz?

– Niedługo, pojutrze... Jutro. Nie wiem.

Najchętniej odpowiedziałby: natychmiast.

Rezygnując z zakupów, wrócił do domu, poszedł do swojego pokoju, wziął się do czytania i robienia notatek, ale widok tego plakatu sprawił, że czuł się nieswojo, że się martwił. A przecież niepotrzebnie to roztrząsał, bo niby co innego, oprócz odnalezienia ciała, mogłoby mu teraz grozić. Dochodzenie nigdy

nie zostało formalnie zamknięte, ale Rémiego Desmedta nikt już czynnie nie szukał. Miał wrażenie, choć było to irracjonalne, że zagrożeniem jest samo to miasto, że pojawia się ono tylko wtedy, kiedy przyjeżdża do Beauval.

Dwa lub trzy razy zmusił się, by pojechać do Saint-Eustache. Miejsce było opuszczone, w takim stanie, w jakim zostawił je huragan sprzed dwunastu lat; leżące jedne na drugich drzewa gniły i butwiały, wejście głębiej w las było prawie niemożliwe. Jako lekarz wiedział, jak po dziesięciu latach mogą wyglądać zwłoki Rémiego Desmedta...

I nagle, wraz z tym nowym wizerunkiem na wystawie u pana Lemerciera, martwe dziecko na nowo ożyło, stało się rzeczywistością równie prawdziwą i obecną, jak w jego sennych koszmarach. Tym, co z biegiem lat się zmieniło i co Antoine'a zasmucało, było nie tyle to, że nie będzie mógł nigdy z nikim o tym porozmawiać, ile odwrócenie hierarchii ważności. Najistotniejszy nie był już ten mały chłopiec, którego zamordował; teraz wszystkie jego wysiłki, cała jego uwaga koncentrowały się wokół jego własnej osoby, wokół własnego dążenia do bezpieczeństwa, bezkarności. Od jakiegoś czasu, budząc się, nie widział już przed sobą zwisających bezwładnie rączek Rémiego, nie słyszał jego przejmującego wołania o pomoc. Głównym bohaterem tej tragedii nie była już ofiara, lecz morderca.

Dochodziła dziewiętnasta trzydzieści, nie wypadalo, żeby się zjawił jeszcze później. Ruszył w drogę.

Pan Lemercier świętował sześćdziesiąte urodziny. Był koniec czerwca, na dworze bardzo ciepło, pogoda prawie letnia. Grill w ogrodzie, muzyka, festony, zwykłe atrakcje, woń mięsa z rusztu, małe beczułki białego i czerwonego wina...

W Beauval życie toczyło się jak w zegarku. Miasto, którym swego czasu wstrząsnęła seria dramatów i tajemniczych zdarzeń, znów żyło spokojnym, niemal stałym rytmem, ludzie, których Antoine znał, dziesięć lat później byli tacy sami, gotowi do zastąpienia przez następne pokolenie, które wyjąwszy kilka detali, niewiele się od nich różniło.

– Bardzo dobrze to wszystko urządził, nie uważasz?

Pani Courtin przez kilka godzin tygodniowo sprzątała u pana Lemerciera, człowieka bardzo akuratnego, jak mówiła, bardzo przyzwoitego. W jej języku oznaczało to, że w przeciwieństwie do pana Kowalskiego (u którego dawno już nie pracowała i o którym nigdy nie wspominała) płacił o czasie i tyle, ile się należało.

Antoine przywitał się, zgodził się wypić kieliszek, potem drugi, zjadł pieczone mięso. Zgodnie z poleceniem matki podszedł do pana Lemerciera, żeby złożyć mu życzenia, podziękować, itd.

Pani Courtin, trzymając w ręku plastikowy kieliszek, rozmawiała z panią Mouchotte. Wydarzenie, które odsunęło ją od Bernadette Desmedt, zbliżyło ją do matki Émilie, urodziwej kobiety o surowej twarzy, która nadal połowę czasu spędzała w kościele, a drugą w swojej kuchni. Kiedy fabryka pana Weisera podjęła działalność, pan Mouchotte został z powrotem zatrudniony, ale tak długa przerwa na bezrobociu pozostawiła w nim rozgoryczenie i uszczypliwość, można było je wyczytać z jego twarzy, w jego oczach nic nie zasługiwało na względy. Pan Weiser, jego kat, wtedy gdy go zwolnił, a zarazem wybawca, kiedy z powrotem przyjął go do pracy, był głównym adresatem jego urazy do świata, który jego zdaniem i to zdecydowanie, nie funkcjonował jak należy. Powrót do pracy w fabryce przyjął z głęboką satysfakcją, jak człowiek, którego prawa po długim okresie niesprawiedliwości nareszcie zostały uznane. Zawsze był ktoś, kogo nienawidził. Przez długi czas pana Desmedta. Teraz, kiedy ten już nie żył, pierwsze miejsce na liście znienawidzonych osób zajął pan Weiser. Obaj panowie, rozdzieleni długością ogrodu pana Lemerciera, przez cały wieczór mijali się, udając, że się nie widzą. Podobno pan Weiser, kiedy musiał wydać mu w fabryce jakieś polecenie, nigdy nie tytułował go inaczej, jak „panem majstrem”.

Natomiast jego żona pozostawała dla Antoine’a zagadką, chodzącą sprzecznością. Ta dewotka o figurze modelki mówiła niewiele i rzadko się uśmiechała, co nadawało jej złudne pozory diwy, bezdusznej piękności, w czym Antoine skłonny był dopatrywać się histerycznej natury.

– Dzień dobry, doktorze...

– Hej, witaj, doktorku!

Jasnowłosa i uśmiechnięta Émilie trzymała plastikowy kieliszek delikatnie niczym kwiat. Théo, oblizując palce, dojadał kiełbasę. Antoine od dawna ich nie widział, nie było okazji. Pocałował Émilie, Théo, wytarłszy niezdarnie dłoni w papierową serwetkę, podał mu rękę. Jego strój – podarte dzinsy, obcisła marynarka, spiczaste noski butów – dawał dobitnie do zrozumienia, że nie jest z tej prowincjonalnej dziury, że należy do innego gatunku. Odebrał od nich kieliszki i odszedł.

Antoine w obecności Émilie poczuł się zmieszany; zawsze na niego tak dziwnie patrzyła.

– Ale jak ja na ciebie patrzę? – chciała wiedzieć.

Trudno mu to było wytłumaczyć. Sprawiała zawsze takie wrażenie, jakby miała go właśnie o coś zapytać. Albo jakby dziwiło ją to, co Antoine mówi, kim jest.

Z czasem Émilie stawała się coraz bardziej podobna do swojej matki, którą niezmiennie darzyła gorącym przywiązaniem. To, że się w końcu do niej aż tak upodobni, nie było niczym zaskakującym. Takie właśnie było Beauval, miejsce, gdzie dzieci podobne były do swoich rodziców i czekały, by zająć ich miejsce.

Wymienili kilka uwag o przyjęciu. Antoine zapytał, co nowego w jej życiu. Émilie pracowała w Crédit Agricole w Marmont.

– Zaręczyłam się – powiedziała, pokazując mu z dumą pierścionek.

A tak, Beauval było również miejscem, gdzie ludzie wciąż jeszcze się zaręczają.

– Z Théo? – zapytał.

Émilie zachichotała i zasłoniła dłonią usta.

– Nie z Théo – powiedziała. – Co to, to nie...!

– Nie wiem... – bąknął Antoine, trochę zły, że jego pytanie wywołało taką wesołość.

Znowu pokazała swój pierścionek.

– Jérôme jest sierżantem w armii lądowej. Teraz przebywa na placówce w Nowej Kaledonii, ale czeka na przeniesienie do Francji, we wrześniu wróci i wtedy zaraz się pobierzemy.

Antoine poczuł dziwną zazdrość, nie dlatego, że był jakiś mężczyzna w jej życiu, ale dlatego, że on sam nigdy do niego nie wszedł. Nawet wtedy, w gimnazjum, nigdy ze sobą nie chodzili, miał wrażenie, że przegapił wszystkie okazje, nie należał do mężczyzn, których ona uważała za atrakcyjnych, ale do tych, z którymi dziewczyna się widuje, bo ich od dawna zna; był rozdrażniony, kiedy sobie przypominał, jak często mała Émilie nawiedzała jego pierwsze fantazje erotyczne. Jak szalone fantazje snuł na temat jej blond włosów. Zaczerwienił się.

– A co u ciebie?

– To samo... Czekam mnie staż, muszę zaliczyć internę w szpitalu, a potem wybywam... Do organizacji humanitarnej.

Émilie z powagą skinęła głową. Działalność humanitarna to jest coś. Z jej miny można było wyczytać, że to pusty koncept, tylko hasło, ale hasło, którego moralny wydźwięk zasługuje na szacunek. I na tym rozmowa się skończyła. Co mieli sobie powiedzieć? Między nimi było równie wiele niedopowiedzeń, co wspomnień. Patrzyli na ogród, na krzyczących i śmiejących się gości, na dymiący grill, słuchali muzyki dobiegającej z głośników ustawionych wzdłuż ściany domu, na którego fasadzie, spod odmalowanego tynku widać było smugę znaczącą poziom, do jakiego podniosła się woda podczas powodzi.

Wrócił Théo z plastikowymi kieliszkami i znowu zaczęli rozmawiać o sprawach ogólnych. Nagle Antoine znów ujrzał ich troje na dziedzińcu kościoła w wieczór tamtej pasterki. I przypomniał sobie bójkę z Théo, bo ten rozpuszczał złośliwe plotki...

Odwrócił wzrok i upił łyk wina.

W Beauval nieodmiennie wracał do tamtego końca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. To, co się wtedy zdarzyło, należało do innego życia, nawet Beauval zamknęło już ten rozdział, ale ponieważ zagadka zniknięcia Rémiego Desmedta nigdy nie została wyjaśniona, żar ciągle się tlił, byle podmuch mógł go na nowo rozniecić; w otoczeniu tylu ludzi Antoine czuł się zagrożony, we wszystkim dopatrywał się znaków, wszystko było materiałem do interpretacji, źródłem niepokoju...

– Antoine...!

Dopiero po kilku sekundach rozpoznał Valentine, która chyba co roku przybierała kilogram na wadze. Odwróciła się teraz ze złością do wrzeszczącego malca, mówię ci, przestań! rzuciła, gwałtownie machając ręką, jakby opędzała się przed natrętną osą. Na rękach trzymała niemowlaka, który przeżuwał garść czipsów. Jej mąż, przystojny chłopak o posturze rzeźnika i popsutych zębach, władczy gestem obejmował ją za ramię.

Antoine nadal ścisnął wyciągnięte do niego dłonie, z tymi i owymi się całował. Théo trzymał się blisko niego, jakby czekał na sposobność, by mu coś powiedzieć. Nad ramionami innych spotykały się ich spojrzenia, aż w końcu Théo się do niego nachylił.

– Mnie też oni wszyscy wkurzają...

– Nie, to nie to...

Théo parsknął śmiechem.

– Daj spokój... To takie wieśniactwo...

Antoine'a żenowała taka postawa. On też czuł się daleki od tego światka, czuł się człowiekiem innego, nowocześniejszego gatunku, uważał to miasto za stare, skostniałe i zapyziałe, nienawidził go, ale nim nie gardził. Théo zawsze się wywyższał, nic dziwnego, że odnosił się teraz do Beauval z lekceważeniem. Planował założyć start-up, Antoine nie bardzo mógł się zorientować, o co dokładnie chodziło, Théo mówił coś o systemie ekspertów, funkcji sieci, jego słownictwo pełne było anglosaskich wyrażań, których Antoine nie rozumiał. Poprzestał na słuchaniu go ze skupioną miną, jak ludzie słabo znający język, którzy zmęczeni próbami zrozumienia, co się do nich mówi, tylko przytakują. Émilie, która znów do nich podeszła, nie słuchała, męskie rozmowy to nie jej działka.

Potem się rozdzielili. Antoine pił. Trochę za dużo, czuł to, tym bardziej że zawsze źle tolerował alkohol.

Obiecał to matce, więc przyszedł; uprzedził też, że długo nie zostanie, więc na niego już czas.

Nie sposób było pożegnać się ze wszystkimi, musiał wykazać się sprytem, wyjść, nikogo nie uraziwszy. Dla dodania sobie animuszu wychylił jeszcze jeden kieliszek wina i ruszył niedbałym krokiem w stronę ogrodu, nikt na niego nie patrzył, odstawił kieliszek na stół, wyszedł, zamknął furtkę, uff.

– Już wychodzisz?

Antoine aż podskoczył.

Na murku siedziała Émilie, paląc papierosa.

– Tak, to znaczy nie...

Roześmiała się tym czystym żywym śmiechem, na który Antoine już wcześniej zwrócił uwagę. Taki miała zwyczaj. Przy każdej sposobności wybuchała śmiechem, który mógłby jej przydawać powabu, gdyby nie był tak irytująco powtarzalny. Zupełnie jakby zastępował jej słowa, których nie znała.

– Czy wszystko cię rozśmiesza? – zapytał.

I zaraz pożałował swojego pytania, lecz nie wydawało się, by Émilie dopatrywała się w nich złośliwości. Odpowiedziała nieokreślonym gestem ręki, który mógł znaczyć wszystko i nic.

– No to już idę – powiedział Antoine.

– Ja też już wracam...

Ruszyli razem.

Émilie zapaliła drugiego papierosa; w połączeniu z chłodem nocy i dyskretną wonią jej perfum przyjemnie pachniał. Antoine już miał ulec pokusie i też zapalić, zdarzyło mu się to dwa, trzy razy w życiu, nie smakowało mu, ale się skusił. Napięcie ostatnich godzin opadło, pozostawiając po sobie dojmujące zmęczenie. Papieros, czemu nie...

Émilie powróciła do zaczętej wcześniej rozmowy. Oświadczyła, że plan Antoine'a ją zaciekał. Pomoc humanitarna. Czemu nie chce zostać lekarzem... normalnym lekarzem? Ileż to trzeba energii, żeby temu podołać... Antoine szybko uciął:

– Lekarz rodzinny, to trochę nudne...

Émilie skinęła głową. Ale czegoś nie mogła zrozumieć.

– Skoro uważasz, że to nudne, to czemu studiujesz medycynę?

– Nie, zawód lekarza jest w porządku, ale nudne jest bycie lekarzem rodzinnym, rozumiesz...

Émilie przytaknęła, ale coś ją w tej filozofii przerastało. Antoine dyskretnie ją obserwował. Mój Boże, te wydatne kości policzkowe, te usta, nasada tych włosów, ten blond meszek o, tutaj, na karku... Miała na sobie gorset, którego górne guziki były rozpięte, ukazując rowek między jej, jak można się było domyślić, jędrnymi piersiami, a kiedy Antoine zostawał nieco w tyle, widział pod jej sukienką zachwycająco kształtną pupę...

– Bo naprawdę... – mówiła dalej. – Leczyć ludzi to musi być niesamowicie ciekawe...

Było coś bolesnego w stwierdzeniu, że tak rozkoszna, tak seksowna młoda kobieta może być również tak po prostu głupia. Używała ogólników i frazesów, które, jako że same jej się nasuwały od razu gotowe do użycia, nie musiały nawet przechodzić przez jej głowę. Bez powodu i uzasadnienia przeskakiwała z tematu na temat, a wszystkie tematy obracały się wokół tej skromnej wiedzy, jaką posiadała: wokół mieszkańców Beauval. W czasie, kiedy Antoine jej się przyglądał, z bliska oceniając doskonałość niektórych detali (brwi, uszu, to niesamowite, ta dziewczyna nawet uszy miała rozkoszne), Émilie wracała do ich przeszłości, ich dzieciństwa, ich bliskiego sąsiedztwa, wspomnień...

– Mam pełno naszych zdjęć ze szkoły! Z Romane, Sébastienem, Léą, Kevinem... I z Pauline!

Mówiła o ludziach, których Antoine ledwie pamiętał, ale którzy dla niej zdawali się istnieć tu i teraz. Tak jakby miasto i jej własne życie były jedynie

dzieńcem szkolnym kilka lat później.

– Ach, musisz koniecznie zobaczyć te zdjęcia, można pęknąć ze śmiechu...

W ciemnościach rozbrzmiewał jej kobiecy śmiech, rozkoszny i nieznośny. Nie wiadomo było, co ją tak śmieszy.

U Antoine'a te szkolne fotografie bynajmniej nie budziły miłych wspomnień. Uwieczniony był na nich również mały Rémi Desmedt, którego obraz prześladował go w dzieciństwie; był to coroczny rytuał, tego dnia ujarzmiano ich grzywki, wkładali czyste koszule, szli do szkoły, jakby to była niedziela.

– Jak chcesz, to ci je wyślę.

Ta propozycja wzbudziła w niej taki entuzjazm, że na moment aż sama zamilkła. Popatrzył na nią uważnie. Ta piękna trójkątna twarz, te jasne oczy, te aksamitne usta...

– Czemu nie, skoro ci zależy... – powiedział.

Zapanowała między nimi krótka chwila skrępowania. Antoine spuścił wzrok, ruszyli dalej.

Z centrum miasta nadal dobiegały echa muzyki z przyjęcia u pana Lemerciera. Niedaleko merostwa, nie wiedząc, co by jeszcze powiedzieć, Antoine wspomniął o ogromnym platanie zwalonym przez huragan.

– A, tak! Ten platan! – powiedziała Émilie.

Po chwili milczenia, kiedy cień platanu zawisł nad ich rozmową, dodała:

– Ten platan był trochę jak historia Beauval...

Znów umilkli. Łagodność sierpniowej nocy, wino, to niespodziewane spotkanie, ta śliczna dziewczyna – wszystko to sprzyjało zwierzeniom i powrotowi do nurtujących go pytań.

– Chciałbyś o coś zapytać?

Jej ton wyrażał naiwność, wolną od podtekstów.

– No, na przykład... Ty i Théo... To, co między wami było...

Tym razem czysty śmiech Émilie nie zrobił na nim wrażenia.

– Mieliśmy trzynaście lat!

Przystanąła na środku ulicy, odwróciła się do niego, zaskoczona.

– Ach... Nie będziesz chyba zazdrosny, prawda?

– Prawda.

To było silniejsze od niego. Natychmiast pożałował tego impulsywnego „prawda”, podyktowanego głównie irytacją. Gdyż w głębi duszy miał do siebie żal, że przez tak długi czas pozostawał pod jej urokiem, że był w nią tak zapatrzonej. A do niej miał żal o to, że nie jest już tą dziewczyną, co kiedyś.

– Byłem w tobie bardzo zakochany...

Stwierdzenie to było proste i smutne. Émilie potknęła się, przytrzymała jego ramienia, ale natychmiast cofnęła rękę, jakby to był gest w tych okolicznościach niestosowny. Antoine poczuł się winny.

– Nie bój się, to nie oświadczyły!

– Przecież wiem.

Dochodzili już do jej domu. Antoine nagle znów ujrzał twarz Émilie w oknie, w dniu huraganu...

– Sprawiałaś wrażenie bardzo zmęczonej... I wyglądałaś ślicznie. Naprawdę... pięknie...

Na to spóźnione wyznanie Émilie się uśmiechnęła.

Otworzyła furtkę, weszła do ogrodu i usiadła na huśtawce, która lekko zaskrzypiała. Antoine usiadł obok niej. Ławka huśtawki była znacznie węższa, niż się wydawało, a może lekko przechylona... Antoine poczuł obok ciepłe giętkie biodro Émilie, próbował się odsunąć, ale nie miał gdzie.

Émilie lekko odepchnęła się stopą i zaczęli się huścić. Białe żółte światło ulicznej latarni docierało aż tutaj. Wokół panowała cisza. Milczeli.

Ruch huśtawki jeszcze bardziej ich do siebie zbliżył. I wtedy Antoine zrobił coś, czego, jak wiedział, nie powinien robić. Ujął dłoń Émilie, na co ona się do niego przytuliła.

Pocałowali się. I od razu była to porażka.

Nie podobał mu się jej sposób całowania, ten zachłanny ruch języka, kojarzący się z badaniem wnętrza ust, ale nie odsunął się, bo w końcu nie miało to żadnego znaczenia, skoro się nie kochali. Dzięki temu wszystko stawało się prostsze.

Był to niezobowiązujący flirt, swojska zażyłość, efekt tych lat, kiedy spotykali się, nie dotykając. Teraz mogli to robić, bo nic nie musieli. Byli przyjaciółmi z dzieciństwa. Łączyła ich jedynie długa historia, którą należało uprościć. Żeby się upewnić. Żeby niczego nie żałować. Mała dziewczynka,

której tak pożądał, nie miała nic wspólnego z tą śliczną i głupią młodą kobietą, którą trzymał w ramionach. I na którą miał w tym momencie wielką ochotę.

Sytuacja była fałszywa i oboje to z rozumieli, wiedząc jednocześnie, że to, co się zaczęło, będzie miało ciąg dalszy, aż po zwykły i łatwy do przewidzenia finał.

Antoine wsunął rękę za gorset Émilie, ujął jej ciepłą i rozkosznie miękką pierś, na co ona położyła dłoń na jego kroczu. Całowali się dalej, niezręcznie i namiętnie, po brodach ściekała im ślina, nie odrywali się od siebie, żeby nie musieć z sobą rozmawiać.

Odnajdując wilgotne ciepło dziewczyny, Antoine wydał głuchy pomruk.

Ona chwyciła go ręką dokładnie w taki sam sposób, w jaki się całowała, z niezręczną, szorstką determinacją.

Było trochę szamotaniny, kiedy ściągali majtki.

Émilie sama z siebie odwróciła się tyłem, oparła ręce na huśtawce, szeroko rozstawiła nogi. Antoine od razu w nią wszedł. Wygięła się jeszcze bardziej, zachęcając go do głębszej penetracji, a potem odwróciła głowę, żeby go znów pocałować, łapczywie, głęboko z językiem, wciąż ta sama zachłanność...

Czując, że Antoine sztywnieje w niej i szczytuje, wydała cichy zwierzęcy pisk... Antoine nigdy się nie dowie, czy i ona szczytowała.

Przez chwilę trwali tak złączeni, nie bardzo wiedząc, co dalej, bojąc się nawet na siebie spojrzeć, a potem oboje wybuchnęli śmiechem. Odezwały się w nich resztki dzieciństwa, to wrażenie, że wycieli ekstra numer dorosłym i życiu.

Antoine nieporadnie wciągnął spodnie, Émilie wyginając biodra, włożyła majtki, wygładziła fałdy sukienki.

Stali, nie wiedząc, co sobie powiedzieć, spieszno im było się rozstać, skończyć z tym.

Émilie wybuchnęła tym swoim śmieszkiem, zacisnęła kolana, przykładając rękę do podbrzusza niczym dziecko przyparte nagłą potrzebą. Poruszała oczami, zamachała dłonią, rozstawiając palce, takim ruchem, jakby chciała ją osuszyć, aj, aj, aj.

A potem szybko pocałowała Antoine'a w usta i uciekła. Nim otworzyła drzwi, posłała mu opuszkami palców jeszcze jeden pocałunek.

Nawet to rozstanie było porażką.

Jeśli w życiu Antoine'a dzieciństwo nie skończyło się w chwili zetknięcia ze śmiercią, kiedy zabił Rémię, to z pewnością nastąpiło to tej nocy.

Wracając, sprawdził połączenia w komórce.

Laura dzwoniła do niego cztery razy, nie zostawiając wiadomości. Wybrał jej numer, ale natychmiast się rozłączył. Rozmowa z nią teraz, czyli kłamanie, to było ponad jego siły. Finał tego wieczoru był klęską, nie mógł pojąć, jak to wszystko mogło się tak skończyć. Pożądanie, tak. Akurat, to, co zostało teraz z tego pożądania...

Zrezygnował z telefonu do Laury, powie, że... Zobaczy, coś wymyśli.

Matka zachowała jego dawny pokój, zmieniła w nim tapetę i umeblowanie. Szkolne biurko Antoine'a, jego krzesło, jego dawne łóżko i większość tego, co było w pokoju, zostało pieczołowicie przeniesione do piwnicy, lecz kilka przedmiotów dziwnym trafem uniknęło zesłania: mapa półkul ziemskich, plakat z Zidane'em, plecak, kubek na ołówki, Transformers GI Megatron, poduszka z angielską flagą – dość osobliwy wybór, w którym Antoine nie potrafił dopatrzeć się żadnej logiki.

Nienawidził tej scenerii, sprawiała, że znów wracał do czasów, do których nie chciał wracać, ale ponieważ rzadko przyjeżdżał, a matka zadała sobie wiele trudu, by mu ten pokój urządzić, nie miał serca ani siły, by wszystko wrzucić do kartonu i wystawić na ulicę, choć za każdym razem bardzo go korciło, by to zrobić.

Telefon zawibrował. Znowu Laura, była już prawie pierwsza w nocy. Czuł się źle na tym przyjęciu, źle w tym pokoju, źle w tym miejscu, we własnym życiu, nie miał odwagi odebrać.

Kiedy telefon przestał wibrować, Antoine odetchnął, usłyszał jakieś głosy na ulicy. To matka wracała do domu w towarzystwie Mouchotte'ów. Co by było, gdyby przyłapali ich, parzących się przy huśtawce niczym para nastolatków?

Było już za późno, żeby się położyć i udawać, że śpi. Usiadł przy stole, jakby zatopiony w pracy. Odstawianie takich cyrków było niedorzeczne i upokarzające, ale co innego miał zrobić?

Pani Courtin dostrzegła światło w jego pokoju i weszła na górę.

– Za dużo pracujesz, mój mały, pora spać!

Od lat dokładnie te same słowa, za którymi kryła się duma z pracowitego syna, z syna, któremu się powiodło.

– A właśnie, czy wiesz, że mają zagospodarować las w Saint-Eustache?

Antoine poczuł mrowienie na plecach.

– Jak to, zagospodarować... Co zagospodarować...?

Pani Courtin odwróciła się do okna.

– No, znaleźli spadkobierców. I merostwo kupiło działkę, żeby urządzić na niej mały park atrakcji dla dzieci. Mają tam przyjeżdżać dzieciaki z całego regionu, akurat, już to widzę...

Każdą nowość, każdą inicjatywę pani Courtin zwykła kwitować z głęboką nieufnością.

– Mówią, że zrobili rozeznanie, że spodoba się to rodzicom i stworzy nowe miejsca pracy. Pożyjemy, zobaczymy. No, czas już do łóżka, Antoine.

– Kto ci to powiedział? O tym parku?

– Od dwóch miesięcy wiszą na merostwie informujące o tym plakaty, ale skoro nigdy cię tu nie ma... No to nic dziwnego, że nie wiesz, co się dzieje...

Nazajutrz Antoine skoro świt, po nocy, w czasie której nie zmrużył oka, wybrał się na jogging.

Na merostwie, w gablocie z urzędowymi ogłoszeniami, przeczytał obwieszczenie o budowie parku w Saint-Eustache. Plany inwestycji są do wglądu w merostwie.

Prace nad uporządkowaniem terenu miały się zacząć we wrześniu.

Wakacje były jedną wielką gehenną. Pasmem niepewności i lęku. Antoine pozdawał egzaminy, ale był po nich kompletnie wykończony. Nie chciał nigdy więcej wracać do Beauval, co było niemądre, bo wcześniej czy później i tak będzie musiał odwiedzić matkę; wymówił się długim letnim wyjazdem z Laurą, który w rzeczywistości z braku pieniędzy nie trwał nawet dwóch tygodni. Już aktualizacja zdjęcia Rémiego Desmedta była szokiem, ale zapowiedź prac w Saint-Eustache wróżyła katastrofę, która nie wiadomo jak i kiedy nastąpi. Wyobraźnia cofnęła go do najgorszego okresu życia, który sam w sobie streszczał całe jego dzieciństwo. Znajdą ciało. Na nowo podejmą śledztwo. Antoine znajdzie się wśród osób, które jako ostatnie widziały żywe jeszcze dziecko, wezwą go na przesłuchanie. Policja zarzuci hipotezę porwania przez przygodnego kidnapera, skoncentruje się na mieście, na jego mieszkańcach, na bliskich i sąsiadach ofiary, a trop nieuchronnie zaprowadzi do niego i to będzie koniec. Po dwunastu latach, wyczerpany własną historią, nie będzie już w stanie kłamać.

Tego lata Antoine rozmyślał o ucieczce. Szukał miejsca, w którym nie podlegałby ekstradycji. Ale w głębi duszy wiedział, że tego nie zrobi, nie miał ani natury, ani temperamentu człowieka zdolnego ukrywać się za granicą (już samo to słowo pozostawało w sprzeczności z tym, kim był!). Jego własne życie wydało mu się ciasne i nieciekawe, nie był ambitnym, cynicznym i zorganizowanym kryminalistą, tylko zwykłym mordercą, któremu dotąd dopisywało szczęście.

Postanowił zostać i czekać, i popadł w posępną, pełną udręki rezygnację.

Teraz, kiedy był już dorosły, życie w więzieniu już go tak nie przerażało, ale grozę budziło w nim całe to zamieszanie wokół sprawy: proces, gazety, telewizja, dziennikarze oblegający Beauval, osaczający jego matkę, wytłuszczone tytuły w prasie, wywiady z ekspertami, komentarze dziennikarzy sądowych, fotografowie, wypowiedzi sąsiadów... Wyobraża sobie Émilie plotącą głupstwa przed obiektywem kamery, raczej nie pochwali się tym, co razem zrobili. Mer daremnie będzie próbował usprawiedliwiać miasto: w Beauval w odległości ledwie kilkudziesięciu metrów mieszkali obok siebie

zabójca i ofiara, panią Desmedt będą prowokować do płaczu, żeby ją sfilmować, obok niej Valentine z trójką maluchów na rękach, i znów wszyscy z powagą zadawać sobie będą pytanie, odwieczne pytanie: jak można zamordować, mając dwanaście lat? Ludzie będą się tym wydarzeniem napawali, gdyż w porównaniu z Antoine'em, każdy poczuje się tak cudownie normalny. Telewizja przedstawi kronikę sławnych przypadków, sięgającą w przeszłość najdalej, jak pozwolą archiwa policji. Zbrodnia w Beauval wyzwoli zbrodnicze żądze w całym narodzie, ludzie będą mogli delectować się zrzuconiem odpowiedzialności na jedną osobę, mieć satysfakcję z ukarania jej za czyn, do którego każdy z nich byłby zdolny.

W kilka minut znalazłby się na firmamencie historycznych morderców. Przestałby istnieć.

Antoine Courtin nie byłby już osobą, stałby się marką.

Jego umysł osiągał stan wrzenia, kreował przerażające obrazy, a potem Antoine nagle przytomniał, docierało do niego, że od półgodziny nie odzywał się, nie słuchał, nie odpowiadał na pytania Laury.

Zajmowali małe mieszkanie w dzielnicy odległej od uczelni, ale dość blisko szpitala uniwersyteckiego.

Tak jak w ciągu trzech ostatnich lat bez umiaru i na okrągło uprawiali seks, tak od powrotu Antoine'a w czerwcu okazje ku temu stały się rzadsze. Laura regularnie podejmowała ataki, a wtedy on proponował pewne zabawy, do których męska sprawność nie była wymagana. Laura z lekkim niepokojem oraz ze sporą frustracją czekała na lepsze dni. Nigdy nie widziała, żeby Antoine był naprawdę szczęśliwy, był skryty, małomówny, poważny i znerwicowany, i to właśnie w nim lubiła. Był też bardzo przystojny, jednak z wesołością było mu nie do twarzy. Swoją powagą sprawiał na otoczeniu wrażenie człowieka silnego, czemu kłamały nagle ataki lęku. A w tym okresie jego fatalne samopoczucie zaczynało przybierać niepokojące rozmiary. Laura wyobrażała sobie jakieś historie w jego najbliższym otoczeniu, może kłopoty rodzinne. Może zastanawiał się nad swoim powołaniem do zawodu lekarza? I siłą rzeczy kończyło się na hipotezie tym bardziej prawdopodobnej, że wydawała się niemożliwa: Antoine ma kochankę.

Zazdrość wymagała od Laury wysiłku, ona nie potrafiła być zazdrosna. W końcu pogodziła się z tym, że problem jest natury psychologicznej. Z diagnozą dla lekarza bardziej uspokajającą: jeśli nie można jakiegoś problemu rozwiązać, wystarczy trafnie dobrać molekułę i efekt murowany.

Już miała z nim o tym porozmawiać, kiedy zupełnym przypadkiem odkryła, że Antoine już i tak codziennie przyjmuje sporą dawkę antydepresantów.

Minęły lipiec i sierpień.

Pani Courtin oczywiście niepokoiła się, dlaczego Antoine od połowy czerwca do niej nie przyjechał. Skrupulatnie odnotowywała jego wizyty i potrafiła z pamięci cytować dokładne ich daty z ostatnich pięciu lat. Nigdy otwarcie nie robiła mu wyrzutów, poprzestawała na stwierdzeniu, że rzadko przyjeżdża, tak jakby ich rozłąka była wynikiem cichego porozumienia między nimi, przykrego acz koniecznego.

Kiedy Antoine, kilka razy na tydzień, powracał myślą do prac przy parku rozrywki, które miały się już wkrótce rozpocząć w Saint-Eustache, na nowo przypominał mu się ten ostatni dzień spędzony w Beauval, te straszne i puste godziny, to zdjęcie Rémięgo, to przyjęcie, na które nigdy by nie poszedł, gdyby nie naleganie matki, te idiotyczne chwile z Émilie.

To, jak do nich doszło, pozostawało dla niego tajemnicą. Miał ochotę się z nią przespać, ponieważ była atrakcyjna i ponieważ w dzieciństwie się w niej kochał; było w tym trochę pożądania i sporo chęci odwetu. Ale czego chciała ona? Jego, Antoine'a, czy czegoś innego? Czy po prostu mu uległa? Nie, wykazała wręcz aktywność, pamiętał jej wszechobecny język i dłoń, to, jak się odwróciła, jak się wygięła, jak patrzyła mu w oczy, kiedy w nią wchodził.

Na odległość wzbudzała w nim równie sprzeczne odczucia. Pamiętał – nierozzerwalnie ze sobą związane – i jej urodę, która w hierarchii jego wartości stała bardzo wysoko, i rażącą banalność jej słów. Przypominał sobie infantylny zapach, z jakim mówiła o starych zdjęciach szkolnych.

Powinien był przewidzieć każdą możliwość, ponieważ w połowie września pani Courtin doniosła mu przez telefon, że Émilie ją odwiedziła, pytając o jego adres.

– Chce ci coś przysłać, nie powiedziała co.

Skądinąd sprawa tych zdjęć wielokrotnie do niego wracała.

Wyobrażał sobie, że otwiera kopertę, wyjmuje zdjęcia, a wtedy na jego twarz nakłada się twarz Rémięgo w wieku sześciu, a potem siedemnastu lat, a wynik tej fuzji przypomina trumienne portrety umarłych przedwcześnie dzieci.

Pomyślał o komodzie u Desmedtów, o pustym miejscu po fotografii, zdającym się cierpliwie czekać, aż sprawiedliwości stanie się zadość.

Obiecał sobie, że kiedy dostanie te zdjęcia, od razu, nie otwierając nawet koperty, je wyrzuci. Nie będzie musiał się z niczego tłumaczyć, w ciągu tych ostatnich lat w Beauval prawie nie spotykał Émilie, a ponieważ na szczęście przyjeżdżał tam coraz rzadziej...

Był początek listopada.

I wtedy właśnie objawiła się Émilie, lecz nie w postaci koperty ze zdjęciami, tylko Émilie z krwi i kości, ubrana we wzorzystą sukienkę, która choć wyglądała komicznie, nie była w stanie ukryć jej urody. Wymalowana, wyperfumowana, uczesana, promienna, odstawiona jak na wesele, zadzwoniła do drzwi. Laura otworzyła, dzień dobry, jestem Émilie, chciałabym zobaczyć się z Antoine'em.

Dla Laury oznaczało to wyznanie.

Gość nie musiał dodać ani słowa więcej, Laura odwróciła się, Antoine, to do ciebie! Złapała kurtkę, włożyła buty. Była już za drzwiami, nim Antoine, zdumiony nieoczekiwaną wizytą Émilie, zdążył zareagować, zaczekaj, ale za późno, Laury już nie było, usłyszał jej nerwowe kroki na schodach, wychylił się, zawołał Laura! Widział jej dłoń zsuwającą się szybko po poręczy aż po parter. W nagłym przypływie zazdrości, zadając sobie pytanie, dokąd pobiegła, odwrócił się i wtedy przypomniał sobie, o co poszło.

Wrócił do mieszkania, gotując się ze złości.

Émilie nie wydawała się ani trochę speszona.

– Mogę usiąść? – zapytała.

I, by usprawiedliwić swoje pytanie, dodała:

– Jestem w ciąży.

Antoine zbladł. Émilie długo się rozwodziła nad „ich wieczorem”. Mówiła o ich wzruszającym spotkaniu, o nagłym, niemal zwierzęcym pożądaniu między nimi i, jeśli o nią chodzi, „rozkoszy, jakiej nigdy dotąd nie zaznała”... Nie może mówić za Antoine'a, ale ja... ja od tamtego dnia nie zmrużyłam oka, jak tylko cię zobaczyłam, od razu się w tobie znów zakochałam, jestem pewna, że zawsze za tobą szalałam, nawet jeśli nie chciałam się przed sobą do tego przyznać, i tak dalej. Antoine nie wierzył własnym uszom. Sytuacja była tak idiotyczna, że mało brakowało, a roześmiałby się, gdyby nie świadomość konsekwencji i podtekstów jej wizyty...

– To było tylko...

Urwał, szukając właściwych słów. Lekarz w nim krzychał coś, czego mężczyzna nie chciał słuchać. Musiał zadać sobie gwałt, by zapytać:

– Ale skąd wiadomo... że to ze mną, no wiesz, o co mi chodzi...

Émilie zawnazas przygotowała swój występ. Postawiła torebkę na podłodze, założyła nogę na nogę.

– Nie mogę być w ciąży z moim... no, Jérôme'em, bo od czterech miesięcy go nie ma.

– Ale mogłabyś być z kim innym!

– No właśnie, nazywaj mnie dziwką, skoro już!

Była oburzona tą uwagą, najwyraźniej nie przypuszczała, że takie pytanie mogłoby w ogóle powstać. Antoine musiał się usprawiedliwić:

– Nie to, żebym...

Przerwał, aby obliczyć, a wynik tego rachunku nim wstrząsnął: od tego, co Émilie nadal nazywała „ich wieczorem”, upłynęło trzynaście tygodni.

Krótko mówiąc, legalna aborcja była już niemożliwa.

Wszystko stało się jasne: zaczekała, aż upłynie dopuszczalny termin, i dopiero wtedy się u niego zjawiała!

– Nie, Antoine, nie ma mowy! Nie chcę usunąć, tak nie można! Przede wszystkim moi rodzice...

– Mam w nosie twoich rodziców!

– Ale ja nie mam, i to ja jestem w ciąży!

Antoine zadał sobie pytanie, na ile Émilie wytarguje wyjście z tej sytuacji. Czy będzie w stanie zapłacić?

– I to ty jesteś ojcem – dodała, spuszczać wzrok, tak jak to widziała w telewizji.

– Ależ, Émilie, czego ode mnie oczekujesz?

– Oświadczyłam już mojemu... no, Jérôme'owi, że nim zrywam. Nie powiedziałam mu całej prawdy, nie chcę, żeby o nas źle pomyślał, ale cóż.

– Czego oczekujesz?

Zmarszczyła swoje śliczne jasne brwi, zaskoczona, że Antoine zadaje takie głupie pytanie.

– Chcę, żeby to dziecko żyło! To chyba normalne, nie? Żeby miało wszystkie te szanse, do jakich ma prawo!

Zamknął oczy.

– Musimy wziąć ślub, Antoine, moi rodzice...

Antoine zerwał się wzburzony, wrzasnął:

– To niemożliwe!

Przestraszył ją, odsunęła się. Musiał koniecznie przekonać ją o niedorzeczności tego pomysłu. Usiłując się opanować, przysunął krzesło, usiadł naprzeciwko niej, ujął jej dłonie.

– To niemożliwe, Émilie, nie kocham cię, nie mogę cię poślubić!

Musiał znaleźć jakieś argumenty, które do niej przemówią.

– Nie potrafiłbym dać ci szczęścia, rozumiesz?

Ten argument nie trafił jej do przekonania, nie bardzo wiedziała, co chciał przez to powiedzieć. Tak naprawdę od ponad dwóch miesięcy żyła w przekonaniu, że Antoine „ureguluje sytuację”, niczego innego nie brała pod uwagę.

– Można jeszcze usunąć tę ciążę – upierał się Antoine. – Pokryję koszty, nie bój się. Znajdę pieniądze, znajdę porządną klinikę, nie masz się czego bać, uwierz mi, wszystkim się zajmę, ale musisz usunąć to dziecko, ponieważ i tak cię nie poślubię.

– Żądasz ode mnie popełnienia zbrodni! – zawołała Émilie, nerwowo przykładając zaciśniętą dłoń do dekolту.

Zapadło długie milczenie.

Antoine czuł, że zaczyna jej nienawidzić.

– Zrobiłaś to specjalnie? – spytał zimno.

– Po co miałabym to robić? To znaczy, niby jak miałabym...

Émilie szukała słów, by wyrazić tę prostą myśl, nie wiedziała, od czego zacząć, ale sprawiała wrażenie szczerzej.

Antoine był załamany oczywistą prawdą: to była wpadka. Sama Émilie wolałaby poślubić swojego sierżanta, tyle że w międzyczasie zdarzył się „ich wieczór”, i jakkolwiek nieudany, skutek tego był taki, że Émilie będzie miała dziecko, a to dziecko zmajstrował jej Antoine.

Zbuntował się. Wstał.

– Przykro mi, Émilie, ale nie. Nie chcę tego dziecka. Nie chcę ciebie, nie chcę nic z tych rzeczy. Zdobę pieniądze, ale nie chcę dziecka, nigdy przenigdy, to ponad moje siły, nie sądzę, byś to mogła zrozumieć.

Émilie była bliska łez. Wyobraził sobie jej powrót do domu z tą nowiną. Nie sądził, by przyszła, nie przygotował się wcześniej do tego spotkania z rodzicami, ze swoją świętoszkowatą matką. Wyobraził sobie klan Mouchotte'ów w pełnym składzie, ojca sztywnego jakby kij połąnął, matkę otuloną moherowym szalem... Nie do wiary, jak mogli pomyśleć, że Antoine ustąpi, że poślubi ich córkę?

Sprawa przybierała inny obrót, niż przewidziała Émilie. Teraz i ona wstała, podeszła do Antoine'a.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i nim zdążył zareagować, wpiła się ustami w jego usta, wpychając w nie głęboko język i czekając, aż Antoine coś z tym zrobi (pewnie sama się zastanawiała, czemu służy ten rytuał, któremu wszyscy mężczyźni ulegali, ale choć ona sama nic absolutnie nie czuła, spełniła go z wiarą, a nawet z żarliwością, jakkolwiek bezmyślnie, bez pomysłu ni polotu).

Antoine odwrócił głowę, uwolnił się z objęć Émilie, powoli się cofnął.

Młoda kobieta poczuła się odrzucona, wybuchnęła płaczem. A płacząc, była tak niebywale piękna, że nawet Antoine się wzruszył. Jednak mentalnie przywiązał się już do masztu, by nie ulec śpiewowi syren, wystarczyło, że wyobraził sobie życie, które mu proponowała, by znaleźć w sobie siłę odporną na wszelkie pokusy. Położył tylko dłoń na jej ramieniu.

Kilka minut temu jej nienawidził, teraz jej współczuł.

Nagle tknęła go myśl, kto jeszcze oprócz Mouchotte'ów o tym wie? Nie o sobie myślał, bo do Beauval już nigdy nie przyjedzie, tylko o swojej matce. To wszystko było bardzo smutne.

– Zostawisz nas...? – zapytała Émilie.

Naprawdę miała talent do groteskowych odzywek, skąd ona je brała...? Hałaśliwie wytarła nos.

– Przykro mi, Émilie, ale nie mogę ci pomóc. Wszystkim się zajmę: znajdę dobrą klinikę, zapłacę, ile trzeba, zapewniam cię, że nikt się o niczym nie dowie. Jesteś młoda, jestem pewny, że spłodzicie z tym twoim Jérôme'em kupę dzieci, z nim jest to możliwe, ale ze mną nie. Musisz się szybko zdecydować, Émilie... W przeciwnym razie nie będę mógł już nic dla ciebie zrobić.

Émilie kiwała głową. Przyjechała z pewnym pomysłem, który nie wypalił. Powiedziała wszystko, co sobie przygotowała, nie wiedziała, co mogłaby jeszcze zrobić, z ociąganiem wstała.

Antoine'owi przemknęła przez głowę myśl, że dziewczyna z niejaką przyjemnością odnajduje się w sytuacji stwarzającej jej sposobność odegrania roli: jest nieszczęśliwa, w jej życiu dzieje się coś dramatycznego, jest bohaterką, całkiem jak w telewizji.

Położyła na stole grubą kopertę. Szkolne zdjęcia. Dobry Boże, przywiozła to...

Co sobie wyobrażała: że usiądą na łóżku i przytuleni do siebie będą je ze śmiechem oglądali? Że Antoine oczarowany, zachwycony i zakochany położy rękę na jej brzuchu i zapyta, czy się rusza? Tak wielka naiwność zwałała go z nóg.

Po jej wyjściu przez długą chwilę zastanawiał się nad konsekwencjami. Nagle poczuł cień nadziei: dotąd wychodził cało ze wszystkich sytuacji, wszystkich pułapek, które zastawiało na niego życie. Kiedy myślał, że znajdą Rémię, nikt go nie znalazł; kiedy był pewny, że go aresztują, wymknął się z zarzuconej sieci; Émilie, mimo ciąży, nic nie wskórała... Zaczął wierzyć, że być może szczęście nadal mu będzie dopisywało. Po raz pierwszy od długiego czasu użył tego słowa: szczęście. Poczuł, że spadł z niego jeden ciężar.

Z zaskakującym spokojem czekał na powrót Laury.

Weszła. Cóż za kontrast z kobietą, która tu przed chwilą była!

– Mogłeś wywietrzyć, cuchnie tu dziwką!

Mówiąc to, złapała swój plecak i po kolei zaczęła do niego wrzucać wszystko, co wpadło jej w ręce.

Antoine uśmiechnął się, jeszcze nigdy nie czuł się tak silny, tak pewny siebie. Schwycił ją za ramiona, zmusił, żeby się do niego odwróciła, i wciąż z uśmiechem, powiedział:

– Tak, przespałem się JEDEN raz z koleżanką z klasy, która nic dla mnie nie znaczy. Przyszła tu, żeby zawracać mi głowę, wyrzuciłem ją za drzwi, kocham cię.

Jego słowa brzmiały przekonująco, bo wszystko, co mówił, było absolutną prawdą, nie było w tym żadnego kłamstwa, z wyjątkiem przemilczenia czegoś, co w tym momencie zupełnie się nie liczyło.

Nagle poczuł się niezwykcieżony, emanował siłą tak wielką, że nawet Laurę to zaskoczyło. Trzymała w rękach jakiś ciuch, Antoine wciąż się uśmiechając, zmusił ją, by się cofnęła.

Zdecydowanym, precyzyjnym ruchem ściągnął z niej sweter, jego nagłe pożądanie wzięło górę nad wszystkim, padli na łóżko, z łóżka stoczyli się na podłogę i toczyli się dalej jedno na drugim, dopóki nie natknęli się na stół, Antoine już w niej był, nie miała pojęcia, jak to zrobił, zaczynała drzeć na całym ciele, narastająca w niej wibracja poderwała ją z ziemi, przeszła jej lędźwie, krzyknęła. Dwa razy.

I padła pod nim zemdlona.

Émilie pisała listy. Po dwa, trzy tygodniowo. Laura z wymownym westchnieniem znużenia odkładała je na stół. Antoine, przynajmniej z początku, je czytał. Były nieporadnie sklecone, chaotyczne, jakkolwiek ich ogólny przekaz sprowadzał się zawsze do jednego: „Nie porzucaj mnie i naszego dziecka!”. Swoim dziecinnym pismem (nad „i” stawiała kółeczka) serwowała w nich wszelkiego rodzaju komunały mające wyrazić rozpacz, w jaką wtrącił ją Antoine. Frazesy typu „nie porzucaj ciała z ciała i krwi twojej” przeplatały się z „żarem, jaki we mnie rozpałiłeś”, z „falą pożądania”, która ją „zalała”, z tym wieczorem, kiedy „omdlewałam z rozkoszy”, bolesny niemal poziom ubóstwa intelektualnego – od razu było widać, co to za typ kobiety.

Te listy były idiotyczne, ale jej zagubienie jak najbardziej autentyczne. Nie mogąc usunąć ciąży z powodu religijności swoich rodziców (a może też i własnej), zostanie panną z dzieckiem, samotną matką... Rozmyślał, jak wyglądać będzie jej przyszłe życie. Niekiedy były to refleksje niezbyt chwalebne; z taką urodą bez trudu znajdzie męża. A jej rodzice z radością poniosą ten krzyż, będą to robić z ostentacyjną godnością męczenników i koniec końców wszyscy będą zadowoleni.

W pierwszych dniach października, kiedy padało w całej Francji, Antoine, biegnąc do tramwaju, poślizgnął się na jezdni i mało brakowało, aby się przewrócił.

Kilka dni później jego matka miała mniej szczęścia. Kiedy przechodziła przez ulicę, potrącił ją samochód, rozległ się głuchy huk, pani Courtin, siłą uderzenia poderwana z ziemi, ciężko upadła na chodnik. Zawieziono ją do szpitala. Zawiadomiono jej syna.

Antoine i Laura byli w łóżku (od miesiąca na okrągło, czasem lęk przed rozstaniem tak na człowieka działa...).

Antoine odebrał telefon, zeszytywniał, Laura czekała. Pielęgniarka ze szpitala nie wchodziła w szczegóły, ale lepiej, żeby jak najszybciej przyjechał...

Wstrząśnięty tą wiadomością, wsiadł pospiesznie do pierwszego pociągu jadącego do Saint-Hilaire, dotarł tam późno. Wizyty są zabronione,

powiedziała pielęgniarka, ale pozwolimy panu wejść. Wziął taksówkę. Przyjęto go z taką powściągliwością, że uciekł się do praktycznego skrótu, jestem lekarzem.

Jego kolega po fachu nie był naiwny: miał do czynienia z krewnym pacjenta i nikim innym.

Pańska matka odniosła obrażenia czaszki. Badanie kliniczne nie wykazuje żadnych anomalii, tomografia też nie budzi obaw, ale śpiączka jest głęboka... Chwilowo trudno powiedzieć coś więcej.

Nie zaproponował, że pokaże radiogramy, poprzestał na minimum informacji. Zrobił dokładnie to, co na jego miejscu zrobiłby Antoine.

Pani Courtin spała, Antoine podszedł, usiadł, wziął ją za rękę i rozpłakał się.

W międzyczasie Laura miała zarezerwować mu pokój.

Hotel Central.

Zjawił się w nim późną nocą. W hallu unosiła się woń pasty do podłogi, zapach, którego nie czuł od czasów dzieciństwa, zda się typowy dla tych okolic. Tapeta w kwiaty, kretonowe zasłony, na łóżku kapa z lamówką... Laura dobrze wybrała: pokój kojarzył mu się z matką.

Położył się w ubraniu, zasnął. Wydawało mu się, że się obudził, trudno powiedzieć, o której godzinie, w pokoju ujrzał matkę, siedziała na skraju jego łóżka.

„Antoine, czy coś się stało?”, zapytała. „Śpisz w ubraniu, nie zdjąłeś nawet butów... To do ciebie niepodobne... Jeśli jesteś chory, czemu o tym nie powiesz?”

Otrząsnął się, wziął prysznic, w rurach zahuczało, musiał obudzić cały hotel.

Zadzwoił do Laury, wyrwał ją z głębokiego snu, ale: kocham cię, powiedziała na wpół obudzona, kocham cię, jestem przy tobie, a Antoine popatrzył na pokój i marzył tylko o jednym: żeby się do niej przytulić, wdychać jej zapach, czuć jej ciepło, wtopić się w nią, zniknąć, a wtedy powtórzyła kocham cię, głosem poważnym, obecnym i dalekim, i Antoine się rozpłakał, a potem zasnął, ale wczesnym świtem był już na dworze, maszerował ulicami w kierunku szpitala.

Zastanawiał się, czy powinien zawiadomić ojca. Ale nie miało to najmniejszego sensu, rodzice od niepamiętnych czasów byli rozwiedzeni.

Ojciec poczułby się w obowiązku przyjechać, by pokazać, jak bliski jest mu syn, co byłoby kłamstwem, albo by odmówił, gdyż ta kobieta od ponad dwudziestu lat nic dla niego nie znaczyła. Antoine'owi została już tylko Laura. Nie do wiary, że jego życie ograniczyło się do tak niewielu osób.

Od wczoraj pani Courtin nie poruszyła się nawet o milimetr.

Antoine obejrzał diagramy, wykresy, odruchowo sprawdził, czy wszystkie urządzenia działają. A potem, kiedy wyczerpał już wszystkie uniki, z powrotem usiadł u wezglowia łóżka.

Jego niepokój ustąpił miejsca innemu. Dopiero teraz, w ciszy tego pokoju i w beczynności, na jaką był skazany, dotarło do niego, że ledwie kilka kilometrów dzieli go od Beauval.

Nie wiadomo było, jak się to wszystko skończy. Czy pani Courtin umrze? Czy ciało Rémiego zostanie w końcu znalezione? A jeśli tak, to czy przed, czy po zgonie pani Courtin?

Najbardziej wykańczało go nie tyle poczucie winy czy strach przed zdemaskowaniem, ile czekanie. Ta niepewność. Wrażenie, że dopóki nie znajdzie się daleko stąd, zdarzyć się może wszystko, że jego życie może w kilka sekund lec w gruzach. Teraz była to już kwestia miesięcy. Tak jak w biegu na długi dystans ostatnie kilometry wydawały mu się najtrudniejsze.

Wczesnym popołudniem zjawił się doktor Dieulafoy, jak to on, dyskretnie i niepostrzeżenie. Zawsze sprawiał takie wrażenie, jakby pomylił pokoje, jakby, zorientowawszy się, że to pomyłka, miał zaraz wyjść. Co też bez wątpienia zamierzał uczynić, kiedy dostrzegł w pokoju Antoine'a. Ukrył swoje zakłopotanie, ale dopiero po sekundzie wahania, która często zdradza ludzi zaskoczonych nieoczekiwaną sytuacją.

Antoine od lat go nie widział. Doktor Dieulafoy bardzo się postarzał, lecz jego twarz, obecnie pergaminowa, pozostała jak zwykle nieprzenikniona i kamienna. Czy nadal wiódł swoje samotne i tajemnicze życie, czy nadal co niedziela, ubrany w bezkształtny dres, sprzątał swój gabinet?

Uścisnęli sobie dłonie, a potem, siedząc obok siebie, patrzyli na panią Courtin, dopóki nie zorientowali się, że ich milczenie przypomina czuwanie przy zmarłym. A wtedy doktor zapytał:

- Na którym jest pan roku?
- Na ostatnim.
- Ach, już...

Głos doktora Dieulafoya przeniósł Antoine'a do tej dziwnej chwili sprzed lat: „Gdybym cię wysłał do szpitala, sytuacja wyglądałaby inaczej, rozumiesz...”.

To prawda. Gdyby tamtego dnia Antoine trafił do szpitala z powodu próby samobójczej, rozpoczęto by śledztwo, byłby przesłuchiwany, przyznałby się do zabicia Rémięgo i taki byłby jego koniec. Przed tym właśnie ochronił go doktor.

Co dokładnie wiedział? Nic konkretnego. Ale w kilka godzin po zniknięciu dziecka sąsiadów, kiedy całe miasto żyło tym tragicznym zdarzeniem, próba samobójstwa dwunastoletniego chłopca musiała nabierać przerażającej wymowy, być prawdziwym przypadkiem konfliktu sumienia.

„Gdyby coś się stało, możesz się do mnie zwrócić, zadzwonić...”, powiedział wtedy.

Nigdy do tego nie doszło. Co ciekawe, doktor Dieulafoy znów pojawił się w momencie, gdy Antoine znalazł się na skraju przepaści, tak blisko, jak nigdy dotąd.

Dopiero teraz miało stać się to „coś”, o czym doktor nie wiedział, gdyż już niedługo odnalezione zostanie ciało Rémięgo.

Antoine popatrzył na bladą twarz matki.

Ona też „coś” wyczuła, ale wolała tego nie drażnić. Intuicja podpowiadała jej, że syn z pewnością zamieszany jest w ten dramat, próbowała go chronić przed nieznanym, lecz dojmującym złem, i ta piramida kłamstw, niewiedzy i milczenia przetrwała przez dwanaście długich lat.

A teraz, w tym szpitalnym pokoju Antoine znalazł się z dwójką świadków – jedynych świadków – swojego dramatu, z dwojgiem dorosłych, którzy wtedy, każdy na swój sposób, woleli milczeć.

Pętla się zaciskała.

W tym momencie ciężarówki do przewozu drewna wjeżdżają na wzgórze do lasu w Saint-Eustache, buldożery unoszą i obracają drzewa. Tylko patrzeć, jak szczątki Rémięgo Desmedta, których nie rozwłóczyły do reszty i nie pogrzebały gąsienice leśnych maszyn, wychyną nagle niczym posąg komandora i zażądają, by sprawiedliwości w końcu stało się zadość, by Antoine Courtin został zdemaskowany, aresztowany, osądzony i skazany.

Pani Courtin zaczęła wydawać jakieś niezrozumiałe dźwięki.

Stojąc po obu stronach łóżka, patrzyli na nią i słuchali tego mamrotania, w którym daremnie było doszukiwać się jakiegokolwiek sensu.

– I co pan będzie robił potem? – zapytał doktor.

O czym on mówi? – Antoine się zdziwił, po czym uznał to pytanie za ciąg dalszy ich niedokończonych rozmowy.

– Och... Myślę o działalności humanitarnej. Mam za sobą wstępne rozmowy...

Doktor Dieulafoy przez dłuższą chwilę siedział zamyślony.

– Tak, chce pan wyjechać...

Raptem uniósł głowę i popatrzył na Antoine'a, jakby go nagle olśniło.

– To mała miejscina, prawda?

Antoine chciał zaprotestować.

– Tak, tak, to mała miejscina. Ja, widzi pan, to rozumiem... To znaczy...

Co powiedziawszy, popadł w głębokie zamyślenie, po czym wstał i wyszedł tak samo, jak się zjawiał, cicho i bezszelestnie jak kot, poprzestając na skinieniu głową oraz zaskakującym i enigmatycznym wyznaniu:

– Bardzo pana lubię, Antoine.

Marzenie Antoine'a, by nigdy więcej jego noga nie powstała w Beauval, nie przetrwało nawet tego jednego dnia: późnym popołudniem administracja szpitala zażądała dokumentów pani Courtin, jej rzeczy. Antoine musiał je przywieźć, nikt inny nie mógł go wyręczyć.

Perspektywa powrotu do Beauval go przygnębiła. Dom matki sąsiedował z domem Mouchotte'ów; bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak przykra czeka go scena, jeśli Émilie zauważy jego obecność.

Próbował zyskać na czasie, wynajdywał najróżniejsze preteksty, poczeka na toaletę matki, pojedzie po wizycie lekarza itp.

Odruchowo włączył telewizor na dziennik wieczorny.

Główna wiadomość dnia, na okrągło nadawana przez wszystkie kanały informacyjne: w lesie w Saint-Eustache wykopano szczątki dziecka.

Żandarmeria przezornie tylko potwierdziła to odkrycie, nie pozwalając sobie na jakąkolwiek interpretację tożsamości ofiary, ale dziennikarze, podobnie jak okoliczni mieszkańcy, w głowie mieli oczywiście tylko jedno: mogły to być zwłoki tylko Rémiego Desmedta, bo czyje inne miały być?

Antoine spodziewał się tej nowiny. Miał nawet ponad dziesięć lat, żeby ją przewidzieć, ale podobnie jak w przypadku śmierci bliskiej osoby, nie był na nią tak naprawdę przygotowany.

Jedne po drugich następowały reportaże, spychając aktualne problemy na plan dalszy. Filmowano martwy plac budowy, beczynne ciężarówki, milczące buldożery, techników z policyjnego laboratorium w białych kombinezonach, uwijających się pośród samochodów, których światła omiatały taśmy zabezpieczające teren, gdzie kręcili się z poważnymi minami mężczyźni w garniturach i w mundurach, lecz to wszystko było tylko scenerią, jedyne, co naprawdę pasjonowało media, to Rémi Desmedt. Podczas tych pierwszych godzin po dokonaniu odkrycia, zdjęcie, które swego czasu wykorzystano w liście gończym, było bez wątpienia najczęściej pokazywanym i najbardziej oglądanym zdjęciem w całej Francji. Reporterzy popędzili do pani Desmedt i rozpoczęli oblężenie jej domu. Choć jak dotąd nie udało im się przeprowadzić z nią wywiadu, nie mieli najmniejszych trudności z zebraniem wypowiedzi sąsiadów, sklepikarzy, radnych, przechodniów, listonosza, nauczycieli, rodziców uczniów, wszyscy byli wzruszeni do łez, miasto delektowało się perspektywą połączenia się w bólu.

Wszystko, co Antoine próbował sobie wyobrazić racjonalnie, wymiotły łatwe do przewidzenia skutki upublicznienia tej wiadomości. No, dalej, mówił sobie, zastanów się, co teraz...

Ten moment wybrała Laura, żeby do niego zadzwonić. Antoine nie miał odwagi odebrać.

W czasie, kiedy za jego plecami pani Courtin coraz głośniejsz majaczyła, on przez cały dzień śledził rozwój wydarzeń, wzmiankę o analizie wydobytych szczątków, przypuszczalnej tożsamości ofiary (tu pokazywano zdjęcie uśmiechniętego Rémiego z gładko przyczesaną grzywką i w T-shircie z niebieskim słonikiem), oczekiwanie na wyjaśnienie przyczyny śmierci oraz obrażeń, które dziecko mogło ponieść ante lub post mortem. Mowa była o ponownym wszczęciu śledztwa, choć żandarmeria, wymiar sprawiedliwości i ministerstwo zapewniły, że nigdy nie zostało zamknięte. Z nadzieją i w nabożnym skupieniu czekano na odkrycie wskazówki, która umożliwi rozpoczęcie nowych przesłuchań i zatrzymanie wreszcie winowajcy.

Zrobiło mu się słabo, kiedy na placu przed ratuszem, w kręgu ludzi spokojnych i skupionych, jakkolwiek próbujących wypatrzeć się na telebimach,

młoda kobieta, przybierając przed mikrofonem swojej stacji informacyjnej minę stosowną do okoliczności, oświadczyła:

„Zdaniem śledczych hipoteza porwania nadal jest brana pod uwagę, lecz bardziej prawdopodobne wydaje się to, że dziecko nie zostało uprowadzone daleko, że było więzione w granicach gminy. W takiej sytuacji śledztwo skoncentruje się na samym mieście... Na Beauval, gdzie w tym momencie się znajdujemy”.

Sprawa wracała do punktu wyjścia i teraz ten wąż pełzył w stronę domu pani Courtin. Antoine może znowu być przesłuchiwany, dziecko, którym wtedy był, będą pytać, czy coś sobie przypomina. Każde jego kłamstwo będzie jak kamień młyński do udźwignięcia, nie czuł się już na siłach, by temu podołać.

Kiedy żandarm zadzwoni do drzwi, Antoine bez słowa nadstawi nadgarstki.

Zapomniał, że miał pojechać do Beauval po dokumenty. Mimo coraz głośniejszego majaczenia matki, ledwo żywy ze zmęczenia Antoine zasnął na krześle, i było już po piątej rano, kiedy się obudził. W lustrze małej łazienki ujrzał twarz recydywisty. Wyszedł ze szpitala i ruszył na dworzec, na którym taksówki czekały na poranny pociąg z Paryża. Kazał się zawieźć do Beauval, licząc, że po drodze nikogo nie spotka. I nie spotkał.

Wysiadając z taksówki, nie mógł się powstrzymać, by nie zerknąć na sąsiedni dom. Choć była dopiero szósta rano – przypadek to czy intuicja – ujrzał obserwującą go przez okno nieruchomą, ponadczasową panią Mouchotte. Wyglądała jak widmo z koszmaru sennego, miał wrażenie, że patrzy na gotowego do skoku pająka...

Szybko wszedł do domu matki.

U pani Courtin panowała prowincjonalna schludność. Dokumenty od zarania dziejów leżały w tej samej szufladzie. Po kilku godzinach niespokojnego ciężkiego snu na szpitalnym krześle był okropnie połamany, położył się na kanapie, zasnął i obudził się dopiero późnym rankiem wyczerpany, przygnębiony, otumaniony jak po tegim pijaństwie lub zabawie sylwestrowej, co często na jedno wychodzi.

Na przedpotopowej maszynie matki zaparzył sobie kawę, mającą dokładnie ten sam zapach i smak, co kawa zapamiętana z dzieciństwa.

Nie mógł się oprzeć pokusie powrotu do aktualności i włączył telewizor. Prokurator, którego twarz wypełniała cały ekran, mówił o „tożsamości ofiary, której szczątki zostały znalezione poprzedniego dnia”.

„Jest nią mały Rémi Desmedt, zaginiony dwudziestego trzeciego grudnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku”.

Antoine upuścił filiżankę, która rozbiła się na dywanie. Odruchowo spojrzął w stronę okna, jakby spodziewał się, że przed dawnym domem Desmedtów zobaczy wszystkich mieszkańców Beauval i usłyszy przez szyby krzyk ludu, domagającego się zemsty.

„Powodzie z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku nie sięgnęły wzniesienia Saint-Eustache. Szczątki dziecka osłonięte drzewami, których wiele zwała w owym czasie wichura, mimo upływu lat nie uległy całkowitemu rozkładowi, co umożliwiło patologom sądowym przeprowadzenie analiz”.

Antoine wpatrywał się w skorupy filiżanki na dywanie, rozległa ciemna plama rozlanej kawy powiększała się jak plama wina na obrusie...

„Dziecko otrzymało gwałtowny cios w prawą skroń, który zapewne okazał się śmiertelny. Oczywiście za wcześnie jeszcze na stwierdzenie, czy odniosło również inne obrażenia”.

Choć wszystko, co się działo, było najzupełniej logiczne, Antoine był wstrząśnięty, widząc, z jaką szybkością poszukiwania zmiierzają w jego stronę. Jeśli dodać jeszcze do tego zmęczenie z dwóch ostatnich dni...

Wstał, mozolnie pozbierał papiery, które miał dostarczyć do szpitala, zadzwonił po taksówkę z Fuzelières i wyszedł, żeby poczekać na nią na dworze, potrzebował powietrza.

Nie zdążył cofnąć się do domu, kiedy przy furtce dopadł go reporter radiowy.

– Pana dom sąsiaduje z domem, w którym mieszkał mały Rémi Desmedt. Dobrze go pan znał, jakim był dzieckiem...?

Antoine wybąkał kilka słów, które kazano mu powtórzyć:

– Eee..., był sąsiadem...

Nie stanął na wysokości zadania; czy nie rozumiał, że oczekiwano od niego odpowiedzi bardziej osobistej, bardziej emocjonalnej? Reporter był zirytowany.

– Tak, oczywiście, ale... jakim był dzieckiem?

Nadjechała taksówka, Antoine szybko wsiadł. Przez okno zobaczył, że dziennikarz zdążył już zaczepić młodą jasnowłosą kobietę. Była to Émilie,

która wyszła z domu okryta szalem swojej matki. Utyła. Odpowiadając na pytanie reportera, odprowadzała pełnym urazy spojrzeniem oddalającą się taksówkę.

Pani Courtin nadal niespokojnie i z przerwami majaczyła, wierciła się, rzucała głową na wszystkie strony, mamrotała coś bez ładu i składu, powtarzała imiona syna, byłego męża (Antoine! Christian!) oraz inne (Andrée!), zapewne wywodzące się jeszcze z czasów jej dzieciństwa.

Antoine siedział przy matce cały dzień, ocierał jej czoło, wychodził na czas jej toalety, wracał i znów siadał wykończony, chory, udręczony.

Delirium pani Courtin zdawało się nie mieć końca. Jej głowa wykonywała wciąż ten sam ruch, jej usta powtarzały wciąż te same słowa: „Antoine! Andrée!”. Siedzenie przy niej było podwójnie frustrujące, ponieważ na ekranie zainstalowanego wysoko na ścianie telewizora nieprzerwanie defilowały reportaże wałkujące „sprawę Rémięgo Desmedta”.

Sięgnięto do archiwalnych zdjęć. Choć liczyły zaledwie dwanaście lat, sprawiały wrażenie dużo starszych: platan na placu przed ratuszem w Beauval, dom małego Rémięgo i pan Desmedt, który wścieka się na dziennikarzy i próbuje ich przepędzić jak chmarę szarańczy; mer Beauval, pan Weiser, zaaferowany organizator, sfotografowany rankiem w dniu obławy, grupy uczestników wyruszające do państwowego lasu, potem obrazy huraganu, powodzi, zdemolowane samochody, zwalone drzewa, wyczerpani, podupadli na duchu mieszkańcy...

Laura przez cały dzień słała na komórkę Antoine’a SMS-y, wszystkie sprowadzające się do jednego: kocham cię.

Koło osiemnastej pani Courtin nareszcie wybudziła się ze śpiączki. Antoine wezwał pielęgniarki. Od razu zrobiło się zamieszanie, wywieziono ją, Antoine zdenerwowany czekał na korytarzu. Dopiero ponad godzinę później przyszła pielęgniarka, by potwierdzić, że matka odzyskała przytomność, że zostanie dość długo na obserwacji, że nie ma potrzeby, by Antoine tu czekał, że będzie informowany na bieżąco o wszelkich zmianach jej stanu.

Wrócił do pokoju po swoje ubrania, zaraz znajdzie się w hotelu, będzie spał i spał...

Telewizor był nadal włączony. Antoine uniósł wzrok na ekran.

„Na miejscu zbrodni technicy z laboratorium znaleźli włos nienależący do ofiary. Nie sposób oczywiście z tego wywnioskować, że jest to włos mordercy,

jakkolwiek prawdopodobieństwo wydaje się dość znaczne... Obecnie trwa badanie DNA. Jego wynik, który już niebawem poznamy, zostanie porównany z próbkami DNA z zasobów Narodowego Rejestru Śladów Genetycznych. W przypadku odkrycia podobieństwa osoba ta będzie musiała wytłumaczyć się, co robi jej włos przy zwłokach zaginionego dziecka...”

Tuż przed północą Antoine, leżąc na łóżku w swoim pokoju hotelowym, usłyszał na korytarzu kroki, a potem pukanie do drzwi. I zaraz potem weszła Laura, postawiła torbę na podłodze i zdjęła żakiet. Nim Antoine zdążył się odezwać, Laura już na nim leżała, wtulała głowę w jego szyję, głośno oddychała, jakby przed chwilą biegła. Antoine objął ją mocno. Nie bardzo wiedział, jakie uczucia wzbudza w nim jej niespodziewana obecność.

Kiedy indziej już dawno przewróciłby ją na plecy, ale tej nocy...

Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak Laura zareaguje, kiedy dowie się, jakim naprawdę on jest człowiekiem. Z matką to co innego, ona od zawsze coś wiedziała. Pierwsza odejdzie, drugą to zabije. Laura przez dłuższą chwilę na nim leżała, potem się rozebrała, rozebrała jego, jakby był małym dzieckiem, uniosła kołdrę, pod którą się razem wsunęli, wtuliła się w niego i zasnęła.

Antoine był wykończony, ale sen nie nadchodził. Laura oddychała głęboko, spokojnie. Jej ufność go zasmucała. Zaczął po cichu płakać.

Nie otwierając oczu, nie zmieniając pozycji, Laura przesunęła palcem po jego policzku, natrafiła na łzę i przykryła ją swoją dłonią.

Kilka sekund później spał, a kiedy się obudził, było już widno, jego zegarek wskazywał dziewiątą trzydzieści, Laura już wyszła, na marginesie wyrwanej z czasopisma strony zostawiwszy wiadomość: Kocham cię.

Minęły dwa dni, w czasie których pani Courtin z godziny na godzinę coraz bardziej dochodziła do siebie. Nadal była blada, zmęczona, niewiele jadła, ale jej słowa tylko chwilami były od rzeczy, powracała jej orientacja czasowo-przestrzenna, odzyskiwała sprawność ruchową i po ostatnim prześwietleniu postanowiono odesłać ją do domu.

Zapewne pragnąc pokazać, że jest „zdrowa na umyśle”, uparła się, by samodzielnie spakować walizkę, tylko chwilami, kiedy na krótko zawodziła ją równowaga, opierała się palcami o brzeg nocnej szafki lub przytrzymywała łóżka.

Antoine tylko jej podawał ubrania, które starannie składała i kładła jedne na drugich, ale oboje nie odrywali wzroku od ekranu telewizora, gdzie cały czas mowa była jedynie o postępach w „sprawie Rémięgo Desmedta”.

Antoine rozpoznał młodą dziennikarkę, którą kilka dni temu widział na placu przed ratuszem.

„DNA przemówiło i obecnie policja wie już nieco więcej o właścicielu włosa znalezionej przy zwłokach małego Rémięgo Desmedta. Jest to osobnik płci męskiej, rasy kaukaskiej. Wprawdzie nie ma możliwości określenia jego wzrostu, ale na pewno ma brązowe oczy i jasne włosy. Taki opis oczywiście odpowiada wielkiej liczbie ludzi i nie pozwala śledczym na stworzenie roboczego portretu tej osoby”.

Zaczekawszy, aż informacja zostanie powtórzona, Antoine wyciągnął z niej wniosek, w który nie śmiał jeszcze uwierzyć: policja ma DNA, prawdopodobnie jego, lecz on nigdy nie był notowany i dopóki nie będzie, ryzyko, że zostanie uznany za mordercę Rémięgo Desmedta, jest właściwie żadne...

Wydawało się mało prawdopodobne, by wznowiono śledztwo, bo przede wszystkim w jakim by miało pójść kierunku...

Po upływie z górą dziesięciu lat sprawa Rémięgo Desmedta, narobiwszy trochę szumu, z powrotem pójdzie w niepamięć.

Czy życie Antoine’a znów potoczy się normalnym torem?

– I co, pani Courtin, liczyliśmy, że spędzi pani z nami święta!

Pielęgniarka, drobna brunetka o żywym spojrzeniu, pewnie serwowała ten żart wszystkim wychodzącym i liczyła na podobny sukces co zawsze, ale natrafiła na dwie nieruchome osoby zapatrzone w ekran telewizyjny, który w końcu ją również zainteresował.

Kamera filmowała supermarket w Fuzelières, a w szczególności drzwi dla personelu z boku budynku, przez które w asyście dwóch żandarmów wychodził pan Kowalski.

„Jedynym podejrzanym w tej sprawie pozostaje pan Kowalski, dawny masarz z Marmont, swego czasu z braku dowodów zwolniony. Możemy się założyć, że śledczy wywrą presję na swojego jedyne go świadka i pobiorą od niego próbkę DNA, która pozwoli im porównać ją z DNA znalezionym przy nieszczęsnej ofierze z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku”.

Ruchy pani Courtin stały się żywsze. Trudno jej było ukryć znaną Antoine'owi od dawna niechęć do byłego pracodawcy, to wrażenie, że została zdradzona przez człowieka, na którego sławę skąpcza i wyzyskiwacza swego czasu przecież pracowała. Z pewnością czuła również tę złość i oburzenie, jakich doświadcza człowiek, który w nieświadomości swojej zetknął się z kimś, kto potem okazuje się postacią perwersyjną, podstępną, wręcz potworem.

Po raz drugi Antoine był świadkiem jego aresztowania i po raz drugi niejasno i bez specjalnego wstydu poczuł, jaką ulgą byłaby dla niego pomyłka sądowa. Jednak tym razem nie wchodzi to w rachubę, DNA nie kłamie, tak jak mógłby kłamać świadek, niemniej znów zaświtała w nim nadzieja, że to Kowalski, a nie on, zostanie skazany. Antoine nie widział go od wielu lat. On też bardzo się postarzał; włosy miał już całkiem siwe, zniszczona twarz sprawiała wrażenie jeszcze bardziej wychudzonej, szedł powoli, z opuszczonymi rękami.

Reputacja jego firmy nie przetrwała jego aresztowania w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku. Interes z roku na rok coraz bardziej podupadał, zmuszony był go sprzedać i został kierownikiem działu mięsno-garmażeryjnego w supermarkecie w Fuzelières...

Za kilka godzin, jutro lub co najwyżej za dwa dni pan Kowalski zostanie zwolniony i będzie to może ostatni zwrot w tej sprawie, której odtąd pisane jest trafić do policyjnego archiwum. Antoine czuł, że z każdą minutą swobodniej oddycha, przez jego głowę nieustannie przesuwały się obrazy, Laura, zakończenie przez nich studiów, wyjazd za granicę...

Pani Courtin wróciła do domu („Taksówką... mogliśmy pojechać autobusem...”), przewietrzyła pokoje („Co jak co, ale tyle mogłeś zrobić, Antoine!”), sporządziła listę zakupów („Jeśli herbatniki, to tylko Heudeberta, jak nie będzie, nic innego nie bierz!”)...

Na uwagi matki, które zawsze z trudem znosił, i których już niedługo nie będzie musiał słuchać, tym razem reagował spokojnie, taki był szczęśliwy i taką czuł ulgę, że wróciła do domu. „Więcej strachu niż szkody” – powtarzała znajomym, którzy do niej dzwonili. Wieść o jej powrocie zdążyła już trzy razy obiec całe Beauval.

Antoine odsuwał, ile tylko mógł, moment wyjścia do miasta, nagabywał przez ludzi, którzy będą go pytać, jak się czuje mama. To Blanche już wróciła? Ha, to dobrze, to dobrze, ale napędziła nam strachu, nie było mnie tam wtedy,

ale mówili mi, jak ją odrzuciło, oj tak, napędziła wszystkim strachu, że nie wiem... Z niepokojem zastanawiał się też, czy Mouchotte'owie upublicznili niedolę swojej córki, ale nie, nikt o niczym nie wiedział. Ani Émilie, ani jej rodzice nie kwapili się, by stawić czoło sytuacji, którą u wszystkich innych bezzwłocznie by potępili.

Théo, zbiegając po cztery stopnie po schodach merostwa, z daleka do niego zamachał. Antoine spotkał także Mademoiselle, jak nazywano córkę mecenasa Vallenèresa. Dwa razy w tygodniu opuszczała ona dom opieki medycznej, w którym umieszczono ją po śmierci ojca, i robiła rundę po mieście w fotelu pchanym przez pielęgniarkę. Siadała na tarasie Café de Paris. Latem jadła lody, a pielęgniarka ocierała jej podbródek, zimą raczyła się gorącą czekoladą, którą kazano jej popijać małymi łykami. Jej fotel nie był już tym fantastycznym pstrokatym wehikułem co kiedyś, lecz ona sama się nie zmieniła, jej ciało pozostało tym samym suchym pędem winorośli, na kocu w szkocką kratę nadal spoczywały jej białe lodowate dłonie, jej twarz nawet teraz była płomiennym spojrzeniem w pośmiertnej masce.

Antoine cierpliwie czekał na swoją kolej w sklepach, w których ludzie bez pośpiechu wymieniali między sobą nowiny.

Czuł lekką euforię, w której oczywiście duży udział miało zmęczenie ostatnich dni, ale która wyrażała też jego rosnącą pewność siebie. Gdyby nie ta historia z Émilie Mouchotte... Nawet to uważał za pomniejszy kłopot w porównaniu z zagrożeniami, które do niedawna nad nim wisiały. Czym jest tych parę groszy...

Wciąż jeszcze nie śmiał w to uwierzyć.

Skończy studia, wyjedzie daleko stąd, odbuduje swoje życie.

Nikogo nie zdziwiło, że następnego dnia pan Kowalski został wypuszczony i oczyszczony z zarzutów, ale nadal był podejrzany w oczach mieszkańców Beauval, którzy tak łatwo nie zmieniali zdania, nie ma dymu bez ognia i to się nigdy nie zmieni.

W miarę jak niepokój Antoine'a opadał, zainteresowanie jego matki wiadomościami lokalnymi słabło. Nie wpatrywała się już w ekran telewizora tak zachłannie jak w ciągu tych ostatnich dni w szpitalu. W przeciwieństwie do syna, ledwo zwróciła uwagę na oświadczenie prokuratora, który w gmachu prefektury odpowiadał na pytania dziennikarzy.

„Nie, zbadanie DNA całej ludności Beauval jest nierealne. Taka akcja przerosłaby, i to znacznie, nasze możliwości finansowe, ale przede wszystkim nie istnieją po temu żadne sensowne przesłanki. Nie ma żadnego obiektywnego powodu, który by wskazywał, że posiadacz DNA, którego szukamy (jeśli rzeczywiście miałyby to być morderca małego Rémiego Desmedta!) jest mieszkańcem Beauval, a nie sąsiedniego miasta lub po prostu przypadkową osobą...”

– No proszę! – mruknęła pani Courtin, tak jakby urzędnik sądowy potwierdził teorię, której od zawsze broniła.

Teraz, kiedy ostatnia przeszkoda została usunięta, Antoine mógł nareszcie wyjechać: pani Courtin stanęła na nogi, pora wracać i przygotować się do egzaminów.

– Już? – zapytała matka, sama w to nie wierząc.

Uparła się, że przygotuje „obiadek” (zdrabniała wszystko, co było dla niej ważne), włożyła więc płaszcz i ruszyła do centrum miasta, gdzie z udawaną skromnością odstawić będzie cudem ocaloną, pomyślał z uśmiechem Antoine.

Spakował swoje rzeczy. Nie chciał dzwonić do Laury, teraz z kolei on chciał jej sprawić niespodziankę swoim powrotem.

Podczas obiadu pani Courtin pozwoliła sobie na luksus wypicia kropelki porto. Jedli, niewiele rozmawiając, oboje trochę zdziwieni, że siedzą tak

razem, w tych okolicznościach, których finał jeszcze dwa dni temu wydawał się niepewny.

Potem pani Courtin spojrzała na zegarek i stłumiła ziewnięcie.

– Masz jeszcze czas – powiedział Antoine.

Poszła na górę odbyć małą drzemkę przed wyjazdem syna.

W domu zapanowała gęsta cisza.

A potem rozległ się dzwonek u drzwi. Antoine otworzył.

W progu stał pan Mouchotte.

Nie wykonali żadnego gestu, obaj jednakowo skrępowani tą niecodzienną sytuacją. Antoine uświadomił sobie, że nigdy dotąd nie rozmawiał w cztery oczy z ojcem Émilie.

Odsunął się na bok, zaprosił go do środka.

Pan Mouchotte był roslym mężczyzną, ostrzyżonym krótko jak wojskowy, miał wydatny nos. Całość, wsparta nieustannym dążeniem do zademonstrowania własnej godności oraz sztywną postawą, upodabiała go trochę do rzymskiego cesarza. Lub ubiegłowiecznego belfra. Zresztą trzymał teraz ręce za plecami, co pozwalało mu wypiąć pierś i unieść podbródek.

Antoine poczuł się nieswojo, nie miał najmniejszej ochoty wysłuchiwać morałów, cała ta historia była tylko i wyłącznie wpadką. Trudno, skoro Mouchotte'owie upierają się, żeby dziecko się urodziło, ich sprawa, Antoine nie poczuwał się w najmniejszym stopniu do winy, ale w obliczu zdeterminowanej, a nawet groźnej postawy pana Mouchotte'a wyraźnie czuł, że łatwo się nie wyłga: zażądają od niego pieniędzy, już teraz spekulują, ile może zarabiać lekarz.

Zacisnął pięści, będą próbowali wykorzystać sytuację, szkoda, że nie dowiedział się, jakie przysługują mu prawa...

– Antoine... – zaczął pan Mouchotte. – Moja córka uległa twoim awansom. Na twoje nalegania...

– Nie zgwałciłem jej!

Intuicja podpowiadała mu, że postawa ofensywna, ostentacyjna niewinność będzie najskuteczniejsza, nie miał zamiaru dać się w nic wmanewrować.

– Tego nie powiedziałem! – zaprotestował pan Mouchotte.

– Całe szczęście. Zaproponowałem Émilie rozwiązanie, które postanowiła odrzucić. Jej wybór, ale również jej odpowiedzialność.

Pan Mouchotte z oburzenia zaniemówił.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że...

Aż się zakrztusił, nie mógł znaleźć słów...

Antoine nie wiedział, czy Émilie powtórzyła ojcu jego propozycję usunięcia ciąży, czy ten dopiero teraz się o niej dowiadywał.

– Jak najbardziej – potwierdził Antoine. – Dokładnie to chcę powiedzieć... To jeszcze możliwe. To ostatnia chwila... ale możliwe.

– Życie jest święte, Antoine! Pan Bóg chciał, żeby...

– Niech pan nie gada bzdur!

Pan Mouchotte wyglądał, jakby go spoliczkowano. Daremnie odstawiał cesarza rzymskiego, tracił już grunt pod nogami, co tylko utwierdziło Antoine'a w jego bojowości.

Okrzyk syna zaintrygował panią Courtin; usłyszeli jej kroki na schodach.

– Antoine? – zawołała, schodząc na ostatni stopień.

Nie odwrócił się do matki. Oczom pani Courtin ukazał się dziwny widok dwóch mężczyzn stojących twarzą w twarz w wojowniczej pozie, najwyraźniej gotowych się bić... Na palcach wróciła do swojego pokoju. Rozsierdzony pan Mouchotte nawet nie zauważył jej obecności.

– Ależ... zhańbiłeś Émilie!

Powiedział to niskim głosem, artykułując każdą sylabę, chcąc pokazać, że nie może uwierzyć w to, co mówi Antoine, takie to potworne.

– A w kwestii tego „zhańbienia”, jak pan to nazywa – dodał Antoine, by dopełnić miarę – to zapewniam, że na mnie z tym nie czekała.

Tym razem pan Mouchotte był szczerze oburzony.

– Obrażasz moją córkę!

Rozmowa źle się zaczęła i Antoine'owi było przykro, że tak łatwo zyskał w niej przewagę, ale nie zamierzał odpuścić, postanowił pójść dalej:

– Pana córka sama dysponuje swoim ciałem, mnie to nie dotyczy. Ale nie...

– Była zaręczona!

– Owszem, co nie przeszkodziło jej przespać się ze mną.

Musiał za wszelką cenę wybrnąć z tej nieszczęsnej sytuacji, a przy rozmówcy takim jak pan Mouchotte lepiej było nie wdawać się w niuanse.

– Niech pan posłucha, panie Mouchotte, rozumiem pański kłopot, ale tak między nami mówiąc, pańska córka święta nie jest. Zaszła w ciążę, to pewne, ale jestem za to odpowiedzialny w nie większym stopniu niż... powiedzmy, inni...

– Byłem pewny, że okazesz się nędznikiem.

– Cóż, następnym razem doradzi pan córce lepiej wybierać amantów.

Pan Mouchotte kiwał głową, w porządku, w porządku, w porządku...

– Skoro tak do tego podchodzisz...

Wyciągnął zza pleców gazetę i jak packą na muchy nią zamachał. Lokalny dziennik. Antoine'owi nie udało się zobaczyć, czy dzisiejszy.

– Wiadomo... można teraz zrobić testy!

– Jak to...?

Antoine zbladł.

Pan Mouchotte zorientował się, że zmierza w dobrym kierunku.

– Złożę na ciebie skargę do sądu...

Antoine wyczuwał rysujące się zagrożenie, ale nie zrozumiał, w jaki sposób miałoby zaważyć na jego życiu.

– Wytoczę ci proces i zmuszę do badania genetycznego, które dowiedzie, i to w sposób niezbity, że to ty jesteś ojcem dziecka, które nosi w łonie moja córka!

Antoine'a zatkalo, był zdruzgotany, niezdolny, by spokojnie zastanowić się nad sytuacją.

Ten debil mówił rzeczy, o konsekwencjach których nie miał bladego pojęcia.

– Wynoś się pan – rzucił bez tchu zdławionym głosem.

– Masz jeszcze możliwość – zakończył pan Mouchotte – wybrać honorowe wyjście, a nie niesławę tak dla Émilie, jak dla siebie. Bo lepiej żebyś wiedział, że nic nie zmusi mnie do zmiany zdania! Pójdę do sądu, zażadam tego badania i będziesz musiał, chcąc czy nie, poślubić moją córkę i uznać to dziecko!

Wykonał wojskowy w tył zwrot i trzaskając drzwiami, wyszedł.

Antoine miał nogi jak z waty, uchwycił się framugi drzwi. Trzeba było znaleźć jakiś sposób wyjścia z sytuacji.

Wbiegł po cztery stopnie na górę, zamknął się w swoim pokoju i zaczął chodzić tam i z powrotem.

Czy będzie zmuszony poślubić Émilie Mouchotte?

Na samą tę myśl zrobiło mu się słabo. Zresztą, gdzie mieliby mieszkać, Émilie nigdy nie zgodzi się na wyjazd za granicę, na rozstanie z rodzicami.

A tak w ogóle, co warta byłaby jego kandydatura dla organizacji humanitarnej, gdyby był ojcem rocznego lub dwuletniego dziecka?

Byłby więc skazany na pozostanie w Beauval?

Nie, tego by nie zniósł.

Próbował wyobrazić sobie sytuację bardziej konkretnie. Pan Mouchotte wniesie skargę. Przyjdzie do biura sędziego... który uzna jego żądanie za śmieszne. „Robimy takie rzeczy wyłącznie w przypadku gwałtu, panie Mouchotte, powie, czy pańska córka wniosła oskarżenie o gwałt...?”

Nie. To niemożliwe, pocieszył się Antoine, żaden urzędnik sądowy nie uwzględni takiego wniosku.

Ale jednocześnie sędzia niechybnie zada sobie inne pytanie: skoro ten Antoine Courtin jest taki pewny, że nie on jest ojcem, to dlaczego nie robi tego testu?

Sędziego z pewnością zaintryguje mężczyzna, który nie zgadza się na test genetyczny... akurat teraz, gdy odkryto DNA zabójcy Rémiego Desmedta. I to właśnie mężczyzna, który był swego czasu jedną z ostatnich osób, które widziały chłopczyka żywego...

Więc dla spokoju sumienia przesłuchają Antoine'a ponownie.

A wiedział, że w żadnym razie nie zniesie przesłuchania na okoliczność wydarzeń sprzed dwunastu lat. O tym nie było mowy. Znów usiłowałby kłamać, robiłby to nieudolnie, plątałby się, sędziemu dałoby to do myślenia, nie byłby to pierwszy wypadek, kiedy przy okazji drobnego wykroczenia zatrzymano by sprawcę morderstwa...

Może nawet sędzia zmusiłby go do wykonania testu genetycznego...

Lepiej było ustąpić.

I zrobić ten test teraz, żeby szybko położyć kres podejrzeniu, po którym nigdy by się już nie pozbierał.

Trochę go ta myśl uspokoiła. Bo w końcu, jeśli on jest ojcem tego dziecka, będzie płacił alimenty i tyle! Nie ma mowy, by zmarnował sobie życie, żeniąc

się z tą... szukał odpowiedniego słowa, lecz nie znalazł.

Zza ściany dobiegły go jakieś stłumione hałasy, ciche odgłosy, z rodzaju tych, jakie robią w zbyt akustycznych pokojach hotelowych osoby, które nie chcą innym przeszkadzać.

To jego matka, która swoim zwyczajem zachowując się, jakby nic się nie stało, sprzątała swój już posprzątaną pokój, tak jak to robiła przez całe jego dzieciństwo.

Słuchanie tego, fizyczne niemal poczucie jej obecności zmroziło mu krew w żyłach... Jeśli okaże się, że to on jest ojcem, czyli winnym, i odmówi poślubienia Émilie, Mouchotte'owie rozgłoszą to w całym mieście, palcami będą wytykać rodzinę Courtinów...

Czym stanie się wtedy życie jego matki?

Będzie musiała nosić tę plamę na honorze. Dla wszystkich stanie się matką tchórza, niezdolnego zachować się odpowiedzialnie, wywiązać się ze zobowiązań. Obserwowana, osądzana, moralnie poniżona, nie zdierży takiego życia, nie, to niemożliwe.

Antoine miał tylko ją, matka miała tylko jego.

Nie mógłby narazić jej na taką gehennę.

To by ją zabiło.

Pozostawało tylko jedno rozwiązanie: zgodzić się na ten test w nadziei, że wynik dowiedzie jego niewinności.

Choć to mocno niepewne.

Ale przede wszystkim było jeszcze coś.

Przypomniał sobie słowa dziennikarki:

„...test pozwoli policji porównać jego DNA z DNA znalezionym przy nieszczęsnej ofierze z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku”.

Zakreśliło mu się w głowie, musiał usiąść. Jeśli zgodzi się na test, to wynik, nieważne pozytywny czy nie, zostanie gdzieś zmagazynowany...

Będzie istniał.

Długo, bardzo długo. Do jakiego rejestru trafi? Komu będzie podlegał taki rejestr?

Nie wiadomo, czy wcześniej czy później nie zostanie porównany z... DNA mordercy Rémiego Desmedta.

Pierwsza lepsza decyzja prawna może upoważnić wymiar sprawiedliwości do porównania go ze wszystkimi dostępnymi próbkami DNA.

Nad głową Antoine'a już zawsze będzie wisiał miecz Damoklesa.

Jedynym rozwiązaniem było nie zgodzić się.

Antoine wrócił do punktu wyjścia. Sytuacja patowa: czy robi ten test, czy nie robi, i tak na jedno wyjdzie.

To, czego uniknie dzisiaj, będzie zagrożeniem jutro.

I tak do końca jego dni.

– O której godzinie masz pociąg, Antoine...?

Antoine nie słyszał nadejścia matki, która zajrzawszy do pokoju, momentalnie dostrzegła jego wzburzenie.

– Jak nie tym, to pojedziesz innym...

Zamknęła drzwi i zeszła na dół.

On zaś wędrował tam i z powrotem po pokoju, próbował zebrać myśli, ale ciągle wracał do tej oczywistej prawdy, że ma tylko jedno wyjście: nie dopuścić, by pan Mouchotte wniósł skargę.

Albo przygotować się na życie w ciągłym strachu, a może nawet, po głośnym na cały kraj procesie, spędzić piętnaście lat w więzieniu – okrutny los dzieciobójcy... Los, którego dotąd udawało mu się unikać.

Minęło dwanaście lat od zbrodni, którą popełnił jako dwunastolatek, i być może ostatni akt dramatu, który zaczął się dla niego w tamten grudniowy dzień tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, rozgrywał się tu i teraz...

Zapadła noc.

Usłyszał, jak matka bez słowa, o nic nie pytając, kładzie się spać.

Do rana miotał się po pokoju. Jego życie było jedną wielką porażką, na którą skazało go naznaczone prawdziwą rozpaczą dzieciństwo.

O świcie zadał sobie pytanie, czy aby tą historią z Émilie sam na siebie nie wydał wyroku. Karą za popełnioną zbrodnię będą dla niego nie lata więzienia, ale całe życie, które już z góry wzbudzało w nim odrazę, które reprezentowało

wszystko, czego nie znosił, życie wśród przeciętnych ludzi. Wykonywanie zawodu, który kochał, w warunkach, których nienawidził...

Taka będzie jego kara: będzie ją odbywał na wolności, ale za cenę całego swojego życia.

Rankiem Antoine uznał swoją klęskę.

2015

Od ponad tygodnia bez przerwy padało. Jeśli dodać do tego ciemności, które zapadały już późnym popołudniem, objazd stawał się naprawdę męczący. Na próżno próbował się zorganizować, wytyczać sensownie trasy; wezwania po drodze i tak zmuszały go zawsze do zajechania dwa razy do Marmont, trzy razy do Varenne, zawsze tak było.

Antoine spojrzął na zegarek, osiemnasta piętnaście, w poczekalni jest już pewnie z tuzin osób, nie wróci do domu przed dwudziestą pierwszą. W lusterku wstecznym zobaczył swoją twarz. Kilka dni przed ślubem postanowił zapuścić wąsy i dotąd ich nie zgolił. Bardzo go postarzały, nawet matka mu to powiedziała, nie miało to jednak żadnego znaczenia ani dla niego, ani dla Émilie. Zresztą Émilie... Z tą kobietą miał spory dylemat. Z początku był na nią wściekły, wyrzucał sobie, że dał się tak zrobić, że zbyt łatwo spanikował. Już nawet myślał, żeby zrobić ten test genetyczny, ale go nie zrobił, bo w niczym nie zmieniłoby to kierunku, w jakim potoczyło się jego życie. Było już za późno.

Uspokoił się więc, spojrzął innym okiem na swoją żonę, nie kochał jej, ale ją rozumiał. Była jak płochy i niestały motyl, podatna na nagłe porywy, w równym stopniu pozbawiona wyrachowania, co wyrzutów sumienia. Nadal bardzo ładna, w kilka tygodni po porodzie wróciła do formy, płaski brzuch, wspaniałe piersi, bajeczna pupa... Jej widok pod prysznicem nadal budził w nim zachwyty. Od czasu do czasu z nią sypiał, zawsze na wszystko się zgadzała, markowała orgazmy, wydając stłumione „z uwagi na dziecko” okrzyki, zapewniając, że „było jeszcze lepiej niż ostatnim razem”, i natychmiast zasypiała. Był pewny, że Émilie nigdy nie szczytowała. Z nikim. Nie zastanawiał się już nad ich relacjami, jako lekarz poprzestawał tylko na pilnowaniu, żeby uważała, ale próżny trud: ta kobieta była nie do upilnowania.

Z początku bardzo to przeżywał, kiedy zajrzawszy zniemacka do domu zastawał Émilie wychodzącą z piwnicy, wygładzającą spódnice i poprawiającą włosy, a potem na dole spłonionego elektryka, który nawet nie otworzył skrzynki z narzędziami. Gdyby Antoine ją kochał, byłby bardzo nieszczęśliwy. W rzeczywistości był trochę nieszczęśliwy, ale nie z uwagi na siebie. Kiedy obserwował ją ukradkiem przy stole albo w kuchni, ścisnęło mu się serce na

widok tej pięknej melancholijnej kobiety, w której głowie panowała taka pustka.

Émilie akceptowała swoje życie tak, jak akceptowała wszystko i wszystkich. Że szczególnym upodobaniem do ukradkowych uścisków i przygodnych kopulacji.

Z wyjątkowym uwzględnieniem Théo. Dwa lata temu Théo przejął fabrykę po swoim ojcu, którą po ostatnich wyborach zamienił na merostwo. Teraz odstawił nowoczesnego przedsiębiorcę, postępowego notabla, który w dżinsach Diesla przydykował radzie miejskiej, w białej koszuli acz bez krawata brał udział w uroczystościach ku czci poległych, w converse'ach podejmował działaczy związkowych, udawał komitywę, rozprawiając o płacach, był ze wszystkimi na ty. Posuwał też żonę lekarza, kumpla z młodych lat, ale to się nie liczy.

Antoine'owi zatarasowała drogę ciężarówka do przewozu drewna, manewrująca na drodze pośrodku lasu komunalnego. Musiał cierpliwie poczekać. Bał się takich chwil przestoju, z tego też zapewne powodu polubił w końcu swoją pracę wiejskiego lekarza. Doktor Dieulafoy, od którego rok temu odkupił gabinet, mu to przepowiedział: albo będzie pan uprawiał ten zawód nie dłużej niż dwa miesiące, albo przez całe życie, jedno albo drugie, pośrednich rozwiązań nie ma. To prawda, Antoine od razu się zaangażował i pewnie nigdy się już nie wycofa.

Reszta życia jakoś się ułożyła.

Émilie, od pierwszego dnia wierna sobie, plotła na okrągło przygnębiające banały, jej ojciec prężył pierś, bo jego córka była teraz żoną lekarza. Ich dziecko przejęli teściowie, ponieważ Antoine „miał za dużo pracy, żeby się nim zajmować”, co nie było nieprawdą.

Mały Maxime urodził się pierwszego kwietnia. Ach, ileż to było subtelnych żartów z tej okazji, cała rodzina w tym uczestniczyła, świetny kawał, i w dodatku, uwaga, to Baran, nie Ryba, cha, cha, cha! Imię Maxime, które wiele mówiło o rodzinnych aspiracjach do wielkości, zostało oczywiście wybrane przez pana Mouchotte'a.

Po ślubie, który sam w sobie już był strasznym przeżyciem (trzy miesiące pełnoetatowego zajęcia dla czterech osób, spotkania rodzinne z wręczaniem zaproszeń, spotkania w kościele w sprawie mszy, negocjacje w sprawie jedzenia, rozterki kogo zaprosić, straszne...), ciąża Émilie wywołała pospolite

ruszenie; jego żona była bez dwóch zdań pierwszą ciężarną kobietą od początku świata.

Émilie była matką triumfującą. Nosiła swój brzuch wypięty do przodu, widoczny niczym zewnętrzna oznaka bogactwa, z triumfalnym uśmiechem omijała kolejki czekających ludzi, w sklepach domagała się krzesła i ostentacyjnie łąpała powietrze tak długo, dopóki się nie przestraszono, a wtedy zaczynała szczegółowo wyliczać główne i uboczne skutki swojej ciąży, nikomu i niczego nie oszczędzając, wymieniając wszystkie dolegliwości, biegunki, wymioty i sny: myślałam, że się wierci, ale nie, to były gazy! Tak, gazy! To z powodu brzucha, który jest ściśnięty, och, co to za przeżycie, tak, bardzo ściska (uwielbiała to słowo), ale to też „cudowny dar życia”, a kiedy była naprawdę w dobrej formie, wdawała się w długie improwizacje na temat tego, „jak pięknym przeżyciem dla kobiety jest wydanie na świat dziecka”. Antoine był załamany.

Z początku nie czuł nic do swojego syna, ani miłości, ani niechęci, nie należał do jego życia. Émilie z matką nieustannie niańczyły to dziecko, Antoine tylko je widywał. Opiekował się nim tak, jak większością niemowląt w gminie, było tylko jednym z wielu.

A potem Maxime zaczął chodzić, potem mówić i, czego Antoine zupełnie się nie spodziewał, nie był podobny do Mouchotte'ów. Czasami wydawało mu się, że dziecko do niego łągnie, i to mu schlebiało, choć u innych uważał to zawsze za śmieszne.

Możliwe, że dopatrywał się tego podobieństwa, bo pragnął je znaleźć. Na razie syna tylko obserwował. Nie wiedział, jak ułożą się ich relacje.

Ruszył, skręcił w prawo, o Boże, ma już półtorej godziny spóźnienia, w poczekalni pewnie jest tłum ludzi. Trudno, poczekają, zresztą zawsze czekali, Antoine w krótkim czasie stał się lekarzem bardzo cenionym przez mieszkańców Beauval. Przynajmniej ludzie znali jego matkę.

Zaparkował przed gankiem, zostawił kluczyki w stacyjce, wysiadł i osłaniając się przed deszczem, wbiegł do dużego budynku. Nie zabawi długo, ale obiecał, że przyjdzie, więc przyszedł. Dzień dobry, doktorze, nie sądziliśmy, że w taką pogodę pana zobaczymy, poproszę o płaszcz, wie pan, jaka jest niecierpliwa.

Tak, ale sprawiała zawsze wrażenie nieobecnej myślami. Kiedy wchodził do sali, unosiła na niego zaskoczony wzrok, o, to pan, doktorze, cóż za dobry duch pana sprowadza...?

Mademoiselle miała obecnie trzydzieści jeden lat, ale wyglądała na piętnaście lat więcej. Była przerażająco chuda, ale Antoine wiedział, że ten szkielet prawdopodobnie będzie stawiał czoło śmierci przez dziesiątki lat. Jeśli nawet Mademoiselle miała nadzieję umrzeć, z czasem już jej to przeszło, trochę tak, jak Antoine'owi chęć ucieczki.

Przysunął krzesło, sięgnął do torby, po czym rozejrzawszy się wkoło, wyjął tabliczkę czekolady i wsunął ją pod koc Mademoiselle. Zachowywał sekret dla formy, wszyscy włącznie z lekarzem, który był jej głównym dostawcą, wiedzieli, że nie powinna, ale i tak ją zje.

Mademoiselle dyskretnie uniosła róg koca, żeby sprawdzić markę, lekko się skrzywiła.

– Nie bardzo umie pan przegrywać, doktorze...

Zaczęli grywać w szachy, kiedy Antoine przejął po doktorze Dieulafoyu opiekę medyczną w domu opieki, ale nigdy nie miał czasu na rozegranie prawdziwej partii. To ona wpadła na pomysł, żeby ją rozgrywali za pośrednictwem e-maili. W samochodzie Antoine obmyślał strategię, przed wejściem do kolejnego pacjenta przysyłał swój ruch, w czasie gdy go badał, otrzymywał odpowiedź, po wyjściu z kolei on odpowiadał. Mademoiselle miała rację, nie bardzo umiał przegrywać. Nie z powodu lęku przed porażką, ale z powodu swojej systematyczności: nie wygrał z nią jeszcze ani jednej partii. Za każdą kolejną przegraną przynosił jej czekoladę.

– Nie będę mógł zostać, jestem już prawie dwie godziny spóźniony.

– No to pana pacjenci sobie pójdą, może im to dobrze zrobi! I bardzo możliwe, że kiedy jutro pan ich odwiedzi, okaże się, że są zdrowi!

Zawsze ten sam tekst, jak u starego małżeństwa. Antoine ujął opuszki palców Mademoiselle, palców kościstych i lodowatych, które zachłannie schwyciły jego dłoń, dziękując, do zobaczenia.

Powrót w deszczu. Beauval.

W ciągu ostatnich lat miasto się zmieniło. Park rozrywki w Saint-Eustache okazał się sukcesem, w sezonie zjeżdżali tu ludzie z całego regionu. Koncepcja parku dla rodzin położonego w pobliżu była strzałem w dziesiątkę. Pan Weiser umożliwił Beauval zaistnienie w nowej rzeczywistości, jego syn został wybrany już w pierwszej turze. Dzięki turystyce powstały nowe miejsca pracy, sklepikarze byli szczęśliwi, a miasto, w którym sklepikarze są usatysfakcjonowani, jest miastem zadowolonym z siebie.

Ta prosperity zbiegła się z renesansem drewnianych zabawek. W latach dziewięćdziesiątych uważane za archaiczne, wraz ze wzrostem świadomości ekologicznej społeczeństwa francuskiego powróciły do mody, znów zaczęły cieszyć się powodzeniem drewniane kolejki i sosnowe bąki. Obecnie *Fabryka Weisera, wyrób zabawek z drewna, rok założenia 1921* zatrudniała niemal tyle samo ludzi co przed kryzysem.

Przepełniona poczekalnia, parno, gorąco, wilgoć spływająca po szybach.

Antoine otworzył okno, czego nikt z obecnych nie śmiał zrobić. Rzucił ogólne dzień dobry, lekkim skinieniem dłoni przeprosił za spóźnienie. Rozległ się szmer aprobaty, ludziom podobało się, że mają zapracowanego lekarza, jego aktywność gwarantowała jakość.

Wśród obecnych zauważył pana Fremonta, Valentine, pana Kowalskiego. Doktor Dieulafoy powitał propozycję przejęcia praktyki przez Antoine'a z całym entuzjazmem, na jaki było go stać. Znając jego umiłowanie zawodu, Antoine obawiał się, że nie zechce się wycofać, że zaproponuje współpracę, że będzie się wciąż wtrącał, ale nie. Wkrótce po sprzedaniu gabinetu wyjechał do Viet Tri, miasta na północy od Hanoi, by zaopiekować się swoją osiemdziesięcioletnią matką, której nie widział od blisko półwiecza. Przed wyjazdem przekazał Antoine'owi, co zajęło mnóstwo czasu, niezwykle szczegółową dokumentację każdego z pacjentów; wymogiem starego lekarza było omówienie z następcą najbardziej skomplikowanych przypadków.

Wtedy też Antoine odkrył, że do jego pacjentów należał pan Kowalski, choć dotąd nigdy go jeszcze nie widział w gabinecie. Z kolei z Valentine trzeba było negocjować, sześć razy w roku przychodziła po zwolnienie z pracy, przyprawiając swoją liczną dzieciarnię, ażeby go wzruszyć lub wzbudzić litość. Antoine zawsze ulegał, bronił się i sarkał, ale w końcu wypisywał zwolnienie. Choć się przed sobą do tego nie przyznawał, Valentine zajmowała kłopotliwe miejsce w jego historii, była dla niego przede wszystkim młodą dziewczyną boleśnie dotkniętą zniknięciem swojego małego braciszka, siostrą dziecka, które on, Antoine, zabił.

Bez pośpiechu przygotował się do trzeciej rundy dnia, ułożył narzędzia, sprawdził, czy wszystko jest w porządku, schował portfel do górnej szuflady biurka, jedynej zamykanej na klucz, rytuał bardziej magiczny niż dający poczucie bezpieczeństwa, dziesięcioletnie dziecko za pomocą noża do papieru w kilka sekund by się z tym uporało. Tu też przechowywał, sam nie wiedział dlaczego, odpowiedź Laury na list, który na poczekaniu do niej napisał, Lauro

(nie ukochana, nie zostawiać jej najmniejszej nadziei), odchodzę (prosto, jasno, definitywnie), długie wyjaśnienie odnośnie do Émilie, kobiety, którą tak naprawdę od zawsze kochał, której zrobił dziecko i z którą się ożeni, tak będzie lepiej, unieszczęśliwiłbym cię itd. Jeden z tych idiotycznych, kłamliwych i stereotypowych listów, jakie piszą mężczyźni do kobiet, które postanawiają porzucić.

Odpowiedź Laury przyszła natychmiast, na dużej kartce białego papieru, wielkimi literami napisała: „Zgoda”.

Złożył kartkę i schował do szuflady, którą zamknął na klucz. I z czasem prawie o niej zapomniał.

Wypisał tygodniowe zwolnienie dla Valentine, potem przyjął pana Kowalskiego, chudego mężczyznę o łagodnym głosie i ruchach powolnych i precyzyjnych. Osłuchiwał jego sfatygowane serce. Mierząc mu ciśnienie, zerknął na jego kartę, tak, pamiętał, pan Kowalski był wdowcem, szybko obliczył, ile ma lat, sześćdziesiąt sześć.

– Jakiś wirus...

Pan Kowalski uprzejmie, z rezygnacją się uśmiechnął. Antoine wypisał receptę; zawsze wyjaśniał, co przepisuje, tłumaczył dawkowanie, starał się pisać wyraźnie, zero efekciarstwa.

Odłożył kartę pacjenta, odprowadził go do drzwi i uściśnął mu dłoń.

Pan Fremont podniósł się, gotowy już do wejścia, kiedy tknięty nagłym impulsem Antoine, długo się nie zastanawiając, rzucił:

– Panie Kowalski?

Wszyscy odwrócili głowy w stronę drzwi.

– Czy... czy mógłby pan jeszcze na chwilę wrócić? – zapytał.

Skinął przepaszająco do pana Fremonta, pozwoli pan, to nie potrwa długo...

– Proszę, proszę – powiedział, wskazując krzesło, z którego pan Kowalski dopiero co wstał. – Niech pan na moment usiądzie.

Obszedł biurko, sięgnął po jego kartę i jeszcze raz coś sprawdził.

„Andrzej Kowalski, urodzony 26 października 1949 roku w Gdyni, w Polsce”.

Tknęło go jedno z tych przecuć, które w danym momencie sprawiają wrażenie objawienia, a w chwilę potem wydają się kompletnie nietrafione.

Ale pan Kowalski spuścił wzrok na swoje kolana i Antoine natychmiast nabrał pewności, że się nie pomylił.

Przez dłuższą chwilę siedział, nic nie mówiąc, zastanawiając się, jak poruszyć ten temat... Gdyż za chwilę mogły się otworzyć drzwi, a on nie wiedział, co się za nimi kryje. Jak również nie wiedział, czy będzie mógł je kiedykolwiek z powrotem zamknąć. Andrée.

– Kilka lat temu moja matka leżała przez kilka dni w śpiączce... – zaczął, nie patrząc na niego.

– Pamiętam, dowiadywałem się wtedy o nią, ale teraz już chyba ma się lepiej...?

– Tak, dobrze... W szpitalu majaczyła... Przyzywała swoich bliskich, mojego ojca, mnie... Zastanawiam się...

– Tak?

– Zastanawiam się, czy nie przyzywała również pana. Ma pan na imię Andrzej, prawda?

– Andrzej to moje chrzestne imię. Tu mówią na mnie Andrée...

Możliwe, że Antoine podązał fałszywym tropem, ale teraz, kiedy nie dawało mu spokoju to pytanie, nie pozostało mu nic innego, jak je zadać:

– I moja matka też się tak do pana zwracała?

Pan Kowalski wpatrywał się teraz w Antoine'a, marszcząc brwi. Uniesie się, wstanie i wyjdzie, odpowie...?

– Do czego pan zmierza, doktorze Courtin?

Antoine wstał, obszedł biurko i usiadł obok pana Kowalskiego.

Często go widywał, często mu się przyglądał z powodu jego dziwnej twarzy, która w nim i w wielu innych wzbudzała zawsze uczucie niezrozumiałego zakłopotania, ale teraz, kiedy mu się z bliska przyglądał, z pana Kowalskiego emanowała spokojna siła, taka, jaką we wczesnym dzieciństwie chętnie przypisuje się ojcu.

W głowie Antoine'a kłębiło się tyle sprzecznych myśli, że nie wiedział już, jak dalej prowadzić tę rozmowę.

Ale jego rozmówca nie wydawał się ani trochę skrepowany. Przeciwnie, wyglądał na człowieka, który nie powie nic, co woli zachować dla siebie.

– Jeśli nie chce pan ze mną rozmawiać, panie Kowalski – powiedział Antoine – może pan wyjść, niczego pan nie musi.

Pan Kowalski długo zastanawiał się nad odpowiedzią.

– W zeszłym miesiącu przeszedłem na emeryturę, doktorze. Mam mały domek na południu...

Parsknął krótkim, oschłym śmiechem.

– Mówię domek, bo to lepiej brzmi, tak naprawdę to przyczepa kempingowa, ale nieważne, jest moja. Tam się przeniosę. Nie sądzę, żebyśmy się mieli jeszcze kiedyś spotkać, doktorze. Przewidywałem, że... Nie sądziłem, że mnie pan dzisiaj o to, tak prosto z mostu, zapyta...

Słowa, które wypowiadał, były kruche, pełne napięcia, zdawały się wisieć na włosku, gotowe spaść i się rozprysnąć.

– Mówię panu o tej emeryturze, żeby powiedzieć... że czas zrobił swoje, to wszystko już się nie liczy.

– Rozumiem.

Antoine oparł dłonie na kolanach, zamierzając już wstać.

Ale tego nie zrobił.

– Widzi pan, bardzo mnie zaintrygowało, kiedy tamtego dnia w grudniu pana zobaczyłem...

Antoine wstrzymał oddech.

– Jechałem akurat samochodem przez las na skraju Saint-Eustache i nagle w lusterku wstecznym widzę chłopca, który przebiega przez szosę, ukradkiem, i od razu wiedziałem, że to był pan.

Antoine poczuł, że wzbiera w nim panika, jakiej nie doświadczał od czterech lat, odkąd uznał, że definitywnie nic mu już nie grozi. W chwili gdy życie niosło jak ruchome piaski, oto nagle wszystko z powrotem wyłoniło się na powierzchnię, śmierć Rémiiego Desmedta, wędrówka przez las w Saint-Eustache z ciałem martwego dziecka na plecach, jego rączki znikające w czeluści pod wielkim zwalonym bukiem...

Szybkim ruchem otarł pot z czoła.

Przypomniał sobie, jak wracając do Beauval, skulony w rowie, wypatrywał samochodów, żeby przebiec przez szosę.

– Więc zatrzymałem się trochę dalej... Zaparkowałem wóz, wysiadłem i poszedłem sprawdzić, co się dzieje. Myślałem, że może potrzebuje pan pomocy. Oczywiście nikogo nie znalazłem, był pan już daleko.

Pan Kowalski to jedyny świadek, który w owym czasie mógł nakierować śledztwo na trop Antoine'a; jego samego aresztowano, nętkano, a kiedy cztery lata temu znaleziono ciało Rémięgo, znów został zatrzymany, był przesłuchiwany...

– A pan... – zaczął Antoine.

– Zrobiłem to dla pana matki. Bo widzi pan, bardzo ją kochałem. Myślę, że ona też...

Spuścił głowę, a jego twarz poczerwieniała pod wpływem wyznania, którego cała banalność chyba dopiero teraz do niego dotarła.

– Wyda się panu śmieszne u takiego starego człowieka jak ja, ale... to było wielkie uczucie.

Nie, Antoine nie uważał tego za śmieszne, on też poznał w swoim życiu wielkie uczucie.

– Nie chciałem powiedzieć, co tamtego dnia robiłem, bo... byliśmy wtedy razem, ona i ja. Właśnie w tym samochodzie. Nie chciałem jej skompromitować... Życzyła sobie zachować naszą znajomość w sekrecie... To są rzeczy, które trzeba uszanować.

Chcąc oddalić wszelkie podejrzenia, pani Courtin zawsze okazywała dystans, surowość, wygłaszała o panu Kowalskim sądy, które z perspektywy czasu okazały się bardzo okrutne.

Antoine z trudem łączył wszystkie te fragmenty w całość. Pan Kowalski się zatrzymuje. Jak wyjaśnia to pani Courtin?

W samochodzie jego matka odwraca się, nic nie widzi, zastanawia się, po co wysiadł, nie chce tak stać na poboczu drogi, nie chce, żeby ją ludzie zobaczyli...

Pan Kowalski wysiadł, szuka Antoine'a, którego przed chwilą dostrzegł biegnącego w panice do Beauval, nie znajduje go, rezygnuje, wsiada z powrotem do samochodu i rusza...

Co sobie mówią?

– Nic jej nie powiedziałem. To był trochę odruch, miałem wrażenie, że... jak by to powiedzieć... że źle to wygląda.

Romans matki z tym mężczyzną wywołał u Antoine'a trudne do opanowania zakłopotanie. Nie dlatego, oczywiście, żeby sam w sobie był gorszący, ale człowieka zawsze, nawet kiedy jest lekarzem, dziwi i szokuje, że któreś z jego rodziców może mieć własne życie seksualne, no więc chodziło, oczywiście, o to, ale też o coś szerszego, bardziej skomplikowanego, o coś, co wymagałoby czasu, zastanowienia, a co sprowadzało się do pytania: kiedy się poznali?

Pani Courtin zaczęła pracować u pana Kowalskiego na długo przed urodzeniem Antoine'a... Dwa lata wcześniej? Trzy? Kiedy odszedł ojciec Antoine'a? Daty, lata, obrazy mieszały się, ziemia usuwała się spod nóg.

Nagle Antoine poczuł, że robi mu się słabo.

Odwrócił się do pana Kowalskiego i zobaczył, że ten już wstał, że jest już przy drzwiach.

– To wszystko nie ma już żadnego znaczenia, doktorze. Widzi pan, człowiek zadaje sobie wiele pytań... Ja sam... A potem któregoś dnia przestaje.

Ten mężczyzna, który sam też musiał wiele wycierpieć, szukał teraz słów, żeby go uspokoić.

Antoine dygotał, jakby wyszedł na mróz bez płaszcza.

– A przede wszystkim, doktorze, niech się pan nie martwi...

Antoine otworzył usta, ale pan Kowalski już wyszedł.

Dwa dni później otrzymał małą przesyłkę, którą tuż przed rozpoczęciem wizyt otworzył na biurku w gabinecie.

To był jego zegarek. Z jaskrawozielonym paskiem.

Oczywiście już nie chodził.

[1] EDF, Eléctricé de France, główny francuski dostawca elektryczności (przyp. tłum.).

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz